



Didier Cohen

Pod skrzydłami
anioła

Cohen Didier

Pod skrzydłami anioła

Bulwersująca historia miłości doskonałej, wystawionej na ciężką próbę.

Daniel Miller i Aurora Servais nie widzieli się od dwunastu lat. Jak to możliwe? Byli przecież najszczęśliwszymi kochankami pod słońcem od chwili, gdy wyrwał ją z ramion innego mężczyzny, a potem zjawiała się na spotkaniu pod "Pocałunkiem" Rodina. Wkrótce przyszła na świat ich maleńka Marina. Niestety, któreś nocy poraziło ich nieszczęście. To położyło się cieniem na związku dwojga ludzi. Aurora opuściła ukochanego. Teraz, po latach, gdy przypadek sprawił, że znów się spotkali, poczuli się jak pierwszego dnia znajomości. Wciąż się kochają, to pewne. Tragiczną przeszłość wspominają z miłością. Aurora ma już męża, córkę. Ale czy istnieje antidotum na takie uczucie?



1

On - czeka na kogoś, kto nie przyjdzie. Stary kumpel, przejazdem w Paryżu, z którym nie widział się od czasów liceum. Od blisko godziny siedzi na tarasie kawiarni Marły, na wprost szklanej piramidy na dziedzińcu Luwru.

Nie zwraca uwagi na łoskot pioruna, wprawiający w drżenie łyżeczkę na spodku z pustą filiżanką po kawie.

Ona - z nikim się nie umówiła. Przechodzi w poprzek placu Palais-Royal.

Tego popołudnia nie chciała być sama w domu.

Młodzież w krótkich spodenkach, na rolkach, kręci wokół niej piruety i z niezwykłą zręcznością przemyka między rozmieszczonymi na asfalcie płytkami odblaskowymi.

Przy wejściu do metra jej uwagę przyciąga para śnieżnobiałych skrzydeł.

Na cokole wznosi się figura anioła w bieli.

On - właśnie pali z namaszczeniem ostatniego papierosa z paczki. Wypuszcza dym, krzywi się, bo znowu wypalił więcej, niż sobie postanowił, i z tego powodu ma wyrzuty sumienia.

Patrzy na zegarek. Dochodzi do wniosku, że gdy się czeka, czas dłuży się niemiłosiernie.

Ona - zbliża się do grupy stojącej wokół anioła.

Jakaś dziewczynka wkłada monetę do koszyka u stóp figury i posąg ożywa. Kilkakrotnie leniwie porusza skrzydłami i wdzięcznie przechyla głowę ku zdumionej dziewczynce, po czym znowu staje się posągiem. Nieruchomym, niewzruszonym.

On - dla zabicia czasu, od niechcienia popatruje na grupy turystów, którzy, pochyleni, daremnie walczą z wiatrem. To wschodni wiatr. Porywisty. Wieje od Atlantyku. Omiótł południowe wybrzeża Irlandii, spustoszył przylądek Raz, przemknął nad płaskowyżem Beauce. Schwytany w pułapkę na dziedzińcu Richelieu, wiruje spódniczkami młodych dziewczyn, porywa do tańca wodotryski, wprawia w niepokój gołębie.

Ona - zaintrygowana, przygląda się przez chwilę aniołowi.

I choć nikt nie włożył pieniędzy do koszyka, anioł zaczyna poruszać skrzydłami. Lekko zwraca w jej stronę głowę w aureoli. Niewidzącym, magnetyzującym wzrokiem wpatruje się w nią i przesyła jej pocałunek, dmuchając delikatnie w zagłębienie dłoni.

Pocałunek anioła, przyniesiony wraz z nagłym podmuchem wiatru, który rozwiewa długie, sięgające do ramion, czarne loki młodej kobiety, muska ją w lewy policzek.

On - jeszcze raz patrzy na zegarek i zaczyna się zastanawiać, czy nie pomylił dnia, miejsca albo godziny spotkania.

Denerwuje się. Z daleka znowu słychać grzmot.

Ona - odpowiada aniołowi uśmiechem.

On to Daniel Miller. Ona to Aurora Servais.

Nie widzieli się od dwunastu lat. Nie pisali, nie telefonowali do siebie. Byli najszcześniejszymi kochankami na świecie, a zarazem najnieszczęśliwymi.

Za kilka minut spotkają się znowu, ale oboje jeszcze o tym nie wiedzą. O tym, że w ten pochmurny dzień zobaczą się znowu, zdecydował za nich przypadek, i to on zaplanował spotkanie, na które żadne z nich już nie czekało, choć w skrytości ducha oboje spodziewali się, że tak się kiedyś stanie, i bardzo się tego bali.

Życie znowu dokonało za nich wyboru...

Dałbym głowę, że umówiłem się z nią na środę, o trzeciej po południu. Mógłbym się założyć. O dzień bez papierosa. No, o pół dnia... Na wszelki wypadek. Wiem, że czasem głowa płata mi figle.

Otwieram notes, niecierpliwie przewracam kartki, dochodzę do 21 kwietnia. Jeszcze 256 dni do dwutysięcznego roku.

Nic. Czysta kartka, uśmiecham się głupkowato. Przecież zanotowałem spotkanie, gdzieś to musi być. Poirytowany, odwracam kartkę.

Moje własne bazgroły wydają na mnie wyrok, chłosz-czą niczym pejczem. Miejsce się zgadza, godzina również, tyle że przyszedłem o tydzień za wcześnie. Całe szczęście, że się nie założyłem, mam na myśli tytoń. Tylko tego brakowało, żebym miał do reszty zepsuty dzień.

Z wściekłości mam ochotę walić głową w stół.

Poprzestaję na tym, że obrzucam się w myślach najgorszymi wyzwiskami, a mam ich mnóstwo w zanadru. Na biurku czeka na mnie tona zaległych rękopisów, w tym jeden do przeczytania natychmiast. A tymczasem opieprzam się w najlepsze na dziedzińcu Luwru... Cholera!

Muszę się uspokoić. Wściekam się od rana. Na samą myśl, że trzeba się wlec na spotkanie, na które zgodziłem się niemal wbrew sobie. Starzy kumple. To dla mnie ciężka próba. Zjawiają się, nie bardzo wiadomo dlaczego, po latach milczenia. W rezultacie zawsze jestem rozczarowany. To prawda, chcę wierzyć, że nic się nie zmienili i że będzie jak dawniej, ale tak nigdy nie jest.

Zmienili się i ja się zmieniłem.

Ponieważ nie bardzo wiadomo, o czym rozmawiać, opowiadają mi o swoim obecnym życiu. O żonie (nadzwyczajna, musisz ją poznać). O dzieciach (cudowne i wcale nie uciążliwe). O przyszłych wakacjach z rodziną na Kubie (niedrogi i jakże „prawdziwy” kraj!).

Na koniec okazuje się, że nic mnie już z nimi nie łączy. Ze są mi obcy. Więc dlaczego zgadzam się mimo wszystko na ponowne spotkanie? Dlaczego ludzie tak się zmieniają?

Jestem zbyt rozdrażniony, by szukać odpowiedzi na te aż nadto zawile pytania.

Ze złością gaszę papierosa i opuszczam taras Marły.

Prasnąć by tak ten zdradziecki notes do Sekwany! Trzeba wiedzieć, kiedy się pozbyć bezużytecznych przedmiotów. Przedmioty uwierają w życie. Przedmioty i starzy druhowie, którzy już nimi nie są.

Idę prosto przed siebie, przepycham się przez tłum, od którego roi się na dziedzińcu Richelieu, by dojść na nabrzeże.

Dobra myśl - mostem des Arts przejść na drugą stronę rzeki i popatrzeć na posągi Ousmane'a Sow. Przynajmniej będę miał wrażenie, że nie do końca zmarnowałem czas.

Światło błyskawicy rozdziera niebo, odbija się od lustrzanych tafli piramidy i, jakby potężnie uderzone przez nafaszerowanego nitrogliceryną tenisistę, grzmoci w jedną z czarnych chmur, które wiszą nad miastem, i w tej samej chwili na moją głowę leją się strumienie deszczu.

Oblepiające, ciężkie jak melon krople, od których moje ubranie zamienia się w mokrą szmatę.

Nie ma czasu na zastanawianie się. Wraz z tłumem

przemokniętych człekokształtnych pędzę w kierunku jedyne go schronienia na horyzoncie: wejścia do podziemnego pasażu Carrousel du Louvre.

Zwykle omijam centra handlowe. Zbyt tłoczne, zbyt hałaśliwe. Oto więc jedyna okazja, żebym się otworzył na wielki, szeroki świat.

Nie rozczarowałem się. Wielki, szeroki świat w Carrousel jest jak wagon metra w popołudniowej godzinie szczytu. Potworność. Gestykujący tłum okupuje główne przejście, blokując dostęp do toalet. Nie pozostaje mi nic innego, jak wejść do pierwszego z brzegu magazynu.

Hi-fi, wideo, kamera wideo. Wszystko, czego nienawidzę, ale też nie przyszedłem tutaj, żeby się tym delectować.

Na jednym ze ściennych ekranów powielających ujęcia przekazywane przez rząd prezentowanych magnetowidów dostrzegam znajomą potarganą głowę: to moja własna.

Głowa czterdziestoletniego typu... (W rzeczywistości mam trzydzieści pięć lat, ale dużo przeżyłem... Ha! Ha!). Zapadnięte policzki, dwudniowy zarost na brodzie. Oczy podkrążone (fajniejsze niż piwne, no nie?). Ciemne włosy, trochę za długie. Srebrzące się na czole od deszczu. Wyglądam przez to jak kelner pizzerii na Brooklynie, zgarnięty przez grupę antyterrorystyczną.

Strużki wody spływają mi jeszcze po twarzy i szyi, wślizgują się sprytnie za kołnierzyk koszuli. Przydaje mi to trochę tragizmu, jakbym był ofiarą tropikalnego cyklonu w jakimś odległym kraju Ameryki Łacińskiej, w dodatku po wyczerpującym dwutygodniowym marszu przez dżunglę.

Zawsze miałem bujną wyobraźnię.

Ustawiam się w szerokim kadrze ekranu. Wyjmuję względnie czystą i suchą jednorazową chusteczkę, żeby wytrzeć czoło. Zgarniam do tyłu włosy. W porządku. Znowu upodabnam się trochę do człowieka.

Nagle od tyłu z lewej strony zachodzi mnie zniecka młody sprzedawca. Taktyka rekina, który wypatrzył ofiarę. Niezawodna.

- Kamery wideo to mój dział. Słucham, chętnie doradzę.

Całkowicie odcina mi odwrót, wykrochmalony, w schludnym, nienagannym garniturze. Cały jak spod żelazka.

Rzucam okiem na jego identyfikator. Jibe. Zdobywam się na rozbrajający uśmiech.

- Nie, wykluczone, naprawdę... Jibe. Wpadłem tu tylko... Z powodu burzy.

Jest chyba kompletnie głuchy. Podchodzi bliżej. Z tą arogancją drapieżnika, który wie, że już za chwilę zasłuży na dobre śniadanie.

- Tym lepiej, świetna okazja, żeby się doinformować! Musowo!

Och, i ten niestrawnie dobry humor! Ten sztuczny uśmiech, niezmacony i złowieszczy. Ile taki może mieć lat? Dwadzieścia? Kiedy się wreszcie odczepi?

- Żeby filmować rodzinę, dzieci! To konieczne! Na pamiątkę. Przekona się pan... Jeszcze mi pan podziękuje!

Atakuje mnie żelazną logiką sprzedawcy, wyuczoną podczas stażu. Skrzywienie zawodowe. Rodzina, dzieci do sfilmowania. Też mi propozycja. Nie mam nawet chomika. Moje milczenie dodaje mu odwagi. Pewny swego, wrzuca następny bieg.

- Mamy najlepszy sprzęt! Proszę bardzo, na przykład JVC... Najnowsza technologia! Superprzystępna cena, doskonałe parametry!

Mój rozbrajający uśmiech niknie.

- Szkoda fatygi, kolego... Ja nie kupuję, to chyba jasne.

- Tak się mówi, tak się mówi... Nie słyszał pan, że można coś kupić pod wpływem impulsu? To klasyczne, to działa jak miłość od pierwszego wejrzenia!

Dość tego. Czuję zalewającą mnie wściekłość. Odsuwam go zdecydowanym ruchem.

- W takim razie, jeśli o mnie chodzi, źle pan trafił. Nic pan nie wskóra!

Uciekam. Szybko, byle dalej od tej pułapki na szczury! Jibe depta mi po piętach. Jego głos staje się błagalny.

- Proszę zaczekać, niech się pan nie denerwuje. Widzi

pan tego wielkiego typu, tam, za mną? W popielatym garniturze... Wredna gęba, no nie?

Mam tego dość. Oglądam się jednak przez ramię we wskazanym kierunku.

Rzeczywiście typ ubrany jest na popielato i ma wredną gębę. Zapisuje coś w notesiku.

Mój sprzedawca poci się teraz na całego. Omal nie zaproponowałem mu własnej chusteczki higienicznej. Pokpiwam sobie:

- A on co sprzedaje? Nagrobki? Sprzedawcy to nie śmieszy. Zagryza dolną wargę.

- To mój boss! Wyjątkowa zaraza! Nikomu niczego nie przepuści! Jeżeli nie zatrzymam pana choćby jeszcze przez pięć minut, jak nic wywali mnie na bruk... Przyjdzie mi wybierać obierki ze śmietnika. Niech pan nie odchodzi!

Biedny chłopak. Prawdę mówiąc, w roli sprzedawcy nie sprawdza się najlepiej, ale osiągnął swoje. Lituję się i poklepuję go na pocieszenie po wywatowanym ramieniu.

- Pięć minut i ani sekundy dłużej, jasne? Wynagradza mnie pełnym wdzięczności uśmiechem.

Nie tracąc czasu, ciągnie mnie w stronę rzędu kamer wideo.

Bierze jedną do ręki. Najmniejszą i najdroższą.

- Istne elektroniczne cacko, prawda? Migawka o zmiennej prędkości, mikrofon o wysokiej rozdzielczości, obłędna stabilność! Zaraz zademonstruję...

Uruchamia aparat, nie przestając entuzjastycznie zachwalać produktu. Jest w tym równie przekonujący jak Jean Pierre Leaud, gdy wyznaje miłość Delphine Seyrig w *Skradzionym pocałunku*.

Przestaję go słuchać. Udając zainteresowanie, rzucam okiem na miniaturowy ekran kamery wideo. Jibe ustawia skośnie obiekt, kieruje go na neonowy szyld perfumerii po drugiej stronie pasażu. Obraz jest niewiarygodny - jakość bez skazy - ale zbyt realistyczny, żeby był prawdziwy. Absolutnie nienaturalny.

Tymczasem Jibe rozkręca się na dobre:

- Obiektyw najwyższa klasa! Super! Uwaga, zajrzemy teraz do perfumerii!

Ustawia ogniskową. Manipuluje dźwigienką obiektywu.

Ekranik wypełnia twarz kasjerki perfumerii - ładnej blondynki o podkreślonych makijażem oczach. Jibe rozciąga usta w głupkowskim uśmiechu.

- Prawda, że całkiem milutka? Pomalowała dzisiaj powieki na niebiesko... Wczoraj były popielate.

- Zna ją pan? - pytam, żeby uniknąć migreny od nadmiaru pikseli.

Nie odrywając oczu od ekranu, unosi brew.

- Jeszcze nie, ale przyglądam się jej przez wizjer dwadzieścia razy dziennie. Obserwuję. Próbuję odgadnąć, o czym myśli...

- Więc na co czekasz? Zagadaj do niej.

Popatrzył na mnie, jakbym mówił po chińsku z hebrajskim akcentem.

- Nie tak szybko, najpierw muszę zobaczyć jej nogi! Taki już jestem - muszę wiedzieć, jakie kobieta ma nogi. A pan nie?

Nie, ja nie. Już nie. Nie patrzę na twarze kobiet ani na ich nogi, pośladki czy piersi. Dawno przestałem się przyglądać kobietom, co wcale nie znaczy, że się nimi nie interesuję, bez przesady! Wolę nawet ich towarzystwo od męskiego. O, bez porównania, ale fakt pozostaje faktem: nie budzą we mnie żywszych uczuć. Sprawy sercowe nie wchodzi w grę. Coś pękło. Definitywnie. Od czasu do czasu pieprzę się, ale już się nie kocham. Tak się porobiło.

Z twarzy sprzedawcy znika zainteresowanie: twarz ukochanej kasjerki, a właściwie jej popiersie - przesłoniły masywne plecy klienta.

Wręcza mi kamerę.

- Proszę przynajmniej spróbować! Będzie wyglądało prawdziwiej.

I znowu się trudź! Biorę aparat. Naciskam przycisk obiektywu.

Tam, po drugiej stronie, przy kasie, widzę plecy kobie-

ty, która czeka na swoją kolej za klientem. Ma na sobie biały nieprzemakalny płaszcz ściągnięty w pasie. Znajoma sylwetka. Nie, z pewnością jestem w błędzie. Nie...

Jej czarne jak węgiel włosy spadają w lokach do ramion.

Dziwny dreszcz przebiega mi po karku. Zapomniane uczucie z bardzo odległej przeszłości. Dokładnie sprzed dwunastu lat.

Klient znika z pola widzenia. Widzę ją, jak kładzie przed kasjerką niewielkie bladoniebieskie pudełko w błyszczącym celofanie.

Jibe ożywia się. Przystępuje z nogi na nogę, pieje wysokim głosem:

- Proszę nastawić na perfumy! Założę się, że można odczytać kod kreskowy!

Ignoruję go. Maksymalnie zawężam kadr na czarne włosy.

Obraz lekko się chwieje, ale nie z powodu nadmiernego powiększenia. To drżą moje ręce. Oby to była ona!

Serce przyspiesza rytm. Bije teraz w zawrotnym tempie. Jibe pozwala sobie na frywolną uwagę.

- Proszę trochę zjechać w dół, może zobaczymy jej nogi...

Zamknij się.

Spoglądam rozczulonym wzrokiem. Włosy kobiety tak bardzo przypominają mi tamtą... To nie może być ona. To po prostu niemożliwe. Nie wierzę w przypadek.

Muszę się upewnić.

Wpatrując się intensywnie, nakazuję jej w myślach, żeby się odwróciła. Niechby położyła kres tej męczarni.

Muszę usilnie myśleć, żeby usłyszała.

W ułamku sekundy jej twarz wypełnia cały kolorowy ekranik.

To samo trochę nieobecne spojrzenie. Czarne błyszczące oczy. Lekko matowa skóra, której dotyk wiernie przywołuje moja pamięć.

Uczucie mrowienia przesuwa się z karku, rozchodzi po ciele. Czuję obręcz w gardle.

- Auroro - szepczę jej imię. Jeszcze nie przebrzmiało w moich myślach, gdy jej obraz w okienku kamery zginął.

Jibe gwizdże cicho, ze znanstwem:

- Niezła, jak na brunetkę! Pańska przyjaciółka? Zamiast odpowiedzi wciskam mu w ręce kamerę.

Nie mija pięć sekund, jak ponownie zanurzam się w gęstym strumieniu ludzi zalewającym pasaż Carrousel.

Wspinam się na czubki palców, wyciągam głowę jak żuraw. Przebiegam wzrokiem tysiące twarzy w poszukiwaniu tej jednej.

Wreszcie, po paru ciągnących się w nieskończoność chwilach, wyławiam malutką białą plamkę jej prochowca, sunącą ruchomymi schodami ku wyjściu, od strony ulicy Richelieu.

Biorę kurs na nią, głuchy na protesty tych wszystkich bezimiennych osób, które potrącam, nie zdając sobie z tego sprawy. Pomagam sobie łokciami, ramionami, posuwając się pod prąd. Stratowałbym ojca i matkę, nie wiedząc nawet, że znaleźli się na mojej drodze.

Biała plama jest już na górze.

- Auroro!

Dziesięć razy wykrzykuję na cały głos jej imię. Daremnie. Mój głos ginie w tłumie, tak jak w morzu wołanie tonącego.

Nie mogę jej znowu stracić, teraz, kiedy jest tak blisko. Nie wolno mi.

Jestem bliski szaleństwa. Na granicy załamania nerwowego. Serce mi wali i rozsadza żebra aż do bólu. Tylko ona umiała wzbudzić we mnie takie gwałtowne emocje.

W tej chwili wiem jedno: Aurora nigdy nie przestała być dla mnie najważniejszą istotą na świecie.

AURORA

Ta nagła ochota na perfumy! Nie do opanowania. Prawdę mówiąc, byłam przekonana, że od lat już się ich nie produkuje, więc kiedy zapytałam o nie w perfumerii, było mi trochę wstyd. Bałam się, że sprzedawczyni skrzywi się lekko, z pobłażaniem. Odpowie, że dziś już ich żadna kobieta nie używa.

Ale nie. Od razu sięga po próbkę na półce.

- Chce pani wypróbować?

- Nie, dziękuję. Świetnie je znam. Na pamięć. Opakowanie się nie zmieniło. Ten sam lazur i jasno-

żółty napis, jakby pisany ręcznie, w poprzek: „Alize”.

Próbowałam przypomnieć sobie chwilę, kiedy zapragnęłam tych perfum. Przed spotkaniem z aniołem na placu Palais-Royal? Raczej po. Kiedy zanurzyłam się w czeluściach metra? Już sama nie wiem.

Bardziej niż chwila istotne jest to, że znowu miałam na nie ochotę. I, prawdę mówiąc, to mnie najbardziej zaniepokoiło.

Dlaczego dzisiaj?

Zeszłam z ruchomych schodów i przypuściłam szturm na zwykłe schody, prowadzące na świeże powietrze. Ociekający deszczem tłum spychał mnie w przeciwnym

kierunku. Przywarłam do ściany, żeby mnie z sobą nie porwał.

Za to aż za dobrze pamiętam, kiedy postanowiłam nie używać więcej alize.

Znałam godzinę, znałam dzień. Wtedy też była burza, a dzień naznaczony był rezygnacją.

I była to godzina rozpacz. Bolesny końcowy akord.

Złe wspomnienia atakowały moją świadomość. Wdzierały się w miarę pokonywania kolejnych stopni. Odeгнаłam je bezlitośnie.

Kiedy znalazłam się na zewnątrz, zaczęłam żałować, że dałam się skusić na te perfumy, które tak szybko przeniosły mnie w przeszłość. Sądziłam, że już odeszła na zawsze. W rezultacie byłam na siebie wściekła. Co mnie naszło?

Postanowiłam jak najszybciej pozbyć się flakonu.

Wyjęłam pudełko z plastikowej torebki. Wrzuciłam ją do ścieku. Odplynęła wraz ze spienioną brudną wodą. O mało też nie wyrzuciłam pudełka. Najważniejsze, żeby nie rozedrzeć celofanowego opakowania. Nie otwierać go. Nie wdychać ponownie tych morskich zapachów.

Włożyłam perfumy głęboko do dużej kieszeni prochowca. Poza zasięgiem wzroku. Pomyślałam trochę tchórzliwie: „Oddam je na loterię szkolną. Może kogoś uszczęśliwią”.

Przez chwilę trwałam bez ruchu na chodniku. Ulewny deszcz rozmywał kolory, spowijał ludzi i rzeczy w szary mrok.

Całe miasto spowiła teraz czerń i biel.

W takiej scenerii, pośród kakofonii klaksonów, bezruch samochodów miał w sobie coś nierealnego. Zakleszczone zderzakami. Uwięzione w wyziewach gazów spalinowych. Morze blachy.

Prędko na drugą stronę Rivoli, do stacji metra!

Wciągnęłam na głowę górę płaszcz i wpadłam w tę nawałnicę.

Wokół zapamiętałe stukały wycieraczki aut.

Zassało mnie wejście do metra. Zbiegłam po schodach.

Jego głos ugodził mnie w plecy, zamarłam.

Jego głos.

Rozpoznałabym go pośród tysiąca innych dźwięków. Pochodził z przeszłości, podobnie jak zapach perfum, które kupiłam dziesięć minut temu. Przywoływał wspomnienia, a ja nie chciałam pamiętać.

Jego głos, który, jak sądziłam, nigdy już nie powie:

- Nie przeszkadzam?

- Nie przeszkadzam?

To jego pierwsze wypowiedziane do niej słowa, na chodniku, przy wyjściu z kina Action Ecoles.

Dochodzi pierwsza w nocy. To było czternaście lat temu.

Aurora wychodzi z kina nie sama. Mężczyzna, który ją obejmuje władczo w pasie, jest jej aktualnym kochankiem. Nowym kochankiem, a więc nadzwyczaj uważającym i miłym. A więc na tyle kochającym, żeby bez oporu dać się zaciągnąć na ostatni seans nowej wersji starego amerykańskiego melodramatu, mimo że z zasady nie cierpi amerykańskiego kina, a zwłaszcza melodramatów. Uwielbia tylko Godarda i Wenera Schroetera, ale dla Aurory gotów jest obejrzeć największe kicze świata.

- Me przeszkadzam? Chciałbym tylko zamienić z panią parę słów.

Ton głosu Daniela jest zdeterminowany. Prawie brutalny. Ten niewłaściwy ton, który przybierają najbardziej nieśmiali, gdy czują się przyparci do muru. Gdy już nie wiedzą, co robić, nagle zaczynają mówić. To, co zaniepokoiło Aurorę, to gorączkowy sposób, w jaki wypowiada te dwa słowa „nie przeszkadzam?”.

Zapalczywość w głosie nieznajomego sprawia, że odwraca się ku niemu. W przeciwnym razie zignorowałaby go, odchodząc

w swoją stronę w objęciu kochanka, nie zwróciłyby na niego najmniejszej uwagi.

Nie wiedziała, że wychodzi z tego samego kina, co ona. Że obejrzeliby ten sam stary film. Razem, ale oddzieleni dwoma pustymi rzędami. Ona z przodu, on z tyłu. Pochłonięci filmem *Ich dwoje* Leo McCareya. Druga wersja, z Carym Grantem i Deborah Kerr.

Za nimi na murze, przyklejony w poprzek, oryginalny afisz.

- Odpowiedź brzmi: tak. Przeszkadzasz nami Ciao, koleś! -warczy aktualny kochanek - spieszo mu do samochodu. Spieszo mu, by jak najprędzej znaleźć się w łóżku z Aurorą.

Daniel nie zwraca na niego uwagi. Nie, nie ma zamiaru go sprowokować; prawdę mówiąc, nawet nie widzi tego człowieka. Widzi tylko ją.

Przyszpilają wzrokiem. Już nie spuści jej z oczu.

- To nie potrwa długo... Proszę tylko o darowanie mi jednej chwili z pani życia!

Jest dziwny, z tym rozgorączkowanym spojrzeniem, z tą rwącą się mową, która zdaje się biec szybciej od jego myśli. Uśmiecha się do niego:

- Jednej chwili? Strasznie dużo...

Daniel stawia kołnierz kurtki, a przecież noc jest pogodna. Teraz on się uśmiecha, ale usta mu drżą.

- Tak... Wystarczy, żeby zmącić czyjeś życie.

Aktualny kochanek ma tego dość. Oświadcza Danielowi, że jego skecz jest przydługi. Że ich zwyczajnie teraz wkurza. Mówi do Aurory, żeby z nim szła, żeby już dała spokój. Facet jest spalony.

Spokojnie, z premedytacją, Aurora uwalnia się z jego uścisku. Każe mu zaczekać przy samochodzie.

- Zaraz przyjdę.

Kochanek namyśla się, czy jej posłuchać. Niewyraźnie czuje, że coś się dzieje. Coś, czego nie lubi. Podejrzliwym wzrokiem spogląda to na Aurorę, to na Daniela.

Nie patrząc na niego, Daniel cedzi chłodnym głosem:

- Powiedziała, że zaraz przyjdzie...

Aurora przytakuje bez słowa. Aktualny kochanek już wie, że tego wieczoru przegrał walkę. Że jest zbędny. Mruczy: „Czekam na ciebie” i odchodzi bulwarem Saint-Germain krokiem pokonanego.

Aurora i Daniel stoją przez chwilę naprzeciwko siebie, nic nie mówiąc. Teraz Aurora podnosi kołnierz dżinsowej kurtki. Daniel przerywa milczenie.

- Rzucisz go.

- Czytasz z kryształowej kuli czy z fusów ?

- Czytam z twoich oczu! To jest w nich napisane czarnym atramentem...

- I co jeszcze?

Daniel robi krok naprzód, w jej stronę. Boi się, żeby jej nie przestraszyć. Ale dobrze wie, co chce jej powiedzieć, od chwili gdy zobaczył jej twarz przed wejściem do sali kinowej. Więc jej to mówi:

- Coś wprost niewiarygodnego... Całe twoje życie, spędzisz je ze mną!

Aurora zaczyna się śmiać. Spontanicznym śmiechem. Tryskającym zdrowiem.

- Z tobą? Zwariowałeś!

- Tak. Na twoim punkcie.

Aurorze nie jest już do śmiechu. Oczy nieznajomego wpatrują się w nią zbyt intensywnie. Tak, teraz jej przeszkadza. W dosłownym znaczeniu.

- Przykro mi, ale minuta już minęła...

Odwraca się, żeby odejść. Daniel chwytą ją odruchowo za ramię.

- Zaczekaj!

Nie stawia oporu. Chciałaby, ale nie jest w stanie. Daniel zdaje się wyczuwać jej rozterkę. Mówi łagodnym tonem:

- Siedziałem tuż za tobą... Masz taki śliczny kark. Wskazuje palcem na plakat filmu Ich dwoje.

- Podobał ci się?

- Uwielbiam płakać. Ale tylko w kinie, nie myśl sobie! A ty? Daniel kiwa głową. Właśnie obejrzał ten film co najmniej dziesiąty raz.

- Pozwolę ci odejść, ale wiem. jedno: nasza kolejna randka będzie tą właściwą.

- Jaka randka? Po pierwsze, nie jestem wolna... A po drugie, nie jesteś w moim typie!

Co nie do końca jest prawdą. Daniel nie daje jej dojść do słowa.

- Dla mnie zrobisz wyjątek. Nerwowo zapala papierosa.

- Posłuchaj... Jesteśmy w Paryżu, nie w Nowym Jorku. Nie mamy tutaj Empire State Building, ale można się bez tego obejść. A zatem dajmy sobie trochę czasu i dopełnijmy powinności wobec naszych aktualnych partnerów, oboje... Za miesiąc, co do dnia, będę na ciebie czekał na parterze muzeum Rodina. Przy *Pocałunku*. Będę na ciebie czekał aż do zamknięcia... Przyjdiesz?

Aurora odgarnia kosmyk włosów z oczu. Odpowiada stanowczym głosem.

- Naturalnie, że nie! Nie jesteśmy w kinie. Mam wrażenie, że mylisz filmy z życiem... Boja nie!

Daniel robi dwa kroki do tyłu, nie spuszczać jej z oczu.

- Przyjdiesz. Tylko niech ci się nie przydarzy wypadek po drodze... Jak w filmie!

Uśmiecha się do niej ostatni raz. Po czym nagle ucieka, a raczej bierze nogi za pas. Biegnie coraz większymi susami, nie odwracając się za siebie.

Wkrótce jest już tylko nocnym cieniem.

Aurora opiera się o ścianę.

Spogląda na plakat *Ich dwojga*. Słowa tego człowieka, o którym nic nie wie, nawet nie zna jego imienia, rozbrzmiewają jeszcze w jej głowie.

Przyjdiesz.

Oczywiście, że przyjdzie.

AURORA

Najpierw się zawahałam, a potem odwróciłam szybkim ruchem.

Był tam. Stał u szczytu schodów, z rękami w kieszeniach, z głową wciśniętą w ramiona. Z uśmiechem na ustach. W ulewnym deszczu. Nieznośny smarkacz, któremu udał się kiepski kawał.

Powinnam natychmiast odwrócić wzrok i iść dalej w swoją stronę. Zrozumiałby to.

Ale znieruchomiałam. Niezdolna, by podejść do niego. By uciec. By zebrać myśli.

Zszedł do mnie. Moja wyciągnięta ręka zawisła w próżni.

- Nie pocałujemy się?

Odzyskać grunt pod nogami. Rozluźnić się. To był Daniel. Spróbowałam się uśmiechnąć:

- Oczywiście, że się pocałujemy...

Szybkie muśnięcie w oba policzki. Ucisk jego palców na moich ramionach. Trochę za mocny.

Odsunął się. Utkwił we mnie wzrok, przechylając na bok głowę:

- Zmieniłaś perfumy... Te są niedobre!

- A ty pachniesz jak stary zmokły kocur... Ciągłe nie uznajesz parasoli?

Śmiejąc się, podniósł kołnierz przemoczonej kurtki.

- Zupełnie jak ty! Mogę cię zaprosić na kawę? Odmówiłam ruchem głowy, bezwiednie.

- Trochę się śpieszę...

Wokół kręcą się ludzie. Poszturchują nas. Wymamrotałam „do widzenia”, prawie niedosłyszalnie.

- Zaczekaj! - zawołał. - Nie rozstawajmy się w ten sposób! To idiotyczne! Dokąd idziesz? Odprowadzę cię.

Powinłam była natychmiast odejść. Powinłam była powiedzieć „nie”. Nie, nie chcę, żebyś mi towarzyszył, żebyś ze mną rozmawiał, żebyś znowu kładł rękę na moim ramieniu. Nie chcę spędzić z tobą nawet kwadransa. Za dobrze cię znam, siebie też. Zbyt długo wyzwalalam się od ciebie. Boję się ciebie.

W porę pochwyciłam dźwięk otwierających się ze zgrzytem starych wrót i zobaczyłam czające się za nimi demony, gotowe znowu się na nas rzucić.

- Nie, Danielu... Nie nalegaj.

Za późno. Czujący gest, jakim odgarnął kosmyk moich włosów, potwierdził słuszność moich obaw.

- Nie cieszysz się ze spotkania?

- Tak, oczywiście... A właściwie to nie wiem... To takie... A poza tym...

Nie dokończyłam zdania. Miał taki smutny uśmiech.

- A poza tym, a poza tym - przedrzeźniał mnie. -A poza tym o co właściwie chodzi? Tylko kwadrans, Auroro. Tylko kwadrans ze mną. Czy to za wiele po dwunastu latach?

Pokonana, zawracam schodami metra razem z nim.

- Nic się nie zmieniłeś.

- A ty tak... Zmieniłaś się. Bardzo.

Schroniliśmy się w pierwszej napotkanej kafejce, na placu Colette, dwa kroki od ogrodów Palais-Royal. Było tłoczno i hałaśliwie. Ani jednego wolnego stolika. „Tym lepiej” - pomyślałam. „Nie można się rozsiaść”.

Usiedliśmy przy barze, ściśnięci, jedno przy drugim. Daniel zamówił czarną kawę i gitany dla siebie, dla mnie kawę z mlekiem. Zawsze to zamawiam, nie zapomniał.

- Uważasz, że aż tak bardzo się zmieniłam? Skinął najzupełniej poważnie głową.

- Jesteś jeszcze piękniejsza niż dawniej. Bardziej... promienna! Jak ty to robisz?

- Kłamca! Popatrz, mam zmarszczki...

Wskazałam na kąciaki oczu, tam, gdzie zaczęły się zarysowywać ohydne kurze łapki.

- Tutaj, widzisz? Potworne, nie?

Zmarszczył czoło. Delikatnie dotknął mojej skóry na brzegu powieki. Pieszczota. Poczulałam skurcz w dole brzucha.

Nie był niemiły. Miły też nie.

- Ładnie ci z tym. Rozkwitłaś... Wyglądasz na osobę szczęśliwą. A jesteś?

Zamoczyłam wargi w parzącej kawie z mlekiem i z pełnym przekonaniem kiwnęłam głową. Tak, jestem szczęśliwa.

Nie przestając na mnie patrzeć, Daniel zabawiał się sztormową zapalniczką, którą mu podarowałam podczas naszej wyprawy do Brehat. Otwierał i zamykał pokrywkę. Wydawała metaliczny dźwięk. Przeszywający.

Ruchem brody wskazałam na nią.

- Byłeś tam jeszcze kiedyś?

- Nigdy.

Zapalił papierosa, nie odrywając ode mnie oczu. Zmienił mu się wyraz twarzy. Jego twarz. Twarz, która nie potrafi kłamać. Można w niej czytać jak w otwartej księdze.

- Wyszłaś za męża? - zapytał spoza szaroniebieskiego obłoku.

- Dziewięć lat temu... Za mężczyzną, którego kocham i który mnie kocha. Takie jest życie.

- Ja, jak widzisz - wskazał na paczkę gitanów - pozostałem wierny sobie.

- A ja już nie palę. Od lat.

- A ty... to znaczy chciałem powiedzieć: wy...

- Córka, tak. Wkrótce skończy dziesięć lat. Ma na imię Elza.
Lepiej, żeby się od razu dowiedział. Zamknął na chwilę oczy.
Próbował przywołać uśmiech. Nie był przekonujący.
- Wkrótce dziesięć lat... To dobrze. Milczeliśmy przez chwilę oboje.
Nagle harmider w kafejce ucichł. Wszystko się rozmazało.
Poczułam wilgoć w oczach, kiedy wypuścił ostatni kłęb dymu.
- Miałaś rację, decydując się jeszcze raz na dziecko.

6

Miłość jest silnym narkotykiem.

Groźnym narkotykiem, który przyspiesza, skraca, zagęszcza czas. Rozjaśnia mrok duszy, sprawia, że niebo staje się bardziej niebieskie, a życie intensywniejsze, mocniejsze. Piękniejsze.

Aurora i Daniel są odurzeni od ponad roku tym nieuleczalnym narkotykiem.

W pokoju kliniki sfilmował ją pożyczoną na tę okoliczność od kumpla kamerą wideo. W kadrze Aurora pół leży, pół siedzi w łóżku, oparta plecami o wezglowie. Bynajmniej nie jest chora. Przeciwnie, nigdy nie była w lepszej formie. Wspaniale wygląda. Promiennie. Bije od niej szczęście.

Delikatnie tuli do piersi noworodka, który śpi spokojnie. Ich „szczęśliwe wydarzenie”, jak oznajmili rodzinie i przyjaciołom.

Dwudniowe niemowlę. Znak szczególny: na małej różowej główce imponująca kępka czarnych włosów, którymi zabawia się Aurora, robiąc z nich irokecki pióropusz, a la punk. „Będziesz buntowniczką, córeczko” - mówi.

Daniel śmieje się i kieruje obiektyw na twarzyczkę maleństwa.

- Hej, mężczyzno! Zamiast sobie kpić, wybierzmy imię dla tego puszka... Ostatni dzwonek, żeby ją zgłosić w urzędzie stanu cywilnego.

Daniel odkłada kamerę.

Napawa się widokiem obu istot. Aż trudno mu uwierzyć. Dołącza do nich na łóżko i szepcze Aurorze do ucha:

- Masz pojęcie? jesteśmy rodziną!

Od spotkania w muzeum Rodina nie rozstali się ani na jedną nawet noc. Jeszcze tego samego wieczoru, w dniu ich pierwszej randki, Aurora poszła do Daniela.

Przewidział to. Wszystko było przygotowane na jej przyjęcie. Pomalował ściany, ozdobił kwiatami pokój i zaopatrzył lodówkę na cały tydzień.

W ten sposób będą mogli nie wystawiać nosa na zewnątrz.

Ledwo zamknęły się drzwi, rzucili się na siebie. Od tak dawna się szukali, że natychmiast się odnaleźli. Od pierwszego miłosego uścisku. Daniel nie znał nigdy takiej kobiety jak ona. Także Aurora w żadnym miłosnym związku nie zaznała takiego szczęścia.

Pragnęła, żeby nigdy nie ustało.

Pragnęła, żeby zawsze trwało.

Byli stworzeni dla siebie.

W pewien kwietniowy weekend postanowili pojechać nad morze. Aurorze marzyła się wyspa z palmami i słońcem, ale konto bankowe Daniela nie bardzo na to pozwalało.

Ich wybór padł więc na Brehat w Bretanii. Daniel znał to miejsce. Wiedział, że rosną tam palmy. To było najważniejsze.

Co do słońca, mieli je w sobie.

Kręta droga przybliżała ich do przylądka l'Arcouest. W pewnej chwili Aurora poprosiła, żeby zatrzymał samochód.

Wysiadła, a on dołączył do niej na niewielki cypel. Przywarł do jej pleców, otoczył ją ramionami.

Wiatr przepędzał ostatnie chmury, chłostał ich twarze. Morze było turkusowe, a cofający się pływ odsłaniał archipelag kamienistych wysepek otaczających „ich” wyspę.

Brehat leżało na wodzie. Przepyszne, jak miraż z różowego granitu, w zasięgu ręki, półtora kilometra od brzegu.

Było pięknie. Po prostu pięknie. Aurora zamknęła oczy.

- Przysięgnij, że nigdy nie byłeś tu z inną... Przysięgnij! Daniel przysiągł. Dotarł tutaj tylko raz, sam, żaglówką.

- Czekałem na ciebie, żeby tu wrócić.

Wynajęli pokój w hotelu Bellevue, przy samym porcie. Numer 7. Mały pokój z małym łóżkiem, niemal jak pokój dziecienny. Przez otwarte okno słychać było przybój morza i porozumiewawcze naigrywanie się mew.

Tej nocy ich ciała nie mogły się sobą nasycić. Kochali się aż do krańcowego wyczerpania.

A oto rezultat. Drobinka - pięćdziesiąt dwa centymetry, trzy kilo i dwieście gramów. Drobinka z czarnym pióropuszem na głowie, która czeka, żeby nadano jej imię.

Daniel strzela palcami.

- Marina!

Kładzie głowę na ramieniu Aurory, czeka na jej odpowiedź. Jest z siebie zadowolony.

- To dobrze brzmi, Marina Miller, nie uważasz? Powtarza w różnych tonacjach: „Marina Miller... Marina

Miller? Marina Miller!!!”

Bawi się zaciśniętą piąstką śpiącej córeczki.

- Poza tym, ponieważ poczęliśmy cię na najpiękniejszej wyspie na ziemi, maleńka krewetko, to imię idealnie pasuje do twojego CV!

Aurora wydyma enigmatycznie wargi. Zapyta o zdanie córkę. Imię to poważna sprawa. Jest na całe życie.

Naprzężając ramiona, unosi swoje maleństwo, odwraca twarzą ku sobie.

- Co o tym sądzisz, puszkę? Odpowiada ci imię Marina? Podoba się? Mała rozchyła powieki, krzywi się i ziewa. Aurora chrząka.

- Nie wygląda na zachwyconą, prawda?

Daniel protestuje: przeciwnie, skoro ziewa, to znaczy, że mówi tak!

Aurora śmieje się.

- Zgoda, niech będzie Marina...

Kładzie małą na piersi. Tuli ją delikatnie, jak najbliżej siebie.

- Witaj na pokładzie wielkiego statku życia, marynarzyku!

DANIEL

Marina, mój aniołku? Gdzie jesteś? Gdzie my jesteśmy?

Na zewnątrz bez przerwy leje. Kawiarnia opustoszała, nawet nie zauważyłem kiedy.

Ona patrzy na mnie i nic nie mówi. Oparta łokciami o bar, podpira ręką skroń. Pomiedzy dwie chmury wdziera się promień słońca. Pada na nią, rozświetla jej jeszcze wilgotne czarne włosy.

Nie rozmawiamy, ale mówimy sobie tak wiele.

Pragnę tylko jednego. Jej. Jej całej. Tutaj, natychmiast. Przytulić ją z całej mocy. Pocałować, poczuć jej ciało. Potrzeba zatracenia się jest tak silna i nagła, że aż nie do wytrzymania. Czynię nadludzki wysiłek, żeby zachować się z rezerwą. Ponownie pociągam nosem.

- A więc teraz sama kupujesz sobie perfumy? Ze mną by to nie przeszło, to oburzające...

W jej oczach widzę zdumienie. Zanurza rękę w kieszeni, sprawdza, czy perfumy są na swoim miejscu, ale ich nie wyjmuje.

- Skąd wiesz? Śledziłeś mnie?

- Broń Boże... Nie mówiłem ci? Prowadzę gabinet jasnowidztwa. Wielki Marabut Bubakar Miller. Doskonale

prosperuje! Zaczarowuję, odczarowuję... Wszystko, cokolwiek sobie zażyczysz!

Opowiadam tak przekonująco, że zbijam ją z tropu. Zastanawia się właśnie, czy mówię prawdę, czy ją zwodzę.

Najchętniej zawiódłbym ją na wielki statek. Piękny biały żaglowiec. Opłynęlibyśmy nim cały świat. Zaszylibyśmy się na zagubionej wysepce Oceanu Indyjskiego i nie ruszali się stamtąd. Jedlibyśmy orzechy kokosowe i banany. Banany i orzechy kokosowe.

Bawi mnie wyraz jej twarzy, gdy mówi:

- Nie zajmujesz się tym! Blagujesz! To przecież żart, prawda?

- Nic podobnego! Marabut! To bardzo fajne zajęcie. Spotyka się masę ludzi. Chcesz wizytówkę?

Udaję, że szukam w wewnętrznej kieszeni. Aurora patrzy mi w oczy i z każdą chwilą błędnie coraz bardziej.

- Wyobraź sobie, że mam szczególny dar: potrafię w jednej chwili przywołać ukochaną istotę!

Potrząsa głową, zakłada kosmyk włosów za ucho.

- Przestań! I tak ci nie wierzę. Taktycznie milknę, udaję urażonego.

- Oto dowód - jesteś tu!

Milczy. Robi wielkie oczy. Pomiędzy różem jej na wpół rozchylonych warg widzę dwa rzędy równych białych zębów.

Mam dziką ochotę wślizgnąć się tam językiem. Poczuć smak ust o zapachu kawy z mlekiem.

Wybucham śmiechem. Ona także, z ulgą. Po raz pierwszy widzę, jak znowu się śmieje. Porusza mnie to. Czuję ukłucie w okolicy serca. Naśmialiśmy się niemało, Aurora i ja.

Daje mi lekkiego kuksańca w ramię.

- Możesz być zadowolony! Prawie mnie nabrałeś! Głupi wariat! Ale poważnie, czym się teraz zajmujesz? Nadal wykładasz?

- Nie, skończyłem z tym... Złożyłem wymówienie. Zostałem współnikiem ojca.

- Michała? Nadal prowadzi drukarnię?

Wyjaśniam w paru słowach, że założyliśmy z ojcem niewielką oficynę wydawniczą, która mieści się w dawnej drukarni przy Denfert. Książki dla dzieci. Les Edition du Meunier.

Słucha mnie uważnie, z zainteresowaniem.

- Ale heca! Kto by pomyślał! Elza ma ich całą kolekcję. Uwielbia je... ja także. Skoro tak, to ty jesteś ten... Meunier?

- Przed tobą nic się nie ukryje!

Zerka chytrze i zanurza rękę w kieszeni prochowca.

- Mam dla ciebie niespodziankę. Zamknij oczy!

- Wykluczone! Skorzystasz z okazji i znikniesz...

- Przestań i zamknij oczy!

Poddaję się. Mam zamknięte oczy, a nadal ją widzę. To straszne. Jej obraz mnie nie opuszcza. Słyszę dźwięk rozdzieranego papieru. Czuję lodowaty strumyczek na zewnętrznej stronie dłoni.

- Co to takiego?

- Psst! Nie otwieraj oczu i oddychaj. Nic ci to nie przypomina?

Pochyliam głowę ku dłoni. Wraz z zapachem perfum zalewa mnie fala wspomnień. Niemal skaczę z radości.

- No nie! Ależ to *moje* perfumy! Alize. Takie, jakie ci ofiarowałem od początku...

Pokazuje mi flakonik z wygrawerowaną rozbryzgującą się morską falą.

- Nigdy ich później nie używałam. I nagle... dosłownie przed chwilą, zapragnęłam ich. Czy to nie wariactwo? Sama nie wiem dlaczego.

- Naprawdę? A ja wiem. To przeznaczenie.

Aurora spuszcza oczy. Dyskretnie spogląda na zegarek. Wsuwa alize do kieszeni. Zbiera się do wyjścia.

Zaczynam się denerwować. Rzucam na stolik wizytówkę.

Kładzie mi rękę na ramieniu. Uśmiecha się.

- Muszę odebrać Elzę z lekcji tańca.

- Odprowadzę cię do metra.

Nie mówię tego w formie pytania, więc mi nie odpowiada. Idzie przede mną do wyjścia.

Zasłużyłem na odroczenie. To pocieszające.

Przechodzimy na drugą stronę placu Palais-Royal, nie zamieniając ze sobą ani słowa. Za mało mamy czasu.

Na niebie słońce wygrało ostatecznie pojedynek z chmurami. Bezapelacyjne zwycięstwo. Jego promienie odrabiają zaległość i ogrzewają błyszczącą po deszczu nawierzchnię placu. Chodnik pod naszymi nogami paruje. Posuwamy się we mgle.

Idę obok ciebie, spoglądam na twój profil. Trzymasz prosto głowę. Usiłuję wyobrazić sobie Elżę. Twoją córkę. Czy ma twoje duże czarne oczy? Twoje usta, twoje włosy? Czy ma twój uśmiech? Usiłuję wyobrazić sobie Elżę, a widzę Marinę.

Ona miała wszystko po tobie. Wiem, że i ty o niej myślisz.

To dlatego między nami nie pada ani jedno słowo.

Aurora zatrzymuje się przy wejściu do metra. Koniecznie muszę dostać numer jej telefonu, musimy się znowu spotkać. Nie można tak się rozejść. Odnaleźliśmy się, prawda?

Dlaczego o tym nie pomyśli? Odwraca głowę, ale nie w moją stronę. Szuka czegoś wzrokiem.

- Za czym się tak rozglądasz?

- Za niczym. Jeszcze przed chwilą był tutaj anioł... Piękny, cały w bieli.

- Widocznie odleciał. (Podnoszę głowę ku niebu). ***Jest tak pięknie, że nie chce się wierzyć...***

Widzę lekki uśmiech na jej twarzy. Kontynuuję poemat Aragona:

- ***Jest tak pięknie, jak nigdy...*** Chodź, wsiądę raczej przy Concorde. Przejdziemy przez Tuileries.

Oddycham głęboko. Już nie chce się mnie pozbyć.

Ogród Tuileries. To jedno z naszych miejsc. Mieliśmy ich kilka w Paryżu. Most des Arts. Plac Furstemberga z jego czteroramienną latarnią, a zaraz obok ulica Jacob.

Ogród Alberta Kahna, ale to już w Boulogne. Ulica Bagno-let, gdzie mieszkaliśmy. Gdzie dotąd mieszkam. Gdzie zawsze mieszkałem. Oczywiście muzem Rodina. Miejsca te należą do wszystkich, ale wytyczają naszą historię.

Tuileries, właśnie tu jesteśmy.

Bywaliśmy tu często, żeby w niedzielne ranki pojeździć na rowerze, przeganiani i przeklinani przez strażników. Mieliśmy niezłą zabawę. Bawiło nas wszystko, co zabronione. A okazji było mnóstwo.

Wiem: już to mówiłem.

Po przejeździe siadywaliśmy odetchnąć na kamiennej ławce.

To był rytuał, Aurora siadała mi okrakiem na kolanach.

Całowaliśmy się, pieścili pod ubraniem. Moje ręce biegały pod jej wielkim niebiesko-szaro-zielonym swetrem pogryzionym przez mole, który tak lubiłem. Palce wsuwały się pod ramiączka stanika. Rozżarzały na sutkach jej piersi. Nie mogliśmy się sobą nasycić. Robiliśmy to bez najmniejszego skrępowania. Nie znaliśmy umiaru. Więc, oczywiście, tym także narażaliśmy się na gwizdy strażników. To także było zabronione.

Teraz wszystko powraca falami, jakby to było wczoraj.

Dzisiaj za bardzo oddaliła się ode mnie. Biorę ją pod ramię.

- Mogę? Nie krępuje cię to? Nie opiera się. Mówi:

- Opowiedz trochę o sobie... Co porabiałeś przez te wszystkie lata?

Schodzimy z głównej alei, biegnącej środkiem ogrodu. Zbyt uczęszczana. Prowadzę ją w stronę dwóch małych basenów pod drzewami. Cóż mogę jej powiedzieć? Naprawdę odnoszę wrażenie, że od naszego rozstania nie wydarzyło się nic ważnego. Zaczynam więc od tego momentu:

- Rozeszliśmy się... Właściwie... ty odeszłaś ode mnie. To było takie brutalne.

Patrzy na kaczki i nenufary, unoszące się na wodzie z brązu.

- Podobno wyniosłeś się na prowincję.

To prawda. Jeszcze przez kilka lat od naszego rozstania byłem wykładowcą. Poprosiłem o posadę w Nicei. W rezultacie dostałem Rennes! Później Auxerre.

- Polecam ci Auxerre. Tam nawet nie trzeba brać proszków nasennych.

Śmieje się z tego. Ale to nie jest dobre wspomnienie. Środki nasenne.

- Długo tam spałeś?

- Cztery lata. Harowałem, musiałem się czymś zająć. Przede wszystkim musiałem się oddalić. Odległość i samotność - to było najważniejsze. Aż w końcu wróciłem.

Aurora wyprostowuje się. Szybkim, nerwowym ruchem poprawia kołnierz mojej kurtki, który jak zwykle się przekrzywił.

- Zawsze w końcu wracasz. Koniec końców.

- A widzisz!

Uśmiecha się w kierunku młodych zakochanych, którzy całują się w same usta na kamiennej ławce.

Dziewczyna siedzi okrakiem na kolanach chłopaka. Można by rzec, że to my. Nic w tym śmiesznego.

- Przejdźmy się trochę - mówię do niej.

Ich kamienna ławka.

To ta trzecia po prawej w głównej alei Tuileries, niedaleko maneżu. Oba ich rowery leżą na ziemi, rzucone jeden na drugim. Splątane jak oni.

Usta Aurory odrywają się od ust Daniela. Wtula policzek w zagłębienie jego ramienia, słyszy, jak mówi: „Pojeździmy trochę?”

Aurora kręci głową. Nie zamierza się ruszać. Tak jest dobrze. Tu jest jej miejsce. A poza tym chce mu obwieścić nowinę. Teraz, zaraz, nie chce tego odkładać. Obejmuje go za szyję i jeszcze mocniej przywiera do niego. Boi się trochę, nie wie, jaka będzie jego reakcja, gdy mu to powie. Może nawet za bardzo się boi.

- Naprawdę jesteś ze mną szczęśliwy, Danielu? jego odrobinę posepne westchnienie.

- Ani trochę! jestem przytłoczony, moje życie nie ma sensu, widzę wszystko w czarnych barwach... To prawdziwa katas...

„Troja” przeradza się w przeszywający krzyk. Aurora błyskawicznie pociąga go za kosmyk włosów na karku. Tam, gdzie najbardziej boli.

Będzie miał nauczkę. Nie kpi się z tych rzeczy.

- Bądź poważny, choć trochę! To ważne... Ponieważ mam pewien niewielki problem, wyobraź sobie.

Schodzi z jego kolan i siada obok, nadąsana.

Daniel obejmuje ją ramieniem. Przytula do siebie. Całuje jej włosy. Chce, żeby na niego spojrzała.

Aurora odwraca głowę. Daniel wstaje i przesiada się na drugą stronę. Aurora spuszcza wzrok. Daniel unosi jej brodę. Delikatnie.

Zagłada jej głęboko w oczy.

- Spójrz na mnie... Posłuchaj, jesteś całym moim życiem. Jesteś jedyna. Przed tobą nie wiedziałem, co to miłość. Czy to, według ciebie, nie nazywa się szczęście?

Oczy Aurory promienieją. Przyciąga głowę Daniela do swojego niebiesko-szaro-zielonego swetra. Do swojej piersi.

Jej piersi urosły w ostatnich tygodniach. Z renet zamieniły się w goldeny, a następnie w kanadyjskie jabłka. To rodzaj przemiany, którą dostrzegają mężczyźni. Daniel dostrzegł. Aurora wymyślała przeróżne rzeczy, żeby wytłumaczyć to zjawisko. Opowiadała o cudownym kremie, kupionym w afrykańskim butik. Naprawdę, najprzeróżniejsze rzeczy. Daniel gwizdał ze zdumienia. Powiedział, że są wspaniałe. Dodał: „Przedtem też je uwielbiałem”.

- No więc cóż to za „niewielki problem”? - zapytuje.

Głos ma tak delikatny i czuły, że Aurora zwleka z odpowiedzią. Wolałaby, żeby sam odgadł. Umyślnie przedłuża chwilę.

- Będę musiała odstawić rower.

- Och, do tego stopnia! Dopiero je kupiliśmy. Musisz więc mieć poważny powód.

- Mam. Nie wiem, czy ci się spodoba...

Daniel odsuwa się od Aurory. Zmienia się na twarzy, jest zaniepokojony.

- O rany! Obawiam się najgorszego. Więc już urodź, co masz urodzić! „Urodź!” Aurora nie potrafi powstrzymać uśmiechu. Poprawia mu kołnierz kurtki, który jak zawsze jest przekrzywiony.

- Nie mogłeś tego lepiej ująć.

Twarz Daniela nieruchomieje. Opuszcza ramiona. Potrząsa głową. Łapie się za czoło, przytrzymuje je kciukiem i palcem wskazującym. Trwa tak z dłonią przesłaniającą oczy. Wygląda jak ofiara oślepiającego ciosu.

- Jesteś pewna? Bierzesz przecież pigułki?

- Tak, ale... czasami to się zdarza. Najlepszy dowód.

Aurora spodziewała się takiej reakcji. Jest smutna, to oczywiste, ale nie zaskoczona. Jego myśli są przejrzyste jak woda. Dla niej nic się nie zmieniło. To dziecko nie było planowane. W każdym razie nie teraz. Musiała mu to koniecznie powiedzieć, ponieważ niczego przed nim nie ukrywa. Najważniejsze, żeby to nowe życie, które w niej jest, nie zakłóciło ich miłości. Żeby nie wystawiło jej na niebezpieczeństwo. Daniel jest dla niej wszystkim. Jest ważniejszy od dziecka, które nosi pod sercem.

- Uważasz, że jest za wcześnie, hmm? To nic, pójdę... Daniel nie daje jej dokończyć zdania. Podrywa się z miejsca.

- Dziecko!

Wymawia te dwie sylaby z nieopisaną euforią. Aurora pamięta to do dziś. Porywa ją z ławki i kręci się w koło, trzymając ją w ramionach. Aż do zawrotu głowy.

- Nasze dziecko! Nasze! To cudownie!

Kręci się razem z nim. Śmieje się z nim. Całą sobą przywiera do niego.

To jej mężczyzna.

Podekscytowany Daniel stawia ją na ziemi. To zbyt piękne. Cały świat musi się o tym dowiedzieć! Zostawia ją obok kamiennej ławki, a sam wskakuje na rower.

Aurora patrzy za nim, gdy pedałuje jak szalony i wrzeszczy na całe gardło:

- Będziemy mieć dziecko! Hura! Pierwsi się o tym dowiadujecie! - obwieszcza oszołomionym spacerowiczom.

Puszcza kierownicę, wyczynia akrobacje.

- Dziecko! Macie pojęcie? Będę ojcem!

Na pełnym gazie zatacza koła wokół strażnika, który dmucha w gwizdek ile sił w płucach.

- Prawdziwe dziecko! To najpiękniejszy dzień w moim życiu! Aurora przygląda się jego wygłupom. Płacze i śmieje się jednocześnie. Kładzie rękę na brzuchu.

Najpiękniejszy dzień ich nowego życia. We troje.

AURORA

Zostawiliśmy naszych zakochanych na ich ławce. Daleko za nami.

Co ja tam robiłam? Spacerowałam z nim pod rękę, jakbyśmy się wczoraj rozstali. Najspokojniej w świecie. Napięcie pierwszych minut uleciało stopniowo. Już nie czułam tej gorzkiej kuli w gardle. Przestałam też widzieć to czerwone światełko, które mrugało ostrzegawczo w mojej głowie, gdy siedzieliśmy w kawiarni.

Uwaga: Daniel. Uwaga: niebezpieczeństwo!

Teraz czułam się beztrosko. Jakby mi ulżyło. Wkrótce się rozejdziemy. Ja pójdę do metra, on na plac Zgody.

- A zatem do widzenia, Danielu. Miło było znowu cię spotkać.

- Mnie także... Może wkrótce znowu się spotkamy. Kto wie?

Tak to się odbyło. Tak właśnie chciałam. Zdawkowe, banalne zdania. Żadnej obietnicy spotkania. Żadnych numerów telefonu. Każde idzie w swoją stronę. Przypadkowe spotkanie, które nie będzie miało jutra. Koniec, kropka.

Nim przejadę trzy stacje, będę myślała o czymś innym. Tego także chciałam.

Chciałam jak najszybciej wrócić do mojego obecnego życia. Do Elzy i do Sama.

Sam, moja opoka, skała Gibraltaru. On, który mnie przygarnął, kiedy byłam już niemal na dnie przepaści. Który mnie od razu pokochał. Który mnie odzwyczaił od Daniela. Który potrafił czekać, żebym i ja go pokochała. Z niespotykaną cierpliwością. Który mi powiedział pewnego dnia: „Miłość trzeba wyleczyć miłością, tak jak chorobę szczepionką”.

Daniel puścił moje ramię. Wsunął ręce do kieszeni:

- Wiesz, że nadal mieszkam w naszym aparta...
- Może powinienś był się przeprowadzić.
- Sądzisz, że wystarczy zmiana miejsca, żeby zapomnieć? Gdyby to było takie proste!

Czerwone światelko znowu zaczęło mrugać. Ale ja za nic nie dam się wciągnąć na ten grząski teren. Znowu czuję obręcz na gardle.

Zbliżamy się do wyjścia z parku od strony placu Zgody. Połączony wierzchołek wieńczący obelisk jest jak płomyk latarni morskiej, która mi wskazuje dobry kierunek.

Właśnie ten, a nie inny. Inaczej zginę z kretelem.

Zdołałam się jeszcze na uśmiech, jak gdyby nigdy nic.

- Nie powiedziałaś mi, czy z kimś jesteś. Zaprzecza ruchem głowy.
- Już nie. Byłam z „kimś”, jak mówisz, w Auxerre.
- No widzisz! Więc jednak nie tylko tam spałeś... Moje wysiłki, żeby przełamać tę jego powagę, spełzły

na niczym. Wykonał nieokreślony ruch ręką:

- To się skończyło po pół roku. Nie z jej winy. - Przystanął. - To nie było to... Rozumiesz?

- Co znaczy: nie to?

Zapalił papierosa. Spojrzał mi głęboko w oczy.

- To znaczy: nie tak jak z tobą.

Przez chwilę czułam się niewyraźnie. Bardzo niewyraźnie. Zmieszałam się i powiedziałam głupio:

- Mam nadzieję! Z nami nie było nic pewnego. Rysy mu się zaostrzyły.

- Udajesz, że nie rozumiesz.

Wyrzucił papierosa. Przyciągnął mnie do siebie. Zaczęłam się wrywać, ale mnie przytrzymał. Stopy nie znajdowały oparcia na miękkim żwirze. Na próżno się szarpałam. Usłyszałam słowa, które wypowiedział do mnie tym swoim głosem z pierwszych dni naszej znajomości:

- Posłuchaj mnie... Próbowałem żyć inaczej, Auroro. Przysięgam, próbowałem, ale nie potrafiłem już pokochać innej kobiety.

Przestałam się wrywać. Wbrew sobie pogłaskałam go po włosach.

- Nie mów tak... Tak nie można. Proszę!

Nie widziałam jego twarzy, ukrył ją na mojej szyi. Czułam jego rozpalony oddech.

- Byłaś jedyna. Zawsze nią będziesz. Od razu serce szybciej mi bije... Wystarczy, że jesteś obok. Nic na to nie poradzę.

- Przestań! Proszę cię, przestań... To boli! - Odepchnęłam go brutalnie. - Nigdy więcej tego nie rób! Nie jestem już tą, którą byłam, ty też. Minęło dwanaście lat. W moim życiu nie ma dla ciebie miejsca.

Pobiegłam w stronę bramy ogrodu. Usłyszałam za sobą jego kroki dudniące o chodnik.

Za daleko do metra. Przywołałam taksówkę. Uciec jak najszybciej. Wyrwać się z tej burzy namiętności, od której mąci mi się w głowie. Dogonił mnie w chwili, gdy samochód zatrzymał się obok mnie.

- Wybacz mi! Powiedz, że niedługo znowu się spotkamy...

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Otworzyłam tylne drzwi. Przytrzymał je zdecydowanym ruchem.

- Masz rację, zgoda. Nie powinienem był ci tego wszystkiego mówić. To nie powód, żeby...

Przerwałam mu, byłam stanowcza. Powiedziałam, że bardzo się cieszę ze spotkania, że to był zupełny przypadek.

- I niech tak pozostanie. Tak będzie lepiej dla nas obojga. Każde ma własne życie, prawda?

Rzuciłam się na tylne siedzenie. Byłam jak w transie. Drżałam na całym ciele.

Daniel pochylił się, żeby mnie pocałować w policzek. Uchyliłam się. Powiedział:

- Aleś ty twarda! Przecież moglibyśmy się od czasu do czasu widywać. Jak starzy przyjaciele...

- Ty i ja nie nadajemy się na przyjaciół. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Zatrzasnęłam drzwi. Zaczął stukać w szybę.

Walił pięścią. Nigdy go nie widziałam w takim stanie. Czarny kierowca odwrócił głowę. Spod jamajskiej czapeczki spływały grube dredy.

Z przyciszonego radia płynęła melodia *No woman, no cry*.

- Coś trzeba zrobić! Pani mężczyzna zaraz wybić mi szyba!

Nacisnęłam przycisk. Zrobiłam szparę w oknie. Krzyknęłam bliska płaczu:

- Zostaw mnie w spokoju, Danielu! Zostaw!

- Zostawiam. Nie obawiaj się... Nagryzmolił numer na bilecie metra.

- To moja komórka. Zadzwoń, gdybyś zmieniła zdanie. W nocy, w dzień, kiedy zechcesz! Decyzja należy do ciebie. Będę na ciebie czekał całe życie.

Chciałam, żeby to się skończyło. Chciałam, żeby taksówka zabrała mnie daleko od niego. Wzięłam bilet. Zamknęłam okno.

Daniel uśmiechnął się. Ja nie. Odsunął się od samochodu. Powąchał wierzch dłoni, tam gdzie go spryskałam perfumami z przeszłości.

Zazgrzytał pierwszy bieg. Taksówka włączyła się do ruchu na placu Zgody.

Nie odwróciłam się. Szofer zaczął się śmiać. Czarne liany jego dredów kołysały się we wszystkie strony.

- Wygląda, jakby był niesamowicie napalony! Znacie się chyba od bardzo dawna. Dokąd jedziemy?

Podaliśmy mu adres szkoły tańca Elzy. Aleja Gambetty przy Pere-Lachaise.

- Mam zamknąć radio?

- Nie, przeciwnie. Proszę puścić głośniej. Najgłośniej, jak można!
Musiałam zagłuszyć myśli. Przestać się w nie wsłuchiwać. Obracałam w palcach bilet metra.

Byłam u kresu. Czułam się niedobrze. Mdlilo mnie, bolał mnie żołądek. Wszystko mnie bolało. Moje serce było jak otwarta rana. Byłam wyczerpana. Wypruta. Rozbita. Zgięłam się w pół.

Wybuchnęłam szlochem. Płakałam na tylnym siedzeniu taksówki, z twarzą w dłoniach.

Kiedy się wreszcie opanowałam, byliśmy na placu Republiki. Przytknęłam skroń do szyby. Egzotyczny kierowca spojrzął na mnie w lusterku. O nic nie pytał.

Podarłam bilet metra, opuściłam szybę, żeby go wyrzucić. Machałam prawą ręką na zewnątrz, na wietrze, zaciskając w palcach dwa kawałki zielonej tekturki.

W lusterku pochwyciłam wzrok kierowcy.

Wystarczy, żeby rozluźniła palce. Karteczki uleciałyby w powietrze. Nie miałabym pokusy, żeby do niego zadzwonić. To byłby prosty gest, łatwy. Ostateczny.

Poczułam znowu gorący oddech Daniela na szyi.

Nie byłam w stanie rozluźnić palców. Włożyłam podarty bilet na dno torebki. Kierowca, automatycznym przyciskiem po swojej stronie, podniósł moją szybę. Wsunął kolejny krążek CD do odtwarzacza. Leonard Cohen. *Fm your man*. Ulubiony kawałek Daniela.

Nie poprosiłam, żeby zmienił na Marleya.

W sali tańca, na lustrzanej ścianie, zobaczyłam Elzę. Posłała mi uśmiech króliczka. To jej specjalność. Górna warga podwinięta, zęby na wierzchu.

Oparłam się o drzwi szatni. Czułam się trochę lepiej. Jeszcze tylko ta słabość w nogach. Jakby w każdej chwili mogły się pode mną załamać.

Lekcja prawie skończona. Przy drażku, w równym rzędzie, Elza wraz z koleżankami wykonują ostatnie *grands battements*.

W czarnym trykocie wydała mi się jeszcze smuklejsza

i wyższa niż zwykle. Ze związanym na czubku głowy koczkciem wyglądała dorosłej. To już kobietka.

Nauczycielka podchodzi do niej i poprawia ułożenie ramion.

- O tak, Elzo, a stopa mocno napięta! I zamiataj nią mocno podłogę, o tak!

Na koniec przerwała grę na fortepianie. Klasnęła w dłonie:

- No, panienki, na dzisiaj to wszystko! Zatem do piątku, o tej samej porze! I proszę nie zapomnieć *demi-pointes*.

Chmara rozćwierkanych dziewczynek pofrunęła w stronę szatni. Elza rzuciła mi się na szyję. Włosy miała mokre od potu. Ciężko oddychała.

- Widziałas moje *grands baltements*? Jestem najlepsza w grupie!

- Mówiłam ci, że do tego dojdiesz... Nie jesteś za bardzo zmęczona?

Wytarła przesadnym gestem czoło.

- Jeszcze jak! Jestem śmiertelnie skonana! Krew odpłynęła mi z twarzy. Skonana. ŚMIERĆ! Potrząsnęłam ją za ramiona.

- Nie mów tak!

- Jak? Co ja takiego powiedziałam?

Wzięłam głęboki oddech. Miałam ochotę na papierosa. Pocałowałam ją w czoło. Opanowałam się. Nawet się uśmiechnęłam.

- Nic... Nie pasują do ciebie takie słowa. A teraz ubieraj się szybko, moja maleńka.

Dąsając się, popchnęła drzwi szatni. Odwróciła się w moją stronę. Skarciła wzrokiem.

- „Moja maleńka"! Te słowa też do mnie nie pasują. Do tego przy koleżankach! Robisz mi wstyd.

Zniknęła za drzwiami, które zamknęły się z trzaskiem.

Znowu oparłam się o ścianę. Zamknęłam oczy.

Moja maleńka nieobecna. Nigdy o tobie nie zapomniałam.

Ona - wraca w pośpiechu do domu.

Ściska mocno Elzę za rękę. Trzyma się jej kurczowo, choć mogłoby się wydawać, że jest odwrotnie. Tak szybko idzie chodnikiem alei Parmentier, że Elza niemal biegnie przy niej.

Sądzi, że gdy tylko znajdzie się w domu, jej złe samopoczucie minie.

Jest jak pozbawiony steru statek, który potężny wiatr omal nie roztrzaskał o rafy, ale który wraca do portu. Ze złamanym masztem. Z uszkodzonym kadłubem.

On - szuka schronienia w Tuileries.

Idzie, gdzie go nogi niosą. W stronę ich ławki. Wyciąga się na nagrzanym od słońca kamieniu. Wypala jednego za drugim cztery papierosy. Nie żałuje niczego, nawet jeśli ma świadomość, że za daleko się posunął. Za szybko.

Po raz pierwszy od lat znów jest sobą. Odnalazł się, odnajdując Aurorę. Sprawdza, czy komórka jest w porządku. Zaczyna już czekać na jej telefon.

Jeszcze nie cierpi. Na to jest za wcześnie. Wdycha zapach na wierzchu dłoni. Na jego skórze perfumy nabrały intensywności. Aurora jest z nim. Zobaczył ją znowu.

Ona - pędzi z Elzą po schodach. Drugie piętro. Drzwi na prawo. Klucz w zamku. Drzwi trudno się otwierają. Trzeba pociągnąć skrzydło i jednocześnie przekręcić klucz. Trzeba o tym wiedzieć.

Elza wchodzi pierwsza. Rzuca torbę i znika w swoim pokoju.

Pod drzwiami poczta. Rachunki. Reklamy. Pan i pani Servais. Aurora ich nie otwiera, zdejmuje płaszcz. Meble stoją na swoim miejscu. Na komodzie kwiaty z niedzieli opuściły głowy. Trzeba zmienić wodę. Brak wiadomości na sekretarce.

Wszystko w porządku. Wszystko w normie.

Daniel wraca na piechotę do siebie. Chce przeciągnąć ten dzień najdłużej, jak się da. Rozcieńczyć czas. A przede wszystkim nie jechać metrem. Jeśli zadzwoni na komórkę, nie będzie jej w metrze słychać.

Plac Bastylli, wybiera numer Editions du Meunier. Nikt nie odpowiada. Ojciec powinien być w firmie. Umówili się w sprawie tego nie cierpiącego zwłoki rękopisu. A tymczasem nie ma go tam. Tym lepiej. Nie trzeba się tłumaczyć.

Poza tym i tak by mu nic nie powiedział.

Zaraz potem sprawdza pocztę głosową. Może próbowała się z nim połączyć? W ciągu ostatnich sekund? Nigdy nie wiadomo.

Brak wiadomości.

Jak co wieczór Aurora pomaga Elzie w odrabianiu lekcji w jej pokoju.

Jak co wieczór zastanawia się w kuchni, co zrobić na kolację.

Jak co wieczór Sam wraca z pracy. Anonsuje swoje przybycie dwoma krótkimi dzwonkami i od razu dołącza do niej.

Jego pierwsze słowa, pierwsze gesty, kiedy się pojawia, są przeznaczone dla niej. Omiata ją czułym spojrzeniem. Całuje delikatnie w usta. Zauważa, że ma trochę zaczerwienione oczy.

Mówi mu, że to pyłki. To ich pora. Przejdzie.

Elza jest już w wannie. Sam słyszy, jak bawi się w wodzie lalkami Barbie. Zagląda więc do niej. Kiedy wchodzi, Elza chowa się pod pianę. On udaje, że jej szuka. Gdzie moja córka? A to dopiero! Auroro, nie widziałaś Elzy? Może zamieniła się w ropuchę? Pochyla się nad wanną. Elza szybko wynurza głowę spod piany i ochlapuje nią ojca.

Słyszając ich śmiech, Aurora też się śmieje. Włącza cicho radio. O tej porze stacja FIP nadaje jazz.

Wszystko w normie. Wszystko w porządku.

Podczas gdy Elza nakłada piżamę, Sam pomaga Aurorze w kuchni. Przygotowuje sos do sałaty. Kroi chleb. Kładzie trzy nakrycia. Opowiada o swoim dniu w szpitalu, nigdy nie narzekając.

Siadają do stołu. Aurora zadaje Samowi pytania, wypytuje o szczegóły. Sam odpowiada.

- A u ciebie? Co nowego?

Aurora wstaje, żeby podać półmisek ze spaghetti carbo-nara. U niej? Nic specjalnego. Wyszła na krótko. Przed burzą. Rano miała telefon z czasopisma „L'art pour tous”. Wybrali jej projekt i powierzyli wykonanie makiety. Jest zadowolona. Sam także.

Przy stole Elza wygłupia się. Wsysa spaghetti jedno po drugim, hałasując przy tym i chlapiąc. Przerywa ojcu, przerywa matce. Elza, pozwól nam porozmawiać! Zabawia się więc w papugę. Powtarza ich słowa. Wreszcie ojciec zaczyna się śmiać.

Aurora spogląda na swój talerz z wystygniętym makaronem. Stwierdza, że nie jest głodna.

Mimo wszystko je.

Daniel przeskakuje stopnie po cztery naraz.

Przez drzwi usłyszał dzwonek telefonu. To ona! Zgubiła bilet do metra, znalazła jego nowy numer przez minitel. Trzeci dzwonek. Daniel przeklina siebie. Powinien był wrócić wcześniej. Jest tak podekscytowany, że z trudem

trafia kluczem w dziurkę. Jest jak we śnie, kiedy wszystkie ruchy są spowolnione.

Słyszy włączającą się automatyczną sekretarkę. Klnie na głos. Aurora nigdy nie lubiła tych urządzeń!

Dzień dobry, tu mieszkanie Daniela Millera...

Wreszcie drzwi ustępują. Nawet ich nie zamyka. Szybkim krokiem przemierza korytarz. Czuje serce w gardle. Oby się tylko nie rozłączyła!

Proszę o pozostawienie wiadomości po...

Wyrywa słuchawkę z podstawki. Nawet nie mówi: halo. Jest nieprzytomny z radości. To ona, z całą pewnością.

- Aurora?

DANIEL

- Pudło! Nie Aurora, Lea!

Co za Lea? Śpiewny głos przywołuje dalekie skojarzenie. Także imię. Twarz - nie od razu ją sobie przypominam. Przed oczami mam twarz Aurory. Wreszcie z mroku wyłaniają się jej rysy.

Szatynka, jasne oczy. Roześmiane usta. Lea. Poznałem ją na koktajlu kilka dni temu. Rzeczniczka prasowa. Coś w tym rodzaju. Nudziła się okropnie, podobnie jak ja. Wypiliśmy kilka kieliszków. Uznałem, że jest zabawna. Ona uznała zapewne, że jestem w jej guście. Ach, tak, już wiem. Spaliśmy ze sobą jeszcze tego wieczoru. U niej. Zresztą nie byłem w najlepszej formie. Nie zostałem na noc.

Próbuję przybrać wesołkowaty ton głosu. Co tu dużo mówić, jestem śmiertelnie ponury.

- Ach, Lea! To ty?

Po drugiej stronie ona nieźle się bawi.

- Ukryj swoją radość! Kto to taki, ta Aurora? „Ta Aurora”. Dziewczyno, gdybyś wiedziała!

Gdyby wiedziała! To proste, nawet nie odważyłaby się telefonować. Od razu by zrozumiała, że odpada z tej kate-

gorii walki. Że dla niej i dla mnie nie ma przyszłości. No *future*, wypisane wielkimi błyszczącymi literami.

Nie zamierzam jej opowiadać o sobie. Czy opowiada się o swoim życiu komuś, kogo nigdy więcej się nie zobaczy?

Kłamię więc mało przekonująco:

- No cóż... Nowy autor. Czytam właśnie jej opowieść. Duży talent!

Słyszę śmieszek. Nie jest naiwniaczką.

- A mówiąc ściślej, o jaki talent chodzi? Zawsze tak marnie kłamiesz? Czekał na ciebie od godziny, zapomniałeś?

Zaczynam się już denerwować. A nie powinienem.

To prawda, umówiliśmy się. Przypominam sobie. Miałem do niej wpaść. Kolacja we dwoje. Świece. Przyjemna muzyka. Wyleciało mi z głowy, ale był powód. I'to jaki!

Wyrywa mi się jęk zniecierpliwienia. Nie zamierzam jej ranić. Gram na zwłokę:

- Posłuchaj, Lea... Pechowo się składa, naprawdę. Mam cholerne zaległości! Nic na to nie poradzę.

Milczenie. Po chwili mówi, że nic nie szkodzi, że naprawdę ma ochotę się ze mną zobaczyć, że możemy to przełożyć na jutrzejszy wieczór.

Co mam jej powiedzieć? Dalej kłamać? Przecież ta dziewczyna nie zrobiła mi nic złego. Poza tym, że pojawiła się w moim życiu w nieodpowiednim momencie.

Mówię cicho do słuchawki:

- Nie. Ani jutro, ani pojutrze, Lea... Jej głos już nie śpiewa. Łamie się.

- Ani nigdy, czy tak? Niech będzie i tak, zrozumiałam... Głupio wyszło, Danielu.

Tak, wiem, głupio wyszło. Takie jest życie. Milczę. Jak tchórz.

Słyszę, jak pociąga nosem.

Nie robi to na mnie wrażenia. Żadnego. To straszne. Czuję się jak skończony łajdak. Pragnę tylko jednego - żeby mi nawymyślała, wyzwalała od ostatnich. Tymczasem jej głos jest wciąż łagodny i miły.

- Wszystkiego najlepszego dla Aurory... I dla ciebie. Rozłącz się pierwszy, proszę.

Tak też robię. Dobry Boże, ależ te kobiety są silne!

Otwieram okno, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Słońce opuściło ulicę Batignol, ale nie gardzi Desnos.

Noc zakrada się już w najmniejsze zakamarki. Nieubłaganie.

Nie lubię tej pory dnia. Nalewam sobie piwa do szklanki. Podwójną porcję. Kładę telefon komórkowy na niskim stole, w widocznym miejscu.

Czekam. Czekam.

AURORA

- No, kładziemy się, małpeczko. Słodkich snów! Gaszę światło w pokoju Elzy. Marzy mi się tylko jedno:

położyć się i zasnąć. Niech ten dzień rozplynie się we śnie.

Elza odwróciła się głową do ściany. Usłyszałam krótki szloch.

Nie zapalając światła, usiadłam na brzegu jej łóżka.

- Czy aby nie usłyszałam jakiegoś chlip, chlip?

Nie odpowiedziała. Pokręciła tylko głową na poduszce. Chlip, chlip.

Nie byłam dla niej zbyt czuła od momentu, gdy ją odebrałam z kursu tańca. Sądziłam, że ma mi to za złe. Pocałowałam ją w ucho. Moje maleństwo, nawet nie wiesz, jak bardzo cię kocham.

- Cóż takiego cię trapi? Nie chcesz powiedzieć?

- Nie powtórzysz nikomu? Nawet tacie?

- Nikomu, przysięgam.

Położyła się na plecach. Martwi się z powodu Babou, swojej najlepszej koleżanki. Jej rodzice zakomunikowali, że zamierzają się rozwieść. Babou przepłakała cały wczorajszy dzień.

Elza wytarła nos w rękaw piżamy.

- Sama nie wiem, kiedy zaczęłam płakać! Co mam jej

powiedzieć? Że jej rodzice bardzo się kochają, ale nagle, w jednej chwili, przestali? To idiotyczne!

Wzięłam ją za rękę. Próbowałam pocieszyć. Oczywiście, że Babou jest smutno, ale może się przecież okazać, że jej rodzice powiedzieli to bez zastanowienia. Choćby dlatego, że się posprzecjali. Wszystkim rodzicom zdarzają się sprzeczki.

Mówiąc to, byłam przesadnie wesoła. Widok płaczącej Elzy był dla mnie zawsze torturą.

- Naprawdę, zobaczysz, że się nie rozstaną! Powiedz to swojej koleżance!

Nie wyglądała na przekonaną. Uniosła się na łokciu. Światło z korytarza padało ukośnie na jej twarz.

Popatrzyła mi w oczy. Tym głębokim spojrzeniem, jakie czasami mają dzieci.

- Tata i ty... wam także może się coś takiego przytrafić? Zadrżałam w ciemności. Objęłam ją i mocno przytuliłam.

- Nigdy, kochanie. Co też ci chodzi po główce?

Jej drobne ramiona objęły mnie za szyję. Szeptem, tuż przy jej uchu, powiedziałam z przekonaniem:

- Zawsze będziemy razem, wszyscy troje!

- Naprawdę? Jesteś tego pewna, mamo? Przytuliłam ją jeszcze mocniej.

Zostałam przy niej, póki nie zasnęła. Przysięgam ci na moje życie, Elzo. To się nie zdarzy. Nikt nas nie rozdzieli. I nagle wyłonił się obraz Daniela.

Nasze składane przy kołysce Mariny przysięgi miłości. ***Nikt nas nie rozdzieli.***

Sam siedział na kanapie w salonie. Telewizor był włączony, ale bez dźwięku. Sam nie znosi reklam. Od razu zauważył, że nie najlepiej się czuję. Przytuliłam się do niego.

- Nie wiem, co mi jest. Nie jestem w formie.

- Fizycznie czy psychicznie?

Omam nie odpowiedziałam: „Pod każdym względem!” Poruszyłam powoli przecząco głową.

- Nie pomasowałbyś mnie trochę?

Uśmiechając się, pieszczotliwie dotknęłam jego policzka.

- No co, przecież dlatego wyszłam za ciebie za męża! Więc do roboty! Sam wstał. Pomógł mi się wyciągnąć na brzuchu. Zawinał rękawy.

Wprawnymi rękami zbadał mi krzyż, kręgosłup, kark.

Zaniepokojony, gwizdnął cicho.

- Jesteś cała spięta, nieprawdopodobnie! Spróbuj się odprężyć, rozluźnij się. Pomogę ci w tym.

Jego ruchy stały się bardziej precyzyjne. Metodycznie ugniatał palcami moje ciało, delikatnie uciskał newralgiczne punkty. Chwilami pieścił mnie. Robił to leciutko. Od zagłębienia talii po okolice pach i staw ramienia. Te jakże bardzo wrażliwe miejsca.

Odwrociłam ku niemu głowę:

- No, no, uważaj... Mam nadzieję, że nie robisz tego ze wszystkimi pacjentkami?

- Cicho! Sza! Zaufaj fachowcowi.

- Mmm... Uwielbiam, kiedy się mną zajmujesz. Nie przerywaj.

Zamknęłam oczy.

Jego ręce. Dzięki nim odzyskiwałam pewność, spokój, rozgrzewały mnie. Pomyślałam, jakie to szczęście mieć obok siebie takiego mężczyznę. Zawsze zrównoważonego. Unikającego konfliktów. Zawsze czulego i dyspozycyjnego. Zawsze kochającego.

Na chwilę oderwał dłonie od moich pleców.

- Wyobraź sobie, że wieczorem powtarzają w telewizji kablowej twój ulubiony melodramat *Ich dwoje!*

Otworzyłam szeroko oczy. A więc ten dzień nigdy się nie skończy! Wszystko naprowadzało mnie na Daniela. Pomimo wysiłków, żeby go wymazać z pamięci. Miałam o to żal do Sama. Skurczyłam się w sobie. Nie zauważył tego. W przeciwnym razie nie kontynuowałby masażu.

- Ach, pechowa randka na górze Empire State Building! A na koniec, kiedy się odnajdują... to dopiero jest

prawdziwe kino, no nie? Przygotować ci dwa pudełka chusteczek do nosa?

Usiadłam na kanapie. Nie zamierzam płakać. Ani się śmiać.

- Tylko jedno, dla ciebie! Ja nie mam ochoty oglądać tego filmu. Nie dzisiaj.

Powiedziałam to oschłym głosem. Ujrzałam zdumienie na jego twarzy.

- A zatem to coś poważniejszego! Zawsze mówisz, że filmy są jak piosenki. Im dłużej się ich słucha, tym bardziej się je lubi...

Podniosłam się. Objął mnie. Odepchnęłam go delikatnie.

- Zdarza się też, że się przejadają. Chcę się położyć.

- Oczywiście... W takim razie ja też. Westchnęłam bezwiednie.

- Nie, zostań. Obejrzyj sobie film.

Nie zrozumiał. Jak mógł zrozumieć? Dotychczas nic takiego nie miało między nami miejsca. Odrzuciłam go. Zapytał:

- Co się dzieje, Auroro?

- Po prostu muszę trochę pobyć sama... I pospać. Nie masz mi za złe?

Nie odpowiedział. Usiadł z powrotem na kanapie. Pilotem wyłączył telewizor.

Opuściłam salon. Zamknęłam się w łazience. Przewróciłam do góry nogami szafkę z lekarstwami w poszukiwaniu proszka na sen. Na próżno. Od wielu lat ten rodzaj lekarstw ma zakaz wstępu do naszego domu.

Absolutnie nic. Jedynie nautamina dla Elzy, na wypadek gdyby ją mdliło w samochodzie.

Połknęłam trzy pigułki. Pomyślałam, że skoro są dobre na mdłości, gdy serce podchodzi do gardła, będą też dobre na to, co mnie dolega.

DANIEL

Już drugi raz zaczyna się *Lover man*. Tak zaprogramowałem kawałek z Billie Holiday, że leci na okrągło.

Są dwa rodzaje jazzowych pieśniarek: Billie Holiday i inne. Tych innych słucha się z przyjemnością, niezależnie od chwili. Można przy tym jeść, rozmawiać, śmiać się, tańczyć. To w niczym nie przeszkadza.

Z Billie to zupełnie inna sprawa. Ona narzuca ciszę. Jej melancholia sączy się wszystkimi porami skóry. Ochryply głos przenosi ze światła w mrok. Tam, gdzie masz ochotę się zagubić, ona ci towarzyszy. Zatraca się razem z tobą. *Lady Day. Lady Night.*

Już nie patrzę na zegarek. Sądząc po poziomie butelki Glenmorangie*, mogę przypuszczać, że jest bardzo późno.

Nie mam najmniejszej ochoty na sen. Wiem, że i tak nie przyjdzie. Zwlekam się z pokrytej skórą staroświeckiej, przepaścistej sofy. Potrącam komórkę, która zaczyna się kręcić w koło jak oszalała wskazówka kompasu. Po czym staje w miejscu. Czarny koniec anteny wskazuje na drzwi.

Nazwa znanej szkockiej whisky - przyp. tłum.

Niech będzie! Skoro do mnie nie dzwonisz, sam cię odnajdę.

Schodzę do piwnicy. Czuję zapach stęchlizny. Jest ciemno i zimno. Oczywiście, przepaliła się żarówka. Zapalam latarkę, którą przezornie zabrałem ze sobą. Od wieków tu nie zaglądałem. Szperam w ciemności.

Niewyobrażalny bałagan. Stos porozwalanych mebli, zakurzonych skrzynek, kartonów, z których wystają czasopisma filmowe, książki z zawilgoconymi okładkami.

Kupa węgla w rogu. Na to rzucone nasze zardzewiałe rowery, pokryte całunem sadzy. Popycham stół, żyrandol zwisający z sufitu wali mnie w głowę.

Twarz mam oblepioną nitkami pajęczyny.

Muszę znaleźć. Znajdę.

Mocuję latarkę na kupie węgla. Podwijam rękawy. Z uporem górnika dołowego toruję sobie drogę do szafy pod ścianą w głębi. Pot zalewa mi oczy. Zawiasy szafy skrzypią. Wewnątrz sterty szarych od kurzu dokumentów.

To nie to miejsce.

Przypuszczam szturm na metalową półkę po prawej. Na niej rzędy równo ustawionych kartonów. Wszystkie jednakowe.

Czuję, że jestem blisko. Właśnie szukam kartonu. Sprawdzam je po kolei. Z zapalem graniczącym z szaleństwem wybebeszam je. Wyrzucam zawartość na ziemię.

Został już tylko jeden. Ostatni, na samej górze. To chyba ten. Dosięgam go końcami palców. Jestem zaskoczony jego ciężarem. Sądziłem, że jest lżejszy. Przygniata mnie. Lecę razem z nim.

Padam na kolana. Uderzam z całej siły o beton. Ścieram grubą warstwę kurzu pokrywającą pudło. Jest zapieczętowane szeroką taśmą klejącą. Widnieją na nim wypisane czarnym markerem inicjały: A&D.

Zwycięstwo!

Szybkim ruchem zrywa taśmę klejącą. Odnaleziony w piwnicy wielki karton stoi pośrodku salonu. Bezpośrednio na podłodze, jak trofeum. Daniel siada przed nim po turecku.

Twarz ma w czarnych smugach, szyję wilgotną od potu. Włosy szare od kurzu. Rozdarty rękaw koszuli. Czuje się jak powracający z walki indiański wojownik. Kontempluje swą zdobycz.

Waha się przez ułamek sekundy. Jest przerażony. A przecież dokładnie wie, co znajdzie w środku. To dlatego się boi. Ma przeczucie, że naruszy zaklętą granicę czasu i przestrzeni. A jednak w głębi duszy pragnie tego.

Ryzykowny skok, skok do tyłu. Nieodwracalny. Bez asekuracji.

Jeszcze można się wycofać. Jeszcze można wsunąć w kąt pokoju karton z przeszłością. A nawet - dla większej pewności - znieść go do piwnicy. Teraz albo nigdy.

A więc nigdy. Pokusa jest zbyt silna.

Drżącymi palcami unosi wieko kartonu. Zdobywa się na ten krok. Nie może postąpić inaczej.

Miał powód do strachu.

Jeszcze chwila, a dziki kot skoczy mu do twarzy. Wcze-

pi mu się pazurami w samo serce. No to co? Jeśli to jest cena, jaką musi zapłacić, zapłaci. Gotówką.

Chce jeszcze raz przeżyć swoje życie z Aurorą.

Ich krótkie życie sprzed dwunastu lat.

Wyciąga jego fragmenty, jeden po drugim.

Najpierw dwa pudełka z fotografiami, których na razie nie otwiera. Za chwilę.

Kilka kaset wideo, z naklejkami „Marina”. Odkłada je na bok. Bez wahania.

Następnie kilka przedmiotów, z których najważniejsza jest replika z brązu *Pocalunku* Rodina. Najlżejsze jest pudełko z pozytywką dla niemowląt. Zabawny marynarzyk ze sznureczkiem do pociągania.

Uśmiecha się do marynarzyka. Pociąga za sznurek. Ale mechanizm nie działa. Nie usłyszy więc melodyjki *Ohe, matelot!*

Zanurza ręce w kartonie, wyciąga śmiesznego szmacianego diabełka i lampkę nocną z dziecinnego pokoju. Ruchomy abażur w malutkie dziurki w kształcie gwiazdek. Daniel przypomina sobie, jakie piękne były te świetlne gwiazdki wędrujące po ścianach pokoju.

Sięga po zamknięte jeszcze pudełka. Siada na podłodze, opiera się plecami o skórzaną sofę. Spieszy się, żeby obejrzeć zdjęcia.

Wyłącza *Lover man*. Nawet dla Billie nie ma miejsca.

Potrzebuje ciszy, żeby odbyć podróż w czas Aurory. Najeżoną niebezpieczeństwami podróż do utraconego raj.

Fotografie z pierwszego pudełka ogląda najpierw powoli, potem coraz szybciej. Format 18 x 24. Czarno-białe. Błyszczący papier. Dziesiątki zdjęć samej Aurory albo jej z nim. Są w idealnym stanie. Oni też są nietknięci przez czas. Z plecakami, pod tablicą przystani, skąd odpływa się na wyspę Breat. W ogrodach muzeum Rodina naśladowa, każde z osobna, pozycję *Myśliciela...*

Także razem, namiętnie, *Pocalunek*. Przed rzeźbą we wnętrzu muzeum. Słyszy skrzypienie muzealnej podłogi pod ich stopami.

Już nie żałuje, że wygrzebał karton z piwnicy. Już się nie waha. Otwiera drugie pudełko.

Aurora, u nich w domu, goła i brzemienna, stoi na wadze, nadyma policzki. Słyszy jej śmiech. „Robię się olbrzymia! Już mnie nie będziesz kochać”.

Jej śmiech rozbrzmiewa echem. Bierze kolejną fotografię: Aurora przed cukiernią, w prawej ręce ekler z kremem czekoladowym, w lewej kawowy ptyś. Usta umazane kremem. „To nie dla mnie, to dla dzidziusia!”

Następne zdjęcie. Macierzyństwo. Aurora pod światło. W ramionach maleńka Marina. I podpis: *Puszek, dwa dni*. To pismo Aurory.

Następne zdjęcie. Ulica Bagnolet. Aurora w berecie na głowie pcha wózek z Mariną. Pismo Aurory: *Marina, jeden miesiąc*.

Następne zdjęcie i następne. Przyspiesza rytm. Przejęcie, z jakim przebiega uwieczniony na fotografiach czas ich szczęścia, oślepia go.

Następne zdjęcie. U nich w domu. Tutaj, w salonie. Tym razem niemowlę na ręku Daniela. *Marina, cztery miesiące*.

Aurora dodała: *Wreszcie rosną włoski! Cztery miesiące i pięć dni*.

Następnego zdjęcia nie będzie. Koniec trasy. Koniec podróży do raju.

Daniel czuje kurcz w sercu. Lodowata sztaba miazdży mu krtań. Nie może oddychać. Nie może oderwać oczu od radosnej twarzyczki małej. Ich córka. Ich marynarzyk. Taka śliczna.

Nagle fotografia robi się ciężka, jakby ważyła dziesięć ton. Wymyka mu się z rąk. Dołącza do pozostałych bez słowa skargi.

Daniel ukrywa twarz w dłoniach. Szłocha w swoje brudne ręce.

Początek podróży do piekła.

Świejące cyfry w elektronicznym budziku przeskoczyły z 3:09 na 3:10.

Leżą nadzy w łóżku. Daniel przyklejony do pleców Aurory. Ich pozycja „na śledzia”.

Aurora otwiera szeroko oczy. Brutalne przebudzenie. Bez stadium przejściowego, z fazy paradoksalnej do stanu czuwania. Także bez wyraźnego powodu. Wszędzie panuje cisza - na zewnątrz i w środku. Sprawdza godzinę. Trzecia dziesiątka. Już? Nadśluchuje. Nic.

Zwykle Marina płacze punktualnie o trzeciej. Prawdziwy zegar atomowy. To ona im urządza pobudkę, domagając się nocnego karmienia.

Nic nie słychać. Cisza.

Aurora przeciąga się. Nie bez przyjemności trąca Daniela łokciem w bok. Ten jeszcze mocniej przywiera do jej pleców. Kolejny kuksaniec, trochę mocniejszy.

- Hej, człowieku! Przypominam, że to twoja kolej na butelkę! Powieki Daniela są ciężkie. Nie może się wyrwać z objęć morfeusza. Mamrocze:

- Nie słyszę, żeby płakała...

- Nic dziwnego, ty okropny wałkoniu. Ona nie płacze!

- A zatem nie jest głodna. Przesypia wreszcie noc!

Aurora odwraca się w jego stronę.

- Czteromiesięczne niemowlę? Ty chyba śnisz!

- Żebyś wiedziała! Trzeba śnić i spać. Śpij...

W półmroku Aurora widzi, że Daniel znów zasypia. Albo udaje. Macha nogami, żeby odrzucić kołdrę. Zapala nocną lampkę. Pochyla się nad nim, muska go wargami w ramię. Kładzie rękę na jego przyrodzeniu.

To nie blef. On naprawdę śpi.

- Poczekaj, niech tylko wrócę, łajdaku! Nie myśl, że ci to ujdzie płazem!

Aurora wyskakuje z łóżka. Wciąga na łapu-capu podkoszulek Daniela, jest na nią trzy razy za duży. Uwielbia czuć jego zapach.

Butelka jest gotowa. Trzeba ją tylko wyjąć z lodówki i podgrzać.

Otwiera cichutko drzwi pokoju Mariny.

- A kuku, marynarzyku! Pora na smoczek, moja malutka! Pstryka lampę. Gwiazdki światła rozpoczynają swój nocny

obchód po ścianach i suficie. Po Marinie, po jej białym łóżeczku ze sztachetkami.

Dostrzega sylwetkę córki. Spi tak grzecznie w swoich powijakach. Z główką na bok.

Widzi maleńką rączkę, zwisającą między dwoma drążkami łóżeczka.

Widzi szmacianego diabełka, który przy niej czuwa w nogach łóżeczka. „Ohe! matelot”, jak zawsze na swoim posterunku, zawieszony na przecie.

Aurora podchodzi do białego łóżeczka. Wylewa kilka kropli mleka na niebieskawe żyły nadgarstka. Idealna temperatura. Zlizuje mleko, które spływa na jej przedramię.

- Mmm! Ciepłe, takie jak lubisz.

Pochyla się nad łóżkiem. Dziecko się nie rusza. Aurora uśmiecha się do niego.

- Nie budzimy się dzisiaj? Nie jesteś głodna?

Aurora pochyła się niżej. Odkąd weszła do pokoju, ma dziwne przeczucie. A przecież wszystko jest w porządku. To przez tę absolutną ciszę ściskają w dołku.

Czegoś brakuje w tej ciszy.

- Posłuchaj muzyczki...

Pociąga za sznurek muzycznego marynarza. Płyną nutki.

Nic się nie zmienia. Nadal czegoś brakuje.

Aurora przywołuje się do porządku. Odpędza złe myśli. Stawia butelkę na stole do przewijania, obok łóżeczka Mariny.

Potrząsa córeczkę za ramię, żeby ją obudzić. Najpierw delikatnie. Potem coraz mocniej.

Nie reaguje. Małeńkie ciało jest ociężałe. Nieruchome. Dziecko nie otwiera oczu.

Aurora walczy z paniką, która w niej narasta. Teraz wie, czego brakuje w ciszy. Oddechu Mariny.

jej córka nie oddycha.

To niemożliwe. Niemożliwe. Jest w błędzie. Marina musi oddychać. Nawet jeśli to jest niezauważalne, z całą pewnością oddycha.

Palce Aurory muskają rączkę małej, wysuniętą poza drążki łóżka.

To, co otrzymuje w zamian, jest jak porażenie prądem. Lodowate jak rączka Mariny.

- Co ci jest, kruszynko? Dlaczego jesteś taka zimna?

Podnosi dziecko i bierze je w ramiona. Podtrzymuje mu prosto główkę. Nie chce przyjąć do wiadomości czegoś, co jest nieprawdopodobne. Nie dopuszcza do siebie tego, co jest nie do zniesienia.

- Marina... Marina! Obudź się, aniołku. Obudź się!

Nie czuje łez, które zalewają jej oczy. Nie słyszy swojego rozdzierającego krzyku.

Przytula ją i kołysze w ramionach. Przykłada swoją mokrą twarz do jej twarzyczki. Lodowata.

- To nic, dziecinko. Mamusia zaraz cię rozgrzeje. Znowu będziesz oddychać. Zaraz otworzysz swoje wielkie czarne oczki i zapłaczesz. Przygotowałam ci butelkę. Musisz być głodna! Nie zostawisz mnie tak, prawda? Błagam cię, otwórz oczy! Popatrz na mamusię... Wróć!

AURORA

- Nie zostawiaj mnie, Elzo! Wróć!

Elza odwraca się, nie przestając biec. Ciągłe w tym samym kierunku, na skraj fioletowego wrzosowiska. Połowę jej twarzy zakrywają ogromne odbłaskowe okulary. Te, które jej kupiłam, by mogła oglądać zaćmienie. Biegnie w stronę anioła w bieli, który znad morskiego urwiska wyciąga do niej ramię. Unosi się w próżni. Oba skrzydła rozwinięte w tę pełną dziennego blasku noc. Nad jego głową ognista aureola.

- Nie idź tam, Elzo! Wróć! Bo spadniesz!

Biegnie, ja także. Jak oszalała. Kaleczę kostki o ciernie krzewów jeżyny, żeby zdążyć ją złapać, nim skoczy w ramiona anioła.

Białe skrzydła trzepoczą łagodnie ponad wzburzonymi falami. Czeka na Elzę.

Nagle zrywa się wiatr. Podmuchy bryzy chłoszczą moje policzki. Nieruchomieję.

Elza rzuca się w próżnię. Anioł znika.

Krzyczę na cały głos...

Z palcami wczepionymi w prześcieradło, z trudem wyrywam się z koszmaru. Oddech mam przyspieszony

i podrażnione, chropowate gardło. Cała jestem zlane potem. Nie wiem, co się dzieje. Gdzie jestem.

Obok mnie leży wyciągnięty Sam. Śpi na brzuchu, prawe ramię zgięte pod poduszką. Przypomniałam sobie, jak koło północy wszedł do sypialni. Jego czułe gesty i jak zwykle żywe pragnienie w zetknięciu z moimi łędźwiami. Przypomniałam sobie ruch, który zrobiłam, żeby się od niego odsunąć. Niemal bezwiedny. I moje: „Nie dzisiaj, Sam”.

Spojrzałam na budzik. Trzecia dziesięć! Wskakuję z łóżka. Elza.

Spała w najlepsze. Prawdziwa lokomotywa parowa. Lekko otwarte usta, rozrzucone ramiona, w nogach zryta kołdra.

Trwałam obok niej długo, klęcząc przy łóżku. Wsłuchiwałam się w jej oddech. Oddychałam razem z nią.

Przez sen poruszała ustami, coś mamrotała. Jak wtedy, gdy była małeńka.

Poprawiłam jej kołdrę. Pocałowałam ją w czoło. Cichutko zamknęłam drzwi do pokoju.

Zapaliłam gaz pod czajnikiem.

To nie jest pora na herbatę. Nie pora również na kręcenie się po kuchni. W koło, dookoła stołu. Na łączenie dwóch kawałków przedartego biletu do metra, ułożonych na posadzce z prowansalskich kafli.

Na odwracanie wzroku od bezprzewodowego telefonu. Na chęć zapalenia papierosa.

Nie pora także na opróżnianie automatycznej zmywarki.

„Do ciebie należy decyzja” - powiedział. „W nocy, w dzień. Kiedy zechcesz”.

Gdzie jesteś, Danielu? Ty także miewasz koszmary? Kręcisz się bez celu po kuchni na ulicy Bagnolet?

Widzę teraz tamto nasze mieszkanie. Białe ściany. Plakaty Turnera. Okrągłe lustro w przedpokoju. Długi korytarz z pomalowanym na czerwono parkietem. Duży pokój. Jasny, z dwoma oknami bez firanek. Widok na dwo-

rzec przy małej obwodnicy. Nieczynny dworzec. Podobno stał się teraz uczęszczanym, modnym miejscem. Anouk była tam dwa czy trzy razy. Wieczory salsowe. Mówiła mi nazwę, ale zapomniałam. *Carosse d'Or* czy coś w tym rodzaju. *Złota karoca* to film Renoira. Sama już nie wiem. Myli mi się. Muszę jeszcze raz zapytać Anouk. Jest jedyną osobą z czasów Daniela, z którą odnowiłam kontakt. Po długim czasie. Nigdy o nim nie rozmawiamy. Dlatego została moją przyjaciółką. Moją najlepszą przyjaciółką.

Co z tym czajnikiem? Podkreścam do maksimum kurek kuchenki gazowej.

Jeżeli do niego zadzwonię, będę skończona.

Usiadłam przy stole. Przesuwam połówki zielonego kartonu coraz bliżej ku sobie. Robię to powoli.

Nasza sypialnia. Nasze staroświeckie łóżko. Metalowa konstrukcja. Niezniszczalna. A do tego materac, którego skrzypienie towarzyszy naszym nocnym zmaganiom. Nasz szalony śmiech na myśl o sąsiadach z dołu.

Udało się. Oba końce biletu doszły do punktu styczego. Numer został odtworzony. To nie było takie trudne.

Co ryzykuję? O tej godzinie komórki już śpią. Odezwie się automat. Usłyszę jego głos, to już coś. Nie zostawię wiadomości, ale przynajmniej się uspokoję.

Z samego rana spróbuję złapać mojego lekarza. Niech mi coś da, żebym spała normalnie. Bez koszmarów. Nie myśląc o Danielu.

No tak, a jeśli odbierze? Odłożę? Co powiem?

Banały o czwartej nad ranem? Albo szczerą prawdę. Nie przeszkadzam ci? Nie mogę spać. Nie przestaję myśleć o tobie. O niej. O nas. Osaczasz mnie, Danielu. Czuję, że choroba wraca, że znowu się pogrążam.

Mój palec wskazujący sam wybrał numer. Błyskawicznie.

Rozległ się przenikliwy gwizd. Para pod ciśnieniem buchnęła z dziobka czajnika. To było jak sygnał alarmowy, w samą porę.

Zaczęły mi drżeć ręce. Dudniło w skroniach. Przerwałam połączenie jeszcze przed pierwszym dzwonkiem.

Jestem stuknięta! Kompletnie stuknięta!

Pośpieszyłam do sypialni. Rzuciłam się na Sama. Pokryłam jego twarz pocałunkami, szyję, pierś. Chciał coś powiedzieć. Udaremniłam jego zamiar. Zakneblowałam go ustami. Milcz, Sam, milcz... Musisz mnie kochać. Ja muszę cię kochać. Nie mów nic. Kochaj się ze mną. Kochaj się ze mną jak na początku. Spraw, żebym zapomniała Daniela. Obejmij mnie. Pieść mnie. Daj siłę, żebym wytrzymała.
Weź mnie. Chroń mnie. Kocham cię.

DANIEL

Siedem dni.

Sto sześćdziesiąt osiem godzin oczekiwania. Od stu sześćdziesięciu ośmiu godzin pragnę usłyszeć świdrujący dzwonek mojej komórki. Używam jej tylko do przekazywania wiadomości, gdy jestem na zewnątrz. Dla zasady Mysi, ze telefon mógłby w każdej chwili zadzwonić, tam gdzie akurat jestem, przyprawia mnie o dreszcze.

Dlatego nikt nie zna tego numeru. Nikt oprócz niej.

Przyczajony na moim biurku, między dwoma stosami książek, leży tutaj od siedmiu dni elektroniczny pepek świata. Malutka zielona dioda czujnika mruga regularnie Budzi zaufanie. Nie wyłączam go. Nie opuścił mnie ani na chwilę od czasu jej ucieczki taksówką.

W nocy wsuwam go pod poduszkę. Gdy biorę prysznic, wkładam do plastikowej torebki i mam przy sobie w kabinie Nawet gdy idę siusiać, przyczepiam go do paska. Unikam miejsc, gdzie byłby poza zasięgiem. Świruję na tym punkcie. Prawdziwa obsesja.

Z głową na oparciu fotela pstrykam sztormową zapalniczką i pochylam się nad płomieniem. Łapczywie zaciągam się dymem. Wolę nie myśleć o stanie moich płuc I bez tego mam dość zmartwień.

Z powrotem nakładam okulary. Po raz dziesiąty ostrzę ołówek. Koniecznie muszę się skupić na nowym rękopisie. Nic z tego. Czytam tekst mechanicznie. Po trzech stronach łapię się na tym, że nic do mnie nie dotarło.

Przerzucam kartki. Wyławiam wzrokiem pojedyncze zdania wyrwane z kontekstu. Gubię się. Myślami ciągle wracam do Aurory. Mam pustkę w głowie. Nie robię notatek, ja, który zwykle tak szcudrze bazgrzę na marginesach, że wpędzam autorów w panikę.

Ach, znalazłem powtórzenie! Cudem. Zakreślam niezręczne słowo. Łamię przy tym ołówek. A niech to cholera!

Jej milczenie mnie zabija. Bez pukania otwierają się drzwi mojego gabinetu. Z sąsiedniego pokoju wyskakuje diabełek. Uśmiecha się od ucha do ucha. To Michał.

- No jak tam? Skończyłeś?

Michał to mój ojciec. Mój jedyny współpracownik i wspólnik. Jest o dwie głowy niższy ode mnie i cięższy o dziesięć kilo. Ma siwe, bardzo krótko przystrzyżone włosy. Zawsze w dobrym humorze. Niepoprawny entuzjasta. W gorącej wodzie kąpany. Szczęśliwy, że pracujemy razem.

Wziął na siebie całą stronę techniczną Editions du Meu-nier. Sekretariat, administracja, fotoskład, druk. Ja zarezerwowałem dla siebie sprawy wydawnicze. Palę pod piecem tej maszyny, jak mówi ojciec. Spotykam się z autorami, grafikami. Czytam i redaguję rękopisy. Od tygodnia mam z tym trudności. Maszyna pracuje na zwolnionych obrotach.

Michał zagląda mi przez ramię.

- Trzydziesta strona! Kpisz sobie? Wiesz, która godzina? Właśnie dzwoni autor, wyobraź sobie!

- Niech zadzwoni później.

- Obiecałeś mu dać odpowiedź dzisiaj! Żarty sobie robisz? On już czeka trzy dni.

I co z tego? Ja czekam od tygodnia. Rzucam ołówek na plik papierów i wstaję. Ponoszą mnie nerwy. Muszę się trochę poruszać. Przemierzam ga-

binet wzdłuż i wszerz. Chce znać powody, proszę bardzo me rozczaruję go. Potrafię być bardzo bezwzględny w swojej perfidii. Nawet niebezpieczny. Pogardliwie wskazuję ruchem brody rękopis i walę na całego. Mówię, że mi to nie leży, a nawet uważam za wierutną bzdurę. Historię o dziecku uciekinierze, które chroni się w cyrku czytałem co najmniej milion razy. Jeśli nie dwa. Naszego ulubionego autora stać na coś więcej.

- To jest po prostu bardzo, ale to bardzo niedobre! Nie uważasz?

Michał jest przybity. Bardzo niedobre! Le Guellec? To memożliwe... Przypomina mi, że jego ostatnią książkę sprzedaliśmy w piętnastu tysiącach egzemplarzy. Jeden z naszych największych sukcesów. Śmieję się szyderczo. Prawdę mówiąc, nie mam żadnego kontrargumentu. Sukcesy odnosi się Bóg wie czym. Równie dobrze może wydać pamiętniki Sophie Marceau!

Słyszę, jak z trudem przęłyka ślinę; ma wielką słabość do Sophie Marceau. Nikt nie jest doskonały. Spuszcza z tonu. Próbuje mnie zmiękczyć.

- Co masz przeciwko cyrkowi? W cyrku jest wesoło Są lwy, mały, akrobaci... Osobiście bardzo to lubię. Dzieciaki także.

Obruszam się. A więc tak! Zwierzęta i akrobaci. I oczywiście smutny kłown, zakochany w sierotce linoskoczce czy i to lubi?

Le Guellec musi to przerobić. Niech przynajmniej wymyśli inną, bardziej oryginalną scenerię!

Michał jest zdruzgotany. Jego zdaniem Le Guellec to samograj, a poza tym wszystko już zostało omówione. Trzeba tylko podpisać umowę, wydać książkę i zainkasować pieniądze.

Jak galareta opada na skórzany fotel. Kurczy się w sobie i udaje, że się zastanawia, że intensywnie myśli. Przybiera natchniony wyraz twarzy. Na ogół trwa to nie dłużej niż dwie minuty.

Znam ten numer na pamięć. Zaraz uderzy się w czoło Podniesie się, ożywi.

A nie mówiłem? Stuka się w czoło. Ma „wspaniały” pomysł. Obawiam się najgorszego.

- Słucham cię - mówię.

Jego stare ręce nabierają życia, gestykują. Zamiast w cyrku chłopak może znaleźć schronienie w klasztorze. To już nie będzie banalne. Klasztor! Dla odmiany teraz on chodzi zygzakiem po gabinecie. Smutnego kłowna można zastąpić ojcem przełożonym. Osieroconą linoskoczkę - kobietą piekarkiem, która co rano dostarcza chleb. Spogląda na mnie roziskrzonymi niebieskimi oczami.

- Doskonale, nie?

Nawet mi nie drgnie powieka. On zaś, czekając na mój werdykt, zaciera optymistycznie ręce.

Wybucham śmiechem. Nie mogę się powstrzymać. Teraz on zapada się w fotelu. Mogę się zatem podelektować jego widokiem. Patrzy na mnie wzrokiem zranionej łani. Uwielbiam tego faceta!

To on mnie wychował.

Matka? Nie znałem jej. Dała nogę, gdy miałem rok. Zniknęła z dnia na dzień. **Bye, bye, ciao, adios. Bez** słowa pożegnania. Do dziesiątego roku życia dostawałem jedną kartkę w roku z życzeniami urodzinowymi. Zawsze po terminie. Kair, Abidżan, Buenos Aires, Maracaibo, Angkor... Miejsca, o których można tylko marzyć. A na jedenaste urodziny nic. Koniec marzeń.

Nie miałem matki, ale miałem dziesięć pięknych znaczków. Ledwie wystarczyło, żeby wypełnić pierwszą stronę mojego albumu. I ojca, który mi czytał Ciorana wieczorem do snu. Ale radocha!

Czy można chcieć więcej?

Mam dosyć przebywania w tym miejscu.

Czuję się bezużyteczny. Chcę być sam. Porywam kurtkę z wieszaka.

- Dobra, tato, zapomnij o klasztorze. Powiedz Le Guel-lecowi, że jutro się z nim spotkam w porze lunchu. Załatwię to z nim. Dogadamy się, nie martw się.

Michałowi kamień spadł z serca. Biorę sprawy w swoje ręce. On ma już ten problem z głowy.

Zerka na mnie chytrze spod oka.

- Już wychodzisz? Nie zjedlibyśmy razem kolacji? Dawno nie zapraszałeś mnie na chińszczyznę.

- Nie, innym razem...

Podnosi się z fotela, opierając się o poręcz.

- Jesteś bez serca! A co robisz wieczorem?

Biorę komórkę z biurka. Sprawdzam, czy bateria jest dobrze naładowana. Odpowiadam wymijająco:

- Nic. Absolutnie nic.

Święta prawda. Nic nie robię. Z nikim się nie widuję. Z nikim nie rozmawiam. Czekam. Całuję Michała w oba policzki. Korzysta z okazji i bierze moją głowę w ręce, jak wtedy, gdy byłem smarkaczem.

- Wszystko w porządku, synu?

Patrzy mi prosto w oczy. Przecież nie mógł nie zauważyć, że od tygodnia nie jestem w najlepszym stanie. Muszę się więc mieć na baczności. Nie czynię najmniejszej aluzji na temat Aurory.

- Masz podkrążone oczy... Śpisz chociaż dobrze? Gdybym mu o niej powiedział, gotów dostać zawału. Uwielbiał Aurorę. Mówił, że pogodziła go z płcią

piękną, a to był wyczyn godny odnotowania w księdze rekordów! Uważał, że jest piękna, wesoła, błyskotliwa, ale najbardziej podziwiał w niej to jedyne w swoim rodzaju połączenie siły i delikatności. Mówił o niej „wyż baryczny z ulicy Bagnolet”. On także się w niej zakochał, na swój sposób. Wzruszało mnie, że tak dobrze się rozumieli. Aurora często zapraszała go na kolację we dwoje. Spędzali też razem długie chwile, spacerując po Paryżu, zaglądając do księgarń Saint-Germain. Michał był zachwycony.

- Jedyne problem to ci wszyscy maniacy seksualni, którzy się za nią oglądają. Daję ci słowo, bez przerwy. Uważaj, synu! Bo jeżeli pewnego dnia cię opuści, unieszczęśliwi dwie osoby: ciebie i mnie...

Kiedy o tym pomyślę... Jakie to szczęście, że był tutaj, po wszystkim. Bez niego...

Poklepuję go po policzku, silę się na uśmiech.

- Wszystko idzie jak po maśle, uwierz mi! Do jutra. Jutro mamy nowy dzień.

Uspokajam go, jak umiem najlepiej. Po jego opuszczonych powiekach domyślam się, że mi nie wyszło. Za dobrze mnie zna.

Tym gorzej dla mnie. Tym gorzej dla niego.

Czekanie na drugą osobę jest jak więzienna cela.

On - Daniel - jest skazańcem ochotnikiem. Bez kraty w okienku. Bez dozorczy więziennego za drzwiami. Tylko on ma klucz, ale odmawia wyjścia.

Dzień w dzień pograża się w oczekiwaniu. Noc w noc zaludnia je swoją niezbitą pewnością. Karmi je swoją miłością. Czekanie na Aurorę staje się żyzną glebą dla jego marzeń. Złotą busolą szczęśliwych wspomnień. Dba o nie. Delektuje się nim zazdrośnie. Nie chce z niego stracić ani okruszka. Wie, że się doczeka.

Pewnego dnia zadzwoni telefon. Przygotowuje się na to.

Ona - Aurora - także czeka. Nie na to samo. Nie w ten sam sposób. Czeka w bólu na uwolnienie, które nie przychodzi. Żeby już o nim nie myśleć. Unikać wszystkiego, co może jej przypominać Daniela, nawet sześć liter jego imienia. Zapomnieć o bilecie do metra. Wymazać jego twarz, gdy tylko się pojawia. Podejmuje ciężką walkę, której nie wolno jej przegrać.

W ciągu dnia usypia czujność pracą. Wyłącza telefon. Nie odrywa się od komputera. Wychodzi tylko po zakupy i po Elżę do szkoły albo odebrać ją po lekcji tańca. Pracuje

aż do zmierzchu. Wyrzuca kolejno pięć makiet. Albo z powodu kolorów, które wydają się jej mdłe. Albo z powodu strony graficznej tytułów. Albo układu kolumn. Albo ilustracji. A może wszystkiego naraz. Jest bezwzględna.

W nocy, w tajemnicy przed Samem, ogłusza się noctranem. Uważa, że z pomocą chemii wygra. Jest gotowa posłużyć się każdą bronią.

I tak już od tygodnia.

On przeżywa swoje czekania w dziwnej samotności we dwoje. Aurora zawsze jest z nim. W każdej chwili jego życia.

Położył drugą poduszkę na ich łóżku i co wieczór skrapia odrobinką alize.

Rano słyszy, jak ona wstaje. Podśpiewuje w łazience. Piosenki Barbary, Jeanne Moreau. *L'aigle noir* szybuje i wpada w *Tourbillon de la vie*.

Na śniadanie przygotowuje herbatę na dwie osoby. Wyobraża ją sobie w błękitnym peniuarze, opartą łokciami naprzeciwko niego. Wilgotne jeszcze włosy, szesane gładko do tyłu, sprawiają, że owal jej twarzy przybiera idealniejszą formę. Odsłonięte czoło, kości policzkowe, na które padają złociste promienie porannego słońca. Ciemna jak u Cyganki cera. Nieduży pieprzyk pod prawym okiem. Doskonała linia szyi. A między migdałowymi oczami dwa czarne ogniki źrenic, przysłonięte parą z herbaty wydobywającą się z filiżanki. Jak z obrazu Hoppera.

Do kina chodzi na filmy, które chciałby zobaczyć razem z nią. I zawsze dba o to, by nikt obok niego nie siedział. O, spodobałaby się jej ta scena. Czuje ucisk jej palców na udzie. W tym miejscu popłakałaby się.

A on by na nią patrzył.

Z chustką przy nosie dałaby mu znak, żeby się raczej zainteresował filmem.

W drugim, tygodniu dwukrotnie zwiększa dawkę środków nasennych. Wraz z koszmarami wróciła bezsenność. Brutalne prze-

budzenie o trzeciej dziesiąt. Wyrwana ze snu. Szeroko otwarte oczy. Uczucie duszenia się. Zimne poty. Prosi o przepisanie lexiomilu na dzień. Najpierw bierze ćwiartkę. Później dwie. Wreszcie całą pigułkę. Zielone pudełko leży w przegródce w szufladzie biurka, obok biletu metra. Już się nawet nie ukrywa przed Samem. Mąż nie lubi tego jej zamglonego spojrzenia, które ma po pigułkach. Mówi jej o tym, a ona na to, że to przejściowe, że to stres. On nie wierzy ani jednemu jej słowu. Widział ją w tym stanie, na początku. Sam zauważa, że zmizerniała, że ma zapadnięte policzki. Zaczyna się o nią bać, ale stara się tego nie okazywać.

Zachowuje swoje obawy dla siebie. Zachęca ją, żeby częściej wychodziła, korzystała z majowej pogody. Powróciła do gry w tenisa z Anouk.

W trzecim tygodniu Aurora zaprzestaje walki, żeby wyrzucić z pamięci Daniela.

Znowu zaczyna palić papierosy.

Na ulicy Daniel często przystaje przed wystawami z konfekcją. Na przykład ta biała spódniczka w kwiaty. A do tego ta czerwona bluzeczka, która odsłania zaokrąglenie ramion. Byłyby idealne dla niej. Wyglądałyby znacznie lepiej niż na manekinie.

W nadziei, że na nią wpadnie, systematycznie odwiedza miejsca, gdzie bywali razem. W ten sposób znów był na placu Palais-Royal i w Tuileries. W księgarni Virgin Megastore, U Szekspira & Co, na tarasie Palette, na ulicy de Seine.

W czwartek rano zagląda do muzeum Rodina. To oczywiste.

Powiedział: za miesiąc. Nie podał godziny.

Od chwili otwarcia czeka przed Pocałunkiem. Obejmujący się kochankowie wydają mu się ogromni. Obchodzi ich wkoło. Paolo i Francesca. Ile żywotnej siły emanuje z ich miłostnego uścisku! Widocznej w drzeniu mięśni pod marmurową skórą. W powabie zatracenia się w świetle poranka. Tak jakby ożywali w kadrze jego nikonu. To ona, tak, widzi wyraźnie, że to ona oplata ramieniem szyję Paola i przyciąga go do siebie.

Na wieczność.

Ma wielką ochotę musnąć gładki kark kochanki, tak przypominający kark tej, na którą czeka. Tylko na chwilę. Nawet jeśli to zabronione.

Strażniczka zajęta jest amerykańskim turystą, który o coś głośno pyta. A zatem teraz albo nigdy. Ostrożnie przybliża rękę do szyi piękności. Dotyka. Marmur jest jak najdelikatniejszy aksamit.

- Nie dotykamy, proszę pana! To zabronione!

W nagłym porywie Daniel odwraca się. Ona jest tutaj, stoi przed nim. Ubrana w krótką letnią sukienkę w kwiaty. Zauważa, że związała włosy ciemnobłękitną tasiemką. Nad karkiem. Dla niego.

Nie odrywają od siebie wzroku. On uśmiecha się do niej:

- Przyszłaś...

- Umówiliśmy się, nie pamiętasz?

To, co do siebie mówią potem, nie ma większego znaczenia, są zbyt szczęśliwi, że są razem. Tutaj, w muzeum Rodina. W tym równoległym, ponadczasowym świecie, w którym słowa stają się zbędne. W otoczeniu kamiennych ciał, doskonale niemych, a które tak doskonale przemawiają.

Zatrzymują się przy splecionych dłoniach Katedry. Także przed Danaidą leżącą na brzuchu. Stoją tam długo.

Odwiedzają wszystkie sale. Przybliżają się, ocierają o siebie. Oddychają sobą. Nie mają ochoty się rozstać.

I znowu stają przed Pocałunkiem.

Daniel powierza swojego nikonu japońskiemu turyście. Pragnie uwiecznić ten dzień.

Aurora nie ma nic przeciwko temu. Ustawiają się przed rzeźbą. Są sztywni jak dwoje onieśmielonych nastolatków. Śmieją się z tego. Nie wiedzą, co zrobić z rękami.

Klik. Zdjęcie zostało zrobione.

- One more, please! - mówi Daniel do japończyka.

Teraz stają naprzeciw siebie. Daniel kładzie rękę na biodrze Aurory.

- Pocałujmy się! Do fotografii...

japończyk czeka. Daniel pochyla się ku Aurorze. Całuje ją w policzek, a ona jego. Dwa ukradkowe pocałunki. Klik.

Japończyk zbliża się do Daniela i wręcza mu aparat. Tym razem to Aurora, z czarującym uśmiechem, daje mu znak, żeby się trochę cofnął.

- Chwileczkę, chwileczkę! One more, okay? Thank you!

Z typowo japońską cierpliwością turysta ponownie przymierza się do nikonu. Przykłada do celownika skośne oko i czeka, aż się zdecydują.

Aurora zerka do tyłu na rzeźbę za nimi. Przysuwa się do Daniela:

- Tym razem zrobimy to trochę lepiej, zgoda?

- Trochę lepiej, to znaczy: mniej...?

- Tak... a właściwie bardziej... - I jak Francesca obejmuje Daniela za szyję. - O tak!

Gwałtownie przyciąga jego twarz. Przywierają do siebie ustami. Tula się jedno do drugiego. Klik. Klik. Klik.

Ruch w sali zamiera. Ze zdziwieniem i z zazdrością zwiedzający przyglądają się parze splecionej w tej samej pozie co rzeźba Rodina. Nawet strażniczka nie śmie interweniować.

Japoński turysta nawet nie próbuje im przeszkadzać. Kładzie nikona na podłodze i oddala się na palcach.

Stopniowo ruch w sali wraca do normy. Wkrótce nikt już nie zwraca na nich uwagi. Aurora i Daniel są na innej planecie. W swoim własnym świecie. W stanie nieważkości.

Ich pocałunek nie ma końca. Są zniewoleni.

Na wieki.

On w ten czwartkowy rano wychodzi z muzeum Rodina. O jedenastej trzydzieści dwie mijają portal przy ulicy Varennes.

Ona o jedenastej trzydzieści dwie dopija kawę na zacienionym tarasie kawiarni, w parku, na tyłach muzeum. Chowa do sportowej torby paczkę philipów morrisów. Jest niespokojna, ponieważ za chwilę przeżyje na nowo ich pierwszą randkę.

To próba, której postanowiła się poddać. Egzorcyzm ostatniej szansy. Jeszcze się ludzi, że gdy znajdzie się przed *Pocałunkiem*, jej serce pozostanie z kamienia.

Nie przekroczyła nawet progu sali, a już wie, że egzorcyzm działa w przeciwnym kierunku.

Podłoga kołysze się pod jej stopami. Serce mocno bije.

W ten czwartkowy rano, o jedenastej trzydzieści dwie, przypadek nie zrzucił, żeby się ponownie spotkali.

On to nazywa przypadkiem, choć tak naprawdę nie potrzebują go, żeby się odnaleźć.

To tylko nic nie znacząca kwestia czasu.

AURORA

Odbiłam backhandem. Z całej siły. Piłka dotknęła siatki i spadła na linię kortu. Anouk nawet nie drgnęła. Zniechęcona, machnęła tylko rakieta:

- Pięć do czterech dla ciebie! To niemożliwe! Trenujesz po cichu z tą zdziwą Hingis?

Krokiem modelki pomaszerowała pozbierać piłki. Smukła, wysoka blondynka. Opalone uda.

Anouk to piękna dziewczyna. Zawsze z przyjemnością patrzyłam, jak się porusza. Z kocią elegancją. Najbardziej mi się w niej spodobała autentyczna szczerść jej zielonych oczu. Szkoda, że zrezygnowała z aktorstwa. Sądzę, że nie odpowiadało jej środowisko. Za dużo tam kłamstwa. Dość późno podjęła studia. Dzisiaj prowadzi zajęcia w ośrodku specjalistycznym. Lubi pracę z dziećmi o słabych głowach.

- Razem ze mną to daje średnią - mawia. Przeważnie pracuje wieczorem.

Ustawiła się za linią. Wstępuje w nią nowa energia. Teraz ona serwuje. Kilka razy uderza piłką o ziemię.

- No, stara, szykuj się na meczarnie! Ledwo się uśmiechnęłam.

„Szykuj się na meczarnie!" W porządku, jestem gotowa. Przeżywam meczarnie już od miesiąca. W milczeniu.

Odparowałam jej serw po prostej. Anouk zaatakowała z furją. Zmusiła mnie do biegania z jednego rogu w drugi.

Taktyka samochodowej wycieraczki.

Bieganie dobrze mi robi. Chęć walki dodaje energii. Przejąć piłeczkę. Poza tym nie myśleć o niczym. Przedłużyć wymianę. Kontrolować oddech. Wytrzymać jak najdłużej. Uderzyć w piłkę. Podbiec. Ponownie uderzyć.

Nie myśleć o nim więcej.

Anouk walczyła jak szatan. Słyszałam, jak stęka za każdym uderzeniem. Najpierw były to krótkie, ostre okrzyki, później coraz bardziej ochryple. Uderzenia traciły precyzję. Niechby jeszcze trochę wytrzymała!

Wyczerpana, próbowała skrócić piłkę. Zdążyłam do siatki. 0:15.

Anouk zgięła się wpół, dłonie oparła na biodrach. Z trudem łapała oddech.

Byłam w nie lepszym stanie. Kręciło mi się w głowie. Nie czułam nóg. Świeciło zabójcze słońce.

Wytarła ręcznikiem twarz i szyję. Podeszła do mnie do siatki.

- **Okay**, mnie ta dawka zupełnie wystarczy! Wolę przerwać, zanim dostanę zawału.

- Ty? Nie wiedziałam, że masz serce!

- Cha, cha! Mam również żołądek. Hot dog i małe piwo, nie skusisz się?

Zażartowałam:

- Kilo do tyłu, dziesięć do przodu. To twoja nowa dewiza?

Opuszczając korty, wypiliśmy do spółki butelkę wody. Przed okratowaną bramą zlustrowała mnie od stóp do głów:

- Nikniesz w oczach! Co się z tobą dzieje?!

Gdybym ci powiedziała, też byś straciła apetyt. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Jedyłą, z którą mogę rozmawiać. Tylko tobie mogę się zwierzyć, co mnie gnębi.

Włożyłam rakieta do pokrowca. Jednym szybkim ruchem zaciągnęłam zamek.

- Spotkałam Daniela.

Zielone oczy Anouk poszarzały. Rozgrywka, set i mecz.

Doszliśmy na piechotę do Porte de Vincennes.

Wiadomość zelektryzowała Anouk. Daniel Miller wraca! To nie wróży niczego dobrego! Słyszałam to w jej milczeniu. Ona, zwykle taka chętna do bagatelizowania naj-okrutniejszych sytuacji życiowych, nie znajdowała słów. Rozglądała się za kawiarnią.

- Zaszło mi w gardle, istna Sahara! - powtarzała. Usiadliśmy pod ohydny parasolem, w ogłuszającym

harmidrze Cours de Vincennes. Nie sprzedawali tutaj hot dogów. Wzięła wódkę z tonikiem i wypła jednym haustem.

- No więc na jakim jesteś etapie? - zapytała. Gdybym to ja wiedziała! Rozgadałam się na dobre.

Opowiedziałam jej wszystko. Wszystko. Od przypadkowego spotkania z Danielem w czasie burzy aż po wizytę w muzeum Rodina dzisiaj rano, przed tenisem. O nocnych męczarniach i niepokoju w dzień. O zakrawającej na kpiny walce, żeby o nim zapomnieć. O pigułkach na uspokojenie. O narastającym pragnieniu, żeby do niego zadzwonić. O strachu przed załamaniem.

Słuchała, a ja wylałam na nią cały kubek moich nieszczęść.

Chwyciłam papierosa z jej paczki.

- Znowu palisz! - jęknęła. - Trzeba coś z tym zrobić, moja droga. Otrząsnąć się!

- Łatwo powiedzieć. Co by pani zrobiła na moim miejscu, pani doktor?

- Bo ja wiem... Wybierzcie się w podróż z Samem, gdzieś bardzo daleko. To ci rozjaśni umysł. Jeśli chcesz, zajmę się Elzą.

Gdyby to było takie proste, już dawno wyjechałabym na drugi koniec świata. Potrząsnęłam głową. Co to da?

- Daj spokój! - powiedziała z irytacją w głosie. - To, że żyłaś z nim przez rok, nie znaczy jeszcze...

Miałam ochotę ją zabić. Nie rok, idiotko! Rok i osiem miesięcy. To całe życie. Wystarczy, żeby się zakochać na zabój, spłodzić dziecko, razem oczekiwać jego narodzin, pokochać je, snuć plany na przyszłość. Byłaś wtedy z nami, Anouk! Czyżbyś już zapomniała? To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

Stłumiłam w sobie wściekłość. Zadałam jej pytanie, które od czterech tygodni nie dawało mi spokoju. Odniosłam wrażenie, że głos mój się łamał.

- Kim byśmy teraz byli, Daniel i ja, gdyby mała nie odeszła?

Poczułam dotyk ręki Anouk na mojej.

Przez te wszystkie lata nigdy nawet jednym słowem nie wspomniałam o Marinie. A przecież była we mnie. Ze mną. Tak naprawdę nigdy mnie nie opuściła. Tyle że wraz z tak nagłym pojawieniem się Daniela Marina jakby...

Nie, nie „jakby”. Ona wróciła.

Anouk uśmiechnęła się z goryczą.

- Mogłabym cię poczęstować różnymi bzdurami. Powiedzieć, że już dawno byście się rozstali, podobnie jak dwie trzecie wszystkich par. Kto to może wiedzieć?

No właśnie, kto? Marina miałaby teraz dwanaście lat. Związałyby nas na trwałe, bez względu na wszystko.

- Mówię tak, ale nie wierzę w to ani przez chwilę -kontynuowała Anouk. - Bylibyście zawsze razem. Byliście stworzeni dla siebie.

Pokiwałam głową.

- Życie nie dało nam szansy. Podcięło nam skrzydła, kiedy szybowaliśmy.

Anouk poruszyła się nerwowo na krześle.

- To przeszłość, Auroro. Musisz się przed nią bronić. Wiesz przecież, wiesz doskonale, co by było, gdybyś znowu się w niej pograżyła, prawda?

Tak, wiem. Moja skóra to jedna wielka blizna. Stare rany otwierają się. Z dnia na dzień. Z godziny na godzinę. Coraz bardziej dają o sobie znać.

Moja maleńka nieobecna. Włożyłam ciemne okulary.

- Idę. Mam dużo pracy - skłamałam.

Zgasiałam papierosa. Anouk przytrzymała mnie za ramię.

- Musisz się trzymać, rozumiesz? To najważniejsze Nie pakuj się w to znowu.

DANIEL

Z rękami splecionymi z tyłu Michał przestępuje z nogi na nogę.

- No więc co o tym sądzisz?

Jesteśmy u mnie, ponieważ coraz rzadziej przebywam w biurze.

Przeciągam milczenie, ale już wiem, że to mi się podoba. Ponownie przeglądam rysunki, które przyniósł ze sobą i rozłożył na stole.

Ilustracje do albumu dla dzieci. Bohaterka ma na imię Fanfan. Narysowana jest z talentem i dowcipnie. Bardzo fajne jest to jej urwisowate spojrzenie pięciolatki.. Do pełnego efektu trzeba tylko, żeby kolory były jeszcze ostrzejsze. Maluchy uwielbiają żywe kolory.

Michał osobiście zakręcił się przy tym projekcie. Sam wszystko wywęszył - autorkę tekstu, ilustratorkę. To dlatego przestępuje z nogi na nogę jak uczeń, który zapomniał języka przy czarnej tablicy. Sześćdziesięciodwuletni gimnazjalista.

Zdejmuję okulary. Klepię go po ramieniu.

- Uważam, że to świetne! Nawet się nie zastanawiaj. Do dzieła, stary draniu!

Odzyskuje kolory, mój gimnazjalista. Jest taki poruszony, rozanielony. Mruga oczami. Aż miło patrzeć. Cienką kreską zaznacza kadr jednego z rysunków.

- Tekst jest bardzo zabawny, sam się przekonasz... Cacuszko! Należałoby to tak ustawić. O tak, popatrz...

To już jego działka. Niemniej jednak przypominam mu podstawową zasadę wydawanych przez nas albumów dla dzieci:

- Trzy-cztery wiersze na stronie, nie więcej... I drukowane litery, pamiętaj... Liczę, że wykombinujesz jakąś zabawną typografię. A co z tytułem, masz już?

- *Fanfan w tarapatach!* Chwytniwe, nie? Zastanawiam się, czy nie wziąć tego rysunku na okładkę.

Wręcza mi całopostaciowy portret bohaterki. Pызate policzki, zmarszczone brewki, włosy zaczesane w sterczące zabawne pędzelki. Nie sposób się oprzeć tej ubranej w ogrodniczki dziarskiej dziewczynce. W rękach trzyma -z trudem, ale jakoś sobie radzi - pełno zbyt dużych jak na nią narzędzi: ręczną piłę, młotek, elektryczną wiertarkę, piłę tarczową...

Kiwam głową, uśmiecham się.

- Podoba mi się! Świetna robota.

Michał zwija kartki i wsuwa je do dużej kartonowej teczki na rysunki.

- Mój pierwszy solowy wyczyn! Trzeba by to jakoś uczcić...

A jak! Pędzę przyrządzić jego specjalny napój: coca-cola *light* z plasterkiem cytryny. I dużo lodu. Jak wszyscy byli alkoholicy Michał po drugiej odwykowiec tankuje kole.

W kuchni rzucam okiem na ekranik komórki. Ciągłe nic. Nalewam sobie koniaku i wracam ze szklankami do salonu.

Michał, odwrócony plecami, stoi przed biblioteczką, z głową wciśniętą w ramiona. Doskonale wiem, co trzyma w rękach. Pobrząkuje kostkami lodu w jego szklance. Nie odwraca się.

- Sądziłem, że nie zachowałeś żadnych pamiątek po Aurorze. - Jego głos brzmi jak zza grobu.

Karton wsunąłem na dno szafy, ale naszej wspólnej fotografii przed *Pocałunkiem* nie byłem w stanie. Włożyłem ją za szkło i postawiłem na trzeciej półce, na wysokości wzroku, opartą o komplet książek z Serie Noire w kartonowych okładkach. Często tam spoglądam.

Podchodzę do Michała. Celowo przybieram obojętny ton.

- Znalazłem ją, robiąc porządki.

- Ach tak. Oczywiście przypadkowo.

Nie podoba mi się intonacja jego głosu. Wyjmuję z jego rąk szklaną ramkę. Odstawiam stanowczym ruchem na miejsce.

- Zналиśmy się wtedy zaledwie od godziny... Przerywa mi ruchem ręki, jakby chciał powiedzieć:

„Dość! Znam tę historię i nie chcę wysłuchiwać jej od początku”.
Milknę więc.

Podaję mu jego kolę. Traćamy się szklankami. Michał wzdycha. Posyła smutny uśmiech w stronę fotografii:

- „Jeden pocałunek może zrujnować ludzkie życie!”, jak mawiał mój stary kumpel.

Oscar Wilde. Aurora często cytowała to zdanie.

Michał opada na kanapę. Domyślam się, w jakim zawrotnym tempie przesuwają się w jego posiwiałej głowie. Oczywiście, nie ma w tej historii nic z groteskowej komedii. Michał kurczy się jak stara zmęczona sowa, zaciska palce na szkle.

- A niech to cholera! Wolę nie dotykać tego wszystkiego, rozumiesz...

- Minęło dwanaście lat! Nie uważasz, że to uległo przedawnieniu?

Z opuszczoną głową popija zastępczy napój. Kilka małych łyków. Z trudem przełyka. Widzę jego podnoszące się i opadające jabłko Adama, jakby grało w jojo. Wreszcie podnosi na mnie wzrok i przygląda mi się bez czułości, z bezgranicznym smutkiem.

- Biedny naiwniaku! W miłości nie istnieje przedaw-

nienie. - Wskazuje na fotografię w szklanej ramce. - Rada starego
bałwana, synu: lepiej ją schowaj na swoje miejsce.

- Tu jest jej miejsce - odpowiadam.

Łyczek koli. Tym razem przesywa mnie wzrokiem. Ani trochę *light*.
Poprawia mnie metalicznym głosem. Stanowczym.

- Jej właściwe miejsce jest w piwnicy.

AURORA

Nie Złota Karoca, ale Złota Strzała. To nazwa modnego lokalu w dawnym dworcu przy małej obwodnicy.

Przed wejściem dostawcy wyładują dziesiątki kartonów mocnego alkoholu i skrzynek piwa. Pewnie się zastanawiają, jaki mam powód, żeby z takim zainteresowaniem przyglądać się ich robocie. Nie mam żadnego. Przysłonięta furgonetką, przegapiłam po prostu moment, by w porę przenieść wzrok na drugą stronę ulicy. A przecież po to właśnie przyszedłam. Tylko po to. Żeby się jeszcze raz zanurzyć w przeszłości. Wejść do tej samej wody. Jak chorzy, którzy kładą się w błocie, żeby wyleczyć dolegliwości skórne.

Jestem przerażona moją słabością. Powinnam być w domu. Pracować. Za godzinę pójść po Elżę do szkoły. Kupić coś na kolację. Czekać na powrót Sama. A tymczasem tkwię tutaj. Przyszedłam tu, do naszej dawnej dzielnicy, jak kryminalista, który, dygocząc, powraca na miejsce zbrodni.

Furgonetka dostawcza odjechała. Teraz dokładnie widzę drugą stronę ulicy.

Dom stał na swoim miejscu. Musieli go odnowić. W mojej pamięci elewacja była bardziej szara. Okiennice

nie takie czyste. Budynek obok miał mniej szczęścia. Rozebrali go. Zastąpili wysokim parkanem pokrytym kolorowymi graffiti. Wielka tablica obiecuje *elegancką rezydencję o wysokim standardzie* na koniec dwutysięcznego roku.

Algierski sklep kolonialny pozostał niezmienny, z tymi stłoczonymi na zewnątrz skrzynkami pomidorów i papryki, z zapachem świeżej kolendry, kminku i ciastek na miodzie. Otwarty od siódmej rano do północy.

Podniosłam głowę. Piąte piętro, ostatnie. Tamte trzy okna były zamknięte.

Przeszłam na drugą stronę ulicy Bagnolet, gnana niekontrolowanym pragnieniem, żeby znowu wdrapać się po starych schodach. Znowu wciągnąć w płuca zapach wosku do podłóg. Znowu usłyszeć skrzypienie schodów między czwartym i piątym piętrem.

Doszłam do podestu.

Witraż z czasów Belle Époque rzucał żółte i fiołkowo-różowe światło na podłogę. Wizytówka nad judaszem. *Daniel Miller*. Mosięzny przycisk dzwonka.

Znieruchomiałam przed cynobrowymi drzwiami.

Dreszcz paniki. Był tam. Zza drzwi dobiegały dźwięki saksofonu tenorowego Gato Barbieri. Boliwia.

Prowadzona automatycznie, moja ręka zbliżyła się do dzwonka.

Ugryzłam się w policzek od środka, aż do krwi. Zawróć. Nie dzwoń. Uciekaj, póki czas.

Nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Podobnie moja ręka. Cudem, kiedy przycisnęłam mosięzny guzik, nie rozległ się żaden dźwięk. Żepsuty dzwonek.

Całym ciałem oparłam się o drzwi. Z rękami wyciągniętymi nad głowę, z policzkiem przyklejonym do czerwonego lakieru. Ukrzyżowana.

Mucha złapana na lep.

Gato Barbieri umilkł w rozdzierającej skardze. Szlochałam w ciszy. Chciałam umrzeć. Wolałabym, żebyś otworzył mi drzwi. Żebyś mi powiedział, co nowego u małej.

Oszalałam.

*

Valium 10. Nowa kuracja. Trzecia dawka w ciągu dnia.

Ulica Bagnolet. Charonne. Bulwar Voltaire'a. Aleja Par-mentier. Nigdy się nie dowiem, skąd wzięłam siły, żeby przebyć tę całą drogę pieszo. Żeby po odebraniu Elzy ze szkoły śmiać się z nią. Żeby włączyć komputer. Po raz enty zabrać się do pracy nad makietą okładki zamówioną miesiąc temu. **Sztuka dla wszystkich. Rzeźba, wielcy mistrzowie.**

Zrezygnowałam z dopracowania kroju czcionki. Miałam to dostarczyć jutro rano, ostateczny termin. Trzeba to skończyć.

Hipnotyzował mnie świecący ekran. Elza wskoczyła mi na kolana.

Moje biurko zajmuje jasny kąt salonu, przy oknie. Nawet nie usłyszałam, kiedy Elza zakradła się, wyjęła mi z ust philipa morrisa i z obrzydzeniem zgmiotła w popielniczkę.

- Skończyłam matkę! Dziecinnie proste! Mogę się pobawić komputerem?

- Nie teraz, kochanie. Muszę jeszcze znaleźć fotografię jakiejś ładnej rzeźby, żeby ją tutaj umieścić, o tu, widzisz?

Pokazałam jej pusty prostokąt na ekranie komputera.

Złapała myszką. Trzema kliknięciami otworzyła bibliotekę ikonografii na twardym dysku. Prędkość, z jaką poruszała się po fotoszopie, była zawrotna.

- Pomogę ci! Razem pójdzie nam szybciej.

- Zgoda. Wybór należy do ciebie...

Kliknęła na chybił trafił i skrzywiła się z niesmakiem.

- A to co takiego, te sprasowane puszki po pierożkach?

- No nie, to przecież niedokończone! Dalej, następne! Znowu parsknęła, tym razem na widok **Idącego człowieka:**

- Och, a ten? Z tą głową z zardzewiałego drutu! Ohyda! Uściskałam ją, śmiejąc się. Pocałowałam ją w szyję:

- Może i jesteś małym geniuszem w matmie, ale krytykiem sztuki nie będziesz, małpeczko!

Wzruszyła ramionami i oświadczyła najpoważniej w świecie:

- Będę Spice Girl, kiedy dorosnę.

Jednym ruchem myszki wybrała inną fotografię.

- Nie, nie tę, Elzo!

Za późno. **Pocatunek** najechał już na pusty prostokąt. Gwałtownym ruchem, którego natychmiast pożałowałam, zrzuciłam Elzę z kolan. Stała z otwartymi ustami:

- Co ja takiego zrobiłam?

Było mi przykro. Przytuliłam jej głowę do swojego policzka. Razem oglądałyśmy **Pocatunek**. Powiedziała półgłosem:

- Można by powiedzieć, że naprawdę się całują! Jak prawdziwi zakochani, tacy na całe życie.

Ścisnęło mnie w gardle:

- Tak... Na całe życie.

Zapaliłam następnego papierosa. Elza odsunęła się ode mnie, opędzając się od dymu.

- No, wybrałam! Właśnie ich.

Usłyszałam, jak włącza telewizor. Akurat była pora na dobranockę.

Powiększyłam twarze Paola i Franceski. Nadmiernie. Aż nie do zniesienia.

Popiół spadł na klawiaturę. A z nim resztki mojej odporności.

Zgasiłam komputer. Od ryku telewizora pękały mi bębunki.

- Elza! Zechciej włożyć słuchawki!

Wyłączyła dźwięk. Ze słuchawkami na uszach położyła się na brzuchu przed telewizorem. Od czasu do czasu docierał do mnie jej cichy śmiech. Cichy śmiech szczęśliwej dziewczynki. Lekki jak bąbelki szampana.

Wzięłam głęboki wdech. Dzisiaj czwartek.

Wzięłam kolejne valium. Jutro piątek.

Z przegródki w biurku wyjęłam wygładzony niedbale bilet do metra. Dłużej tego nie wytrzymam.

Sięgnęłam po słuchawkę. Jeden dzwonek. Dwa.

Błagam cię, odbierz!

DANIEL

Jej błyskawiczny telefon trafił mnie w sam środek splotu słonecznego.

Ona: Nie przeszkadzam? Ja: Nigdy.

Ona: Jutro, około trzynastej. Możesz? Ja: Mogę, gdzie zechcesz.

Ona: Plac Furstenberg. Mam coś do załatwienia w pobliżu.

Ja: Dlaczego czekałaś tak... Ona: Nic nie mów. Do jutra.

Dziesięć sekund, aż dech zapiera. Spięty głos. Gorączkowy.

Trzynasta. Plac Furstenberg.

Spoglądam na zegarek sto pięćdziesiąty raz. Mam do zabicia jeszcze dwie godziny. To dużo. Kurczę, ależ ten czas się dłuży! Krążę po mieszkaniu jak wygłodzony tygrys. Myślę tylko o niej.

Wstałem o świcie. Ogoliłem się dwa razy, słuchając wiadomości. Nie kapowałem nic z tego, co mówił spiker. Jakże znowu Kosowo, gdzie to jest? O ósmej trzydzieści przerzuciłem się na przegląd prasy - właśnie wybierałem koszulę. Przymierzyłem cztery. Wreszcie zdecydowałem

się na tę starą, kompletnie spraną, z perłowymi zatraskami. Ma postrzępiony kołnierzyk, ale ją lubię. Lubię ubrania, które mają jakąś historię, które leżą na człowieku jak druga skóra.

Przynajmniej w jednej kwestii nie zgadzałem się z Jules' em Renardem, który w swoim *Dzienniku* napisał coś w tym rodzaju: „Przyjaciele są jak stare ubrania: należy je wyrzucić, zanim się zużyją”.

Jeśli chodzi o przyjaciół, być może.

Potem próbowałem czytać wydaną w lecie Mary Higgins Clark *I jeszcze się spotkamy...* - przyslaną kilka dni temu z biura prasowego z karteczką od Lei. Drobnym pismem, niebieskimi, zaokrąglonymi literami napisała: „Najważniejszy jest tytuł...”

Ileż w tym racji! Właśnie wybieram się na spotkanie z Aurorą. To mój dzień chwały.

Odłożyłem powieść. Zarobiłem dwadzieścia minut.

Zadzwoiłem do Michała do Editions du Meunier. Zadreczałem go pytaniami. Zmusiłem do przejrzenia poczty. Faksów, rachunków. Wszystkiego. Nie, nie warto przysyłać mi kolejnej przeróbki Le Guelleca. Posiedzę nad tym przez weekend w biurze. Tak, zamierzam niezwłocznie wziąć się do roboty. Zająć się znowu tym, co do mnie należy. Oczywiście, że spotkam się także z agentami w poniedziałek rano. Co za głupie pytanie!

Z braku kuli *light* pił serwatkę:

- Wspaniała! Widzę, że cię rozsadza.

Żebyś wiedział, tatulku! Czuję, że znowu żyję, najidiotyczniej w świecie żyję.

Wtykam gitana w kącik ust. Nie od razu go zapalam.

A gdybym już teraz wyszedł? W sam raz, żeby dojechać i wziąć samochód z parkingu przy ulicy Pyrenees. Spokojnie przejadę na lewy brzeg. Zaparkuję w pobliżu Saint-Germain.

Tak, będzie o wiele lepiej, jeżeli wezmę samochód. Na wszelki wypadek, gdyby miała ochotę zmienić dzielnicę. Może powinienem był zarezerwować miejsce w jakiejś miłej restauracji na świeżym powietrzu. Ale bez żadnych

bajerów. Ona nie znosi, jak kelner nalewa jej do kieliszka i przypala papierosa, zanim zdąży go wyjąć z paczki. A poza tym ona bardzo mało je w południe. Dobra, dajmy sobie spokój z restauracją. Wspólnie coś zaimprovizujemy. Tak będzie naturalniej. Nie chcę wyjść na typa, który ma swoje nawyki. Przy niej chcę być sobą. To już i tak będzie nieźle, zważywszy na stan, w jakim jestem. Zresztą, jak ją znam, ona ma już własny pomysł na obiad.

Zabieram telefon komórkowy, bo jestem przesądny. Przysięgam, że gdyby odwołała spotkanie, rozwalę go na drobne kawałki!

Zatrząskuję za sobą drzwi. Przeskakuję schody jak młodzieniec biegnący na pierwszą randkę.

Psa z kulawą nogą aż do mostu Austerlitz. Na nabrzeżu, aż do Pont Neuf, pusto jak okiem sięgnąć. W miarę jak się zbliżam, światła zmieniają się na zielone. Jadę w górę ulicą Saints-Peres. Skręcam w lewo, w bulwar Saint-Germain.

Pustynia.

Gdzie się dzisiaj podziewają moi rodacy? Będę cholernie przed czasem.

Mam to gdzieś. Czekanie to moja specjalność.

Czekanie na kobietę ma wiele postaci.

Masochista zakłada, że czas wypełni czytaniem kirgiskiej powieści w wersji dwujęzycznej albo, najlepiej, dodatku ekonomicznego „Figaro”. (W obu przypadkach należy się zaopatrzyć w silny środek przeciw bólowi głowy).

Przewidujący zastanawia się nad pierwszymi słowami, które jej powie. Ćwiczy wymawianie sylab we wszystkich tonacjach. Dobiera właściwą intonację na „dzień dobry”.

Nerwus trzykrotnie obchodzi dzielnicę krokiem sportowca. Zachodzi do butiku. Kupuje jej prezent. (Należy mieć przy sobie kartę bankową).

Marzyciel wyobraża ją sobie, jak pojawia się na umówionej ulicy. Zastanawia się, czy będzie szła po stronie słonecznej, czy po zacienionej. Jak będzie ubrana, w zależności od pogody i nastroju, jaki jej przypisuje. Pomaluje rzęsy na czarno. Wargi pociągnie czerwoną szminką. Włosy zwiąże poniżej karku albo rozpuści do ramion. Z pewnością poperfumuje się za uchem.

A jeśli nie przybędzie o umówionej porze, wszyscy oni mogą dodać sobie otuchy, powtarzając dewizę Guitry'ego: „Gdy kobieta spóźnia się na randkę, to znaczy, że przyjdzie!”

Tymczasem Daniel sterczy jak kołek pośrodku malutkiego ronda na placu Furstenberg. Oparty o czteroramien-ną latarnię, uosabia wszystkich naraz: masochistę, przewidującego, nerwusa, marzyciela.

Słyszy jedno uderzenie na dzwonnicy kościoła Saint-Germain.

Patrzy na zegarek, żeby sprawdzić, czy słuch nie płata mu figła.

Godzina trzynasta.

Wrzuca dodatek ekonomiczny „Figaro” do kosza. Zaczyna liczyć minuty, potem liście na drzewach nad swoją głową. Liście w kształcie pokrytego meszkiem serca, kołysane wietrzykiem. Gatunek, którego nazwy nie może sobie przypomnieć. Przy dwieście trzydziestym drugim poddaje się.

Jako dziecko rzucał sobie niewykonalne wyzwania w podobnym stylu: Ile jest ziarenek piasku na plaży? Ile włosów na mojej głowie? Ile gwiazd na niebie?

Zdenerwowanie zaczyna wychodzić z niego wszystkimi porami. A jeśli postanowiła nie przyjść? Bez uprzedzenia. Wykluczone. Nie może mu tego zrobić. Włącza jednak pocztę głosową swojej komórki. Uff. Wyłącza. Ulga jest połowiczna. Płonie z niecierpliwości.

Wreszcie uśmiech szczęścia ogarnia jego twarz. Dostrzegł ją właśnie wyłaniającą się zza zakrętu ulicy l'Abbaye. Biały prochowiec. Ręce w kieszeniach.

Nie idzie swoim zwykłym szybkim krokiem. Posuwa się do przodu, oczy ma spuszczone. On nie dopuszcza myśli o jakiegokolwiek komplikacji.

Idzie jej na spotkanie z bijącym sercem. Ona nieruchomieje. Czeka na niego.

Całuje ją koło ucha. Wypowiada jedyne zdanie, którego nie przygotował z góry:

- Osioł ze mnie. Sądziłem, że już nie przyjdiesz...

Aurora pachnie alize. Ma na szyi delikatny złoty łańcuszek, z małym szafirem w kształcie kropli, atramentowej jak noc. Pierwszy prezent od Daniela. Jedyne, jaki zacho-

wała z tamtych czasów. Jest wzruszony, że nosi te drobiazgi po nim. Zauważa ciemnobrązowe obwódki jej czarnych źrenic. Zauważa także, że nie uśmiecha się do niego, gdy mu odpowiada:

- Jak widzisz, jestem... Zadowolony?

- A ty nie? Patrzysz takim nieobecnym wzrokiem. Coś nie tak?

- Nic ważnego.

W słowie „nic” zawiera się wszystko. Daniel dostrzega jej niepokój. Jest inaczej, niż to sobie wyobraził. Lekko się od niej odsuwa.

Teraz Aurora bierze go za ramię.

- Chodź.

Ciągnie go w stronę ulicy Jacob. Idąc, zapala papierosa. Płomień zapalniczki drży między jej palcami.

- Co chcesz usłyszeć, Danielu? Ze jestem szczęśliwa, będąc tutaj, z tobą? Tak, jestem. A zarazem nie. Nie jestem.

- Dlaczego? Spotkaliśmy się tylko na chwilę, nie ma w tym nic złego.

Aurora zatrzymuje się przed księgarnią. Wyrzuca papierosa do ścieku. Mówi, że ją mdli, że kręci się jej w głowie.

Daniel jest trochę zbity z tropu. Czuje ciepło jej ciała. Chciałby ją wziąć w ramiona. Nie śmie.

- jeśli chcesz, możemy podejść do Ogrodu Luksemburskiego i zjeść obiad na tarasie.

- Nie jestem głodna.

- A masz choć trochę czasu?

Aurora kiwa głową. Tak, ma czas. Całe popołudnie. Musi tylko punktualnie znaleźć się przy wyjściu ze szkoły, po Elzę.

Daniel bierze ją za ramiona. Odzyskuje wesołość. Całe popołudnie razem. Więcej, niż mógł marzyć.

- Zostańmy więc tutaj... Decyzja należy do ciebie. Na co masz ochotę?

Aurora spogląda mu głęboko w oczy. Uśmiecha się.

Jej pierwszy uśmiech tego dnia.

Zbliża ku niemu twarz. Gorączkowo szepcze mu do ucha:

- Na ciebie. Mam ochotę na ciebie.

On jest w stanie wypowiedzieć tylko jedno:

- Powtórz to... Powtórz!

Upaja się jej słowami, jej zapachem. Splata z nią¹ palce. Zamyka ze szczęścia oczy.

Ona obejmuje go za szyję. Tuli się do niego. Całuje go po twarzy, po rękach. Coś do niego gorączkowo mówi. Zbyt długo powstrzymywane słowa. Zabronione od tak dawna.

Słowa pożądania. Słowa miłości.

- Zatrzymaj mnie przy sobie, na zawsze. Tak, pragnę ciebie. Pragnę na nowo odkryć smak twojej skóry. Twój zapach. Dotyk twoich rąk. Poczucie twoje usta. Ciebie we mnie.

A słowa, które wyrzuca z siebie, są jak wysoka fala, która wreszcie zmywa ból.

Dwanaście metrów kwadratowych. W ciągu następnych godzin ich cały świat zawęży się do tych dwunastu metrów kwadratowych na poddaszu.

Pokój znajduje się na ostatnim piętrze hotelu Marronniers przy ulicy Jacob, w szóstej dzielnicy Paryża.

W mansardowym dachu znajduje się pojedyncze okienko, otwarte na błękit nieba, na którego tle rysuje się ostre zwieńczenie dzwonnicy kościoła Saint-Germain.

Pozostanie jedynym świadkiem odnajdujących się ciał, pospiesznie splatających się ramion i nóg, chaotycznie szukających się spoconych bioder i wilgotnych warg. Gorączkowego zbliżenia ust i łona. Jego krzyku do niej. Jej jęków do niego. Tego cudownego przenikania się zakochanych ciał.

I ciszy, która następuje po burzy.

Są przytuleni do siebie jak dwoje zagubionych dzieci. Ukojonych i nagich pod skotłowaną pościelą.

Daniel odgarnia kosmyk włosów Aurory. Składa poca-

łunek na jej wilgotnej szyi. Pierwsze, co u niej zobaczył w kinie.

- Pamiętasz?

Aurora jest uśmiechnięta. Promienna i wyzwolona. Wyciąga się przy Danielu, układa głowę w zagłębieniu jego ramienia. Zdumiewa ją doskonałe spełnienie, jakiego doświadcza w tej chwili. Nie potrzebuje papierosa ani valium. Jest jej dobrze, tutaj, u boku mężczyzny, który należy do niej. Odnajduje swoje miejsce. Nietknięte. Niechby ta chwila trwała wieczność.

Daniel bawi się końcami jej włosów. Jakie to dziwne i przyjemnie słodkie... To wrażenie, że rozstali się wczoraj. Albo raczej że nigdy się nie rozstawali.

- Jesteś moją pierwszą myślą rano i ostatnią wieczorem. Dlaczego tak długo zwlekałaś?

Aurora się śmieje:

- Po dziesięć razy dziennie wybierałam numer twojego telefonu i odkładałam słuchawkę, nim rozległ się sygnał... Walczyłam, walczyłam ze sobą. Im bardziej chciałam o tobie zapomnieć, tym bardziej mnie osaczałeś. Nienawidzę cię!

- A ja widziałem cię wszędzie, na każdym rogu ulicy... Potworność!

Daniel również się śmieje.

Aurora siada na nim okrakiem. Pięciami tłucze go w pierś.

- Ty łajdaku! Uważasz, że to śmieszne!

Unosi tors. Tuli twarz do jej piersi. Obejmuje ją ramionami w pasie. Czy ona zdaje sobie sprawę z tego, co im się przydarzyło? Są kochankami! Podczas gdy zawsze powinni być mężem i żoną.

Aurora odpycha go.

- Nigdy się nie pobraliśmy.

- Tym lepiej... Już my nie musieliśmy niczego podpisywać, żeby się kochać!

Przygląda się jej pod światło. Jej uroda przyprawia o zawrót głowy. Kładzie ją na sobie. Wchodzi w nią. Ona, w jęku rozkoszy, wygina się do tyłu. Palcami kurczowo

chwytła się ramion Daniela. Kołysząc nią, dociera aż do jej głębi.

- Nadrobimy stracony czas, prawda? Wieczorem porozmawiasz z mężem. Powiesz mu, że się odnaleźliśmy i zaczniemy życie od nowa, razem.

Dlaczego to powiedział? Brutalnie i bez uprzedzenia przywołał ją do rzeczywistości. Czuje, jak Aurora kurczy się w sobie i natychmiast uwalnia się od niego. Osłupiała.

Gdyby dojrzał jej twarz, zobaczyłby, że się znowu zamknęła, a szczęście zniknęło z jej oczu. Siada na brzegu łóżka, tyłem do niego.

- Nie mogę tego zrobić. Nie zrobię tego. Daniel przebiega palcem wzdłuż jej kręgosłupa.

- Nie kochasz go przecież?

Aurora wymyka się jego pieszczocie, zakrywa się prześcieradłem, rozdrażniona. Powstrzymuje się, żeby nie sięgnąć po papierosa. Ton jej głosu staje się ostry:

- Nigdy go nie skrzywdzę. Nigdy, słyszysz?

- A więc wolisz go okłamywać? Ponieważ jest ojcem twojej córki, czy tak?

Aurora podnosi się. Okrąża łóżko od strony nóg. Spogląda na Daniela surowym wzrokiem:

- Właśnie tak!

Po chwili znika w łazience.

Daniel chwytła paczkę gitanów. Wyrzuca sobie, że to przez niego prysnął czar, ale nie zamierza grać. Wie, że jest mu niezbędna. Bardziej niż dawniej. Być jej kochankiem to dla niego za mało.

Zza przepierzenia słyszy lejącą się ostrym strumieniem wodę do wanny. Czuje jakiś niepokój w piersi. Wypuszcza dym, który wypełnia pokój miękkimi kłaczkami.

Woda. Dym.

Szum wody lejącej się do wanny wzmagają się jak przybierający górski strumień. Nie teraz. Nie chce do tego wracać. Dym. Woda. Zaciska ręce na uszach. Na próżno. Gorąca woda, która leje się z kranu, zanurza go już w przeszłość.

Daniel przeciera oczy i spogląda na cyfrowy zegar. Skąd ten wodospad w łazience?

Woła Aurorę. Dwa razy. Trzy razy. Brak odpowiedzi. Nigdy się nie kąpała o wpół do piątej nad ranem.

Z trudem przytomnieje. Powoli porządkuje myśli. Przypomina sobie. Lekki kuksaniec Aurory, żeby go obudzić. Nocne karmienie zwykle zajmuje dwadzieścia minut plus pięć na przewinięcie.

Co ona wyprawia w tej łazience? - Aurora!?

Już dawno powinna była wrócić i położyć się obok niego. Dlaczego nie odpowiada ?

Daniel wychodzi z łóżka. Nie zadaje sobie trudu, by włożyć szlafrok.

Coś tutaj nie gra.

Po wejściu do łazienki widzi najpierw tylko gęstą parę. Kran z gorącą wodą odkręcony jest na całego. Różowa plastikowa wanienska Mariny stoi w samym środku dużej wanny. Parująca woda wypływa z niej spienionymi kaskadami.

Aurora siedzi na taborecie. Ma nieobecny wzrok i sinoblada twarz. Danielowi jawi się to jak jakieś upiorne przywidzenie. Aurora kołysze Marinę przy piersi. Mała zawinięta jest w becik.

Nie porusza się. Daniel widzi tylko jej zamknięte oczy. Ona śpi. Zawsze szybko usypia po nocnym karmieniu.

Daniel nie od razu rozumie. Albo nie chce zrozumieć.

Zakręca nerwowo kran, nie spuszczając wzroku z Aurory poprzez zasłony pary.

-Coty wyprawiasz? Wiesz, która godzina?

Aurora nawet nie podnosi na niego oczu.

Nie przestaje kołysać córeczki, robi to coraz szybciej. Mówi drewnianym głosem, że Marinie jest bardzo zimno. Za zimno. Nie chce się obudzić. I dlatego Aurora leje gorącą wodę. Jak najgorętszą. Ponieważ nie chce, żeby jej było tak zimno. Ponieważ chce, żeby się obudziła, żeby zapłakała.

Z wytrzeszczonymi ze strachu oczami, skąpanymi we łzach, Aurora wykrzykuje w twarz Danielowi:

- Chcę, żeby zapłakała, zrozum! Chcę usłyszeć jej płacz! Krzyk płynie z głębi jej piersi.

Daniel stoi oniemiały. Z całej siły uderza pięściami w mur. Paraliżuje go niemy krzyk. Kręci głową, jakby chciał powiedzieć „nie”.

Karetką pogotowia ratunkowego jadą do szpitala. Szare korytarze. Błede światło neonowych lamp.

Aurora rzuca się na noszach. To krzyczy głosem zniekształconym przez cierpienie, to błaga. Wreszcie z płaczem prosi:

- Nie róbcie mi zastrzyku! Proszę, nie róbcie zastrzyku! Dwie pielęgniarki aż muszą się na niej położyć, żeby ją obezwładnić.

Igła wbija się w jej ramię. Internista do końca wciska płyn ze strzykawki. Aurora jeszcze się zrywa. Lży go. Pluje mu w twarz.

- Nie chcę zastrzyku!

Potem jej głowa ciężko opada. Wyciąga rękę do Daniela, którego dwaj pielęgniarze zatrzymują w drzwiach sali zabiegowej.

On także wyciąga do niej rękę. Widzi, jak jej oczy pełne rozpacz zachodzą mgłą. Jej ręka zawisa w próżni.

Salowi podtrzymują Daniela. Sadzają go na ławce w opuszczonym korytarzu, śmierdzącym środkiem odkażającym.

- Teraz sobie pośpi. Wszystko będzie dobrze.

Internista wychodzi z sali. Daje znak pielęgniarzom, żeby odeszli, i zajmuje miejsce obok Daniela.

Daniel słucha. Głos lekarza wydaje się nierealny. Dochodzi z bardzo daleka.

NŚN. Nagła śmierć noworodka. Pięćset tysięcy takich przypadków rocznie. Funkcje życiowe narządów - serca, płuc - nagle ustają, nie wiadomo dlaczego.

Daniel jest zdruzgotany. Pyta łamiącym się głosem:

- Czy cierpiała? Czy można było coś zrobić?

Internista kręci przecząco głową. Jest młody. Złoty kolczyk w uchu. Niestarannie ogolone policzki. Słuchawki zawieszono na szyi.

- Ani państwo, ani ja nie mogliśmy nic zrobić, żeby ją uratować, panie Miller.

Daniel kuli się na ławce. Szłocha. Nie może w to uwierzyć. Chce odzyskać swoją córeczkę! Chce, żeby wróciła. Młody lekarz kładzie rękę na ramieniu Daniela:

- Odwagi, panie Miller. Proszę myśleć o żonie, to będzie ciężka walka... Długa i trudna, dla was obojga.

Spoglądając zza okularów w metalowej oprawce, nawet nie zdaje sobie sprawy, do jakiego stopnia ma rację.

Daniel płacze z głową ukrytą w rękach.

Nagle wykrzykuje na cały głos imię Aurory. Jego krzyk ginie w niekończących się korytarzach szpitala.

DANIEL

Później się umyję, u siebie.

Nie dlatego, że nie ufam hotelowym urządzeniom sanitarnym. Chcę tylko, by moja skóra zachowała jej znaki i ślady. Jeszcze trochę. Przynajmniej do wieczora. Wiem, że to zakrawa na debilizm, ale to jedyny sposób, żeby przedłużyć czas spędzony z nią. Korzystam więc.

Wciągam spodnie, koszulę. Jest mi smutno i samotnie.

Wszystko popsulem tym idiotycznym żądaniem. Jak mogłem być aż takim egoistą? Jej mąż jest z pewnością porządnym facetem. W przeciwnym razie nie byłaby z nim. W przeciwnym razie nie miałyby z nim dziecka.

Zachowałem się poniżej wszelkiej krytyki.

Domyślam się, że dla niej to wcale nie jest proste. Ozywają w niej te same demony co we mnie. Tylko że ona jest w innej sytuacji. W moim życiu nie ma nikogo. Nikogo poza nią. Nie mam ochoty dzielić jej z innym. Nieważne, czy to porządny facet, czy łajdak. Chcę ją mieć tylko dla siebie. Jak przedtem. Jest moją jedyną racją bytu.

Fotografuję w myśli pokój. Chcę zapamiętać każdy szczegół. Narzuta w kwiaty, rzucona w nieładzie na miękką szaroburą wykładzinę. Pomięte prześcieradła w kolorze piasku, z zarysami falistych wydm. Mahoniowy stolik

przy łóżku. Łososiowa tapeta. Reprodukacja irysów van Gogha na ścianie. Okienko bez firanki. Dzwonnica Saint-Germain.

Słyszę, jak otwierają się drzwi łazienki. Aurora jest już ubrana i uczesana. Ma zaróżowione policzki.

Ku mojemu wielkiemu zdumieniu uśmiecha się do mnie oczami. Wybaczyła mi. Obejmuję ją delikatnie i czule.

- Puszczamy w niepamięć bzdury, które wygadywałem przed chwilą?

Przytula się do mojego ramienia. Potrząsa głową. Mówi mi o Samie. Byłby to dla niego wielki szok, gdyby się dowiedział. Nie wyobraża sobie, żeby mogła mu sprawić ból, nawet przez chwilę. To ponad jej siły. Mówi, że uratował ją przed nią samą. Gdyby nie on, umarłaby z rozpaczy. Jej wargi są przy moim uchu. Czuję podmuch jej oddechu, gdy mówi:

- Nawet nie wiesz, co przeżyłam...

Przyciągam ją do siebie. Powstrzymuję się, żeby jej nie przerwać. Ja również miałbym wiele do powiedzenia.

Czy wiesz, co przeszedłem, Auroro? Nie, bo zniknęłaś, odeszłaś i nie zostawiłaś adresu. Straciłem Marinę. Straciłem ciebie. Stałem się cieniem samego siebie. Strzępem człowieka.

Pieszczę jej twarz. Milczę.

Odpowiedziałabyś, że nie dorosłem do sytuacji. Nie potrafiłem cię uratować i dlatego mną wzgardziłaś. Odeszłaś. Wiem, wszystko to wiem, ale dzisiaj jest inaczej. Gdybyś tylko chciała, ja też mógłbym cię otoczyć opieką. Wystarczy, żebyś mi dała drugą szansę.

Ja również potrafię uczynić cię szczęśliwą, na nowo.

Tak bardzo cię kocham.

Samochód wjeżdża w tunel pod Halami.

Czuję się dziwnie z siedzącą obok Aurorą. Jakbyśmy wracali do siebie, a tymczasem już za kilka minut będziemy musieli się rozstać. Nie mówi o kolejnym spotkaniu. Właściwie nie odzywa się od chwili opuszczenia Saint-Germain. Pali jednego papierosa za drugim. Głowę ma zwróconą ku szybie. Oddała się, czuję to.

Zmieniam bieg. Wsuwam rękę między jej uda. Nie odpycha mnie. Nie daje też żadnego zachęcającego znaku. Patrzy na zegarek.

Wolałbym już trzęsienie ziemi. Żeby zawalił się ten pieprzony tunel, przed nami i za nami. Żebyśmy zostali uwięzieni w monstualnym korku, byle tylko odwlec chwilę, w której usłyszę: „Wysadź mnie tutaj”.

Dosięga mnie to na placu Republiki. I jest to jeszcze inny rodzaj kataklizmu - w sam środek brzucha.

- Wysadź mnie na rogu - mówi - przy alei Republiki. Jestem spóźniona.

Zebrzę jeszcze o chwilę:

- Dlaczego tutaj? Podwiozę cię pod szkołę.

- Nie. Chcę się przejść kawałek. Tak wolę. Parkuję na drugiego. Zaciągam ręczny hamulec.

- Czego się boisz? Że twoja córka mnie zobaczy?

Wreszcie odwraca w moją stronę głowę. Trzyma w palcach szafir, przeciąga go na łańcuszku w lewo i w prawo, pastwiąc się nad nim. Jest bardzo blada.

- Nie, nie tego się boję.

Więc czego? Że dowiem się, gdzie mieszka? Że wtargnę do salonu podczas rodzinnej kolacji? To nie w moim stylu. Mimo wszystko.

Z tyłu słyszę wściekłe trąbienie. Ona uchyla drzwi.

- Ciebie się boję. Siebie. Boję się nas, Danielu!

Każde z tych słów jest jak kula dum-dum, która mi rozwała klatkę piersiową. Trzaśnięcie drzwi to już tylko ostateczny cios.

Widzę ją, jak ucieka w pośpiechu chodnikiem. Walę pięścią w kierownicę. Nie odchodź tak!

Nie zastanawiam się. Wyskakuję, zostawiam otwarte auto i pędzę przed siebie, wymijając slalomem tłum na chodniku. Potrącam młodego Beura* na wrotkach. W ostatniej chwili wymijam kobietę z wózkiem. Przeskakuję rozbebeszony pojemnik na śmieci.

Arab urodzony we Francji z rodziców imigrantów. Popularne, nie-pejoratywne określenie (przyp. tłum.).

Nie odchodź tak! Zaczekaj na mnie!

Połykam ostatnie metry dzielące mnie od niej. Wołam ją, aż brak mi tchu.

Zatrzymuje się. Opiera się plecami o bramę.

Obojgu nam brakuje tchu. Czoło zroszone potem. Załzawione oczy.

Ledwo dyszę:

- Ja się nie boję. Czy może nas spotkać coś jeszcze gorszego? Najgorsze jest za nami, ukochana. Tamto się skończyło.

Kręci gwałtownie głową. Coraz szybciej.

- Milcz... Nie wracaj do tego!

W mgnieniu oka widzę ją znowu na noszach w szpitalu Tenon, tuż przed zastrzykiem. Ta sama rozpaczliwa determinacja.

Rozluźniam dłonie, ujmuję jej twarz. Unieruchamiam. Zmuszam, żeby się nie ruszała. Żeby się uspokoiła. Żeby na mnie spojrzała.

- Pocałuj mnie...

- Trzeba z tym wszystkim skończyć, Danielu. Natychmiast!

Nie słyszę tego. Nie chcę słyszeć. Powtarzam:

- Pocałuj mnie!

Zbliżam do niej usta. Całym sobą pragnę tego pocałunku. Nawet gdyby to nie był prawdziwy pocałunek. Nawet gdyby miał być ostatni. Czuję jej drżące, rozchylające się wargi.

Jej usta mają smak łez. Próbuję się uśmiechnąć:

- Zadzwonisz, prawda? Powiedz, że zadzwonisz... Gładzi mnie po włosach.

- Nie mogłabym inaczej... Ale ty bądź silniejszy ode mnie!

- Silniejszy? Co chcesz przez to powiedzieć?

AURORA

- Odłóż słuchawkę! Odmów spotkania ze mną! Nawet jeżeli wykrzyczę, że cię kocham!

Jeszcze nigdy żadne zdanie nie było tak bolesne do wypowiedzenia. Daniel spojrział na mnie uważnie, jakby nie wierząc w to, co mówię. Opuścił ręce. Powoli.

Zostawiłam go na chodniku.

Uciekłam.

Walczyłam ze sobą, żeby się nie obejrzeć. Żeby znowu nie pobiec do niego.

Wreszcie wytłumaczyłam sobie, że to absurd. Moje pragnienie jest czysto fizyczne. Nic poza tym! Teraz, po dopełnieniu aktu, uwolnię się od niego. Raz na zawsze.

Stara teoria o ciastku z malinami. Ma się na nie ochotę. Pożera się je błyskawicznie. Zaspokaja się pragnienie. I już się o tym nie myśli.

Miałam nadzieję, że mnie rozczaruje. Że będę nieczuła na jego pieszczoty. Że nie rozpoznam jego skóry. Że pozostanę obojętna na jego ciało.

Później, kiedy drzwi pokoju zamknęły się za nami, uświadomiłam sobie, jaka byłam głupia. Już teraz tęskniłam za jego ciepłem.

Ciastko z malinami stanęło mi w poprzek serca.

Nie czułam wstydu. Nie miałam poczucia winy. A jednak gdzieś w głębi, w zakamarkach duszy, czaiła się udręka.

Byłam rozdarta na strzępy.

Elza czekała na mnie. Siedziała grzecznie na schodach przed szkołą i przeglądała kolorowe wycinanki, które wymieniały z koleżankami.

Spóźniłam się kwadrans. To mi się jeszcze nigdy nie zdarzyło.

Zbliżałam się do niej z przyklejonym uśmiechem. Muszę ją chronić. Przyśpieszyłam kroku.

Kiedy mnie zobaczyła, rzuciła mi się w ramiona.

- Co się stało? Gdzie byłaś?

Ścisnęła ją jeszcze mocniej niż zwykle, jakbyśmy po długiej nieobecności spotkały się na peronie dworca. Gładko wymyśliłam kłamstwo. Na poczekaniu. Pierwsze, co mi przyszło do głowy:

- Grałam z Anouk w tenisa... Zagapiłyśmy się. Wyobrażam sobie minę Anouk, gdyby usłyszała to

łgarstwo. Jak z łobuzerskim uśmiechem mówi: „Nie ma to jak dobre kumpelki”.

Elza zwróciła mi uwagę, że nie mam przy sobie rakiety. Ani sportowej torby. Ojej! Na pomoc, Anouk! Jej kpiący głos podszeptał mi odpowiedź: „Tak się śpieszyłaś, kretynko, że zostawiłaś rzeczy w bagażniku mojego samochodu! A gdyby mnie nie było?”

Dzięki, Anouk.

Elzę usatysfakcjonowała moja odpowiedź.

- Mam nadzieję, że załatwiłaś ją w trzech setach!

Zwykle koryguję ten rodzaj słownictwa. Teraz puszczam mimo uszu. Myślałam właśnie, żeby po powrocie do domu niezwłocznie ukryć torbę i rakietę. Żeby taką samą wersję powtórzyć Samowi. Nie. Lepiej nic nie mówić. Nie kłamać, ale i nie mówić prawdy. Mniej szlachetne, za to bardziej w moim stylu.

Przed przejściem na drugą stronę ulicy Elza wzięła mnie za rękę.

- Wiesz, mamó, mogłabym już sama wracać ze szkoły do domu.

Dyskutowaliśmy na ten temat sto razy. I sto razy usłyszała tę samą odpowiedź: „Poczekajmy, aż urośniesz jeszcze parę centymetrów, myszko!”

Od kiedy się urodziła, nie pozostawiłam jej samej nawet na pięć minut. Muszę ją mieć stale na oku. Nie było więc żłobka, nie było przedszkola. Nie było też kolonii ani żadnych placów zabaw. Odwlekłam jej pójście do zerówki aż do obowiązującego wieku szkolnego. Odprowadzałam ją i przyprowadzałam. Szkoła, kurs tańca, urodziny koleżanek. Wszędzie. Kiedy wychodziliśmy wieczorem bez niej, zamawiałam *baby-sitterkę*. Miała czuwać przy jej łóżku i sprawdzać, jak śpi. W kinie nie byłam w stanie skupić się i śledzić akcji filmu. Ciągłe byłam niespokojna. Wybieraliśmy z Samem takie sale, o których wiedziałam, że mają w holu telefon. Początkowo Sam był wyrozumiały, ale od pewnego czasu uważa moje zachowanie za przesadne i na granicy śmieszności.

- Wkrótce będzie miała dziewięć lat! Co, twoim zdaniem, może jej się stać?

Wszystko. Dziecku wszystko może się stać. Włącznie z najgorszym. Czy ma dziewięć lat, pięć czy dwa lata. Czy ma cztery miesiące i pięć dni.

Elza nie dawała za wygraną aż do samych drzwi mieszkania:

- Koleżankom mamy pozwalają, a są mniejsze ode mnie!

- Ich mamy są mniejsze od ciebie? Nie zauważyłam. Rzuciła tornister na podłogę. Protest narastał:

- Gwiżdżę na to, zapytam tatusia. To nie jest w porządku!

Pognała do swojego pokoju na końcu korytarza. Obraza, a na pociechę Spice Girls.

Usłyszałam eksplozję ich sprefabrykowanych rytmów.

Obeszłam wokół duży pokój, utworzony z dwóch pomieszczeń. Dotykałam mebli z jasnego drewna, które sama wybierałam; bibelotów wypatrzonych na pchlim targu

w Montreuil; roślin zgromadzonych w obfitości w rogu drzwi balkonowych; stosu książek o sztuce, stojących w chwiejnej równowadze przy nodze biurka. Przystanęłam obok fotografii Sama, Elzy i mojej, przypiętych byle jak do korkowej płyty. Byłam u siebie.

Nagle poczułam się obco. Nie na swoim miejscu. Już nie na swoim miejscu. Połknęłam valium.

W sypialni wsunęłam sprzęt do tenisa na górną półkę w szafie. Zdjęłam pantofle.

Usiadłam z błędnym wzrokiem na brzegu łóżka.

Co ze mną teraz będzie? Czy będę mogła spojrzeć Samowi w oczy, gdy wróci? A czy będę mogła spojrzeć na siebie w lustrze przed położeniem się obok niego? Każdemu z tych dręczących pytań towarzyszyła twarz Daniela.

Głos Elzy sprawił, że nie musiałam udzielać sobie odpowiedzi:

- Posłuchasz wiersza? Umiem na pamięć!

Weszłam za nią do salonu. Wcisnęła mi w ręce zeszyt. Wystartowała natychmiast i na pełnym gazie. Istny ekspres.

- „Śpiący w kotlinie” Arthura Rambo! ***Zakąt, gdzie śpiewa rzeka wśród bujnej zieleni...1***

Zasłoniłam jej usta dłonią.

- Nie Rambo, Rimbaud! A poza tym mów z uczuciem. Trajkoczesz jak karabin maszynowy!

Podskakujemy na dźwięk telefonu, obie.

Zadowolona, że może uciec od Rimbauda, Elza biegnie odebrać telefon na moim biurku. Kilka razy powtarza „halo!”

- Kto mówi? - złości się. - Proszę odpowiedzieć! Halo! Niech się pan odezwie, skoro do pana mówię!

Serce mi zadrżało. Daniel. Nikt inny, tylko on. W jaki sposób zdobył mój numer? Nie wie, gdzie mieszkam. Noszę nazwisko Sama, którego nie zna.

1Arthur Rimbaud, *Wiersze. Sezon w piekle. Iluminacje. Listy*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1993. Przekład Bronisławy Ostrowskiej.

Elza dalej wygraża telefonowi:

- Uprzedzam, że się wyłącze. Co za grubianin! Niewychowany! Kretyn!

Wyjęłam jej z ręki aparat i kazałam iść do swojego pokoju powtarzać wiersz.

Usłyszałam, jak, ociągając się, wychodzi z salonu.

Podniosłam słuchawkę do ucha. Tylko oddech po drugiej stronie. Przytłumiony i spokojny. Jego.

Powiedziałam szeptem, bez cienia wątpliwości:

- To ty? Wiem, że to ty.

Zapadła krótka cisza. Po czym usłyszałam jego głos, tak blisko. Był jak balsam na moją ranę.

- Nie przeszkadzam? Chciałem cię jeszcze usłyszeć...

- Jak mnie znalazłeś? Śledziłeś mnie?

- Wielki Marabut Bubakar Miller posiadał wszelkie magiczne moce! Jestem na dole. Tuż koło ciebie.

Odruchowo ścisnęłam słuchawkę. Podeszłam do drzwi balkonowych.

Zadrzałam, widząc go na chodniku po drugiej stronie, stojącego bez ruchu pośród tłumu przechodniów, z ręką na policzku osłaniającą komórkę. Przyłgnęłam czołem do szyby. Najchętniej przesłabym przez nią na wylot, żeby znowu się z nim spotkać, natychmiast.

Przyszpilił mnie wzrokiem i już go nie spuścił. Dopatrzyłam się jego nieszczęśliwego uśmiechu.

- Już tęsknię za tobą. A ty?

- Aż do bólu! Nie mogę za długo mówić, tutaj... To straszne!

- Więc nie mów... Posłuchaj. Więcej nie zadzwonię do ciebie, obiecuję. Będę na ciebie czekał. Nie chciałabyś mi zrobić prezentu?

- Prezentu? Teraz? Ale...

- Pss... Kiedy się rozłączę, otwórz okno. Wyjdź na balkon... Podnieś włosy i odśłoń kark. Tylko dla mnie.

Wzruszył mnie. Te jego zawsze proste pomysły, niby nic nie znaczące, a tak poruszające. Jak ta mała mosiężna busola kupiona w księgarni o tematyce morskiej, którą mi podarował przed wyjściem z hotelu:

- W ten sposób, gdy się zgubisz, albo gdy ja się zgubię, zawsze znajdziesz drogę do mnie...

Wzięłam głęboki oddech:

- Tylko tyle?

- Tak. Tylko tyle.

Rozłączył się. Zrobiłam tak, jak prosił.

Otworzyłam okno. Odwróciłam się. Oparłam plecami o balustradę balkonu. Przechyliłam do tyłu głowę. Uniosłam włosy obiema rękami.

Podarowałam mu mój kark.

Zamknęłam oczy. Byłam szczęśliwa.

Dwa krótkie dzwonki.

Przed przekręceniem klucza w zamku Sam usiłuje odegnąć ponure myśli. Bez skutku. Jaką Aurorę zastanie po drugiej stronie drzwi tego wieczoru?

Kobietę, którą kocha, czy też tę inną, którą równie mocno kocha? Nawet jeżeli ta druga jest tylko widmem Aurory. Tę, która udaje, że słucha, kiedy on mówi. Udaje, że się śmieje z jego wygłupów z Elzą. Udaje, że się z nim kocha, albo mówi: „Nie dzisiaj, Sam!” Tę, która wstaje co noc dziesięć po trzeciej i błąka się po mieszkaniu jak potępiona dusza. Tę, która jest tutaj, ale myślami nieobecna. Uchyła się od wszelkich wyjaśnień. Cierpi i jemu zadaje cierpienie. W milczeniu.

Tysiąc pytań. Na czym polega jego wina? Zgubny wpływ czasu na ich związek? Przejściowa depresja? Wyeliminował dziewięśset dziewięćdziesiąt dziewięć odpowiedzi. Pozostała tylko jedna. Okrutna. Odpowiedź, która go przeraża.

Zawiera się w dwóch słowach: Daniel Miller.

Tylko on mógł ją pograżyć w tym stanie z przeszłości. Z przeszłości, której ona nie może zapomnieć, żeby pokochać jego, Sama.

Ogarnia go panika. A jeżeli jej tam nie ma? Jeżeli odeszła? Wie, że jest do tego zdolna. Od urodzenia Elzy ten skrywany strach, że pewnego dnia go opuści, ucichł w nim z czasem, ale teraz powrócił. Wulkaniczna magma, która kipi we wnętrzu ziemi.

Wchodzi szybkim krokiem do salonu. Widzi ją. Oddycha z ulgą.

Kobieta, którą kocha, siedzi przy biurku, ze wzrokiem utkwionym w ekran komputera.

Gdy ją całuje, uśmiecha się do niego. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki powraca wiara. Nawet jeżeli jej usta są trochę ściągnięte. Nawet jeżeli popielniczka jest pełna petów. Nawet jeżeli odpowiada półgębkiem na pytanie, co dzisiaj robiła.

Mówi, że dostała nowe zlecenie, tym razem z magazynu ekologicznego. Nie, to nie jest pilne, ale woli się wziąć od razu do pracy. Rozpatrzyć się w sytuacji. To jej zajmie cały wieczór.

Sam chce powiedzieć, że ma na to cały weekend, ale powstrzymuje się. Mogliby gdzieś wyjść razem, na przykład do restauracji. Albo do kina. Być razem, we troje. Oczy Aurory porzuciły go już dla pustego ekranu mackintosha. Jej schronienie przed sam na sam z nim, również dzisiejszego wieczoru.

Proponuje, że zajmie się kolacją. Nie sprzeciwia się. Elza chciałaby naleśniki, on robi je lepiej od niej.

Z wyciągniętym językiem, ściskając w dłoniach rączkę patelni, Elza koncentruje się przez krótką chwilę. Przystępuje do dzieła z prawdziwym entuzjazmem. Wprawny, szybki ruch nadgarstka. Naleśnik frunie do góry, muska sufit kuchni i opada spiralnie.

Elza wyrównuje pofałdowany placek na środku patelni i zniechęcona odyma usta.

- Jeszcze jeden gniot. Nigdy się tego nie nauczę. Razem to już trzy gnioty. Do zera. Znowu wygrasz!

Na widok jej pomarszczonej jak u małpki miny Sam ledwo powstrzymuje się od śmiechu.

Ta mała kobietka wyświadcza mu ogromną przysługę tym swoim paskudnym charakterem, wybuchami radości, swoją niewinnością. Te krótkie chwile powszedniego dnia, które z nią dzieli, są najdrogocenniejszym skarbem.

Ona jest życiem. W czystej postaci.

Sam próbuje łopatką reanimować gniotą. Nie idzie mu to łatwo.

- No zobacz! Jak na naleśnik jest bardzo ładny. Tylko trochę uszkodzony po bokach, ale całkowicie jadalny.

Zsuwa gumowatą masę na półmisek. Elza krzywi się z obrzydzeniem:

- Akurat! Jest jak psie rzygowiny. Będzie dla ciebie. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie: zgadzasz się? No powiedz!

No tak. A więc z uporem powraca do swojej ostatniej obsesji. Chce chodzić do szkoły sama i sama wracać. Sam gra na zwłokę. Obiecuje, że porozmawia o tym z Aurorą.

- Nie bój się, będę stanowczy w negocjacjach.

- Ona nigdy się nie zgodzi. Jeszcze dostanie ataku nerwowego. Osobiście mam tego dość! Ona mi w ogóle nie ufa!

Sam wzdycha. Chochłą wylewa na patelnię ciasto i czeka, aż się zetnie. Próbuje przemówić Elzie do rozsądku. Mama jest taka jak wszystkie mamy. Trudno jej zrozumieć, że ukochane małeństwo mogłoby się obejść bez niej. A przede wszystkim boi się, żeby Elzę nic złego nie spotkało na ulicy.

To normalne. Trzeba ją zrozumieć.

Słuchając ojca, Elza czuje się urażona. Okazuje się, że na dorosłych nie można liczyć. Stoją murem! Proszę, teraz on ją bierze w obronę. Elza wzrusza ramionami, przybiera pozę męczennika:

- Co nie przeszkadza, że kiedy się spóźnia, sterczę przed szkołą jak jakaś kretynka.

Sam wybucha śmiechem. Jej matka spóźnia się po nią do szkoły!

- Nie wmówisz mi tego, córeczko!

- Tak było, choćby dzisiaj, a ja...

Sam przerywa jej ruchem ręki. Naleśnik zaczyna dochodzić. Chwila jest ważna i delikatna. Zdejmuje patelnię z ognia. Potrząsa nią zręcznie przed nosem Elzy, żeby od-kleić brzegi.

- Podziwiaj moją technikę! Wszystko polega na ruchu nadgarstka, widzisz? Robisz to płynnie, ale zdecydowanie. A... długo czekałaś?

Uśmiech satysfakcji na twarzy Elzy. Wreszcie jakiś argument nie do odparcia:

- Co najmniej kwadrans, wyobrażasz sobie? A ona grała sobie w tenisa...

Naleśnik frunie w powietrze. Elza śledzi go wzrokiem. Kończy zdanie:

- ZAnouk!

Anouk. Sam wpada w popłoch. Ciasto spada, trafia na brzeg patelni i zwisa żałośnie. Co za pech!

Elza jest uszczęśliwiona. A więc jeden gniot po jego stronie! Nieoczekiwany.

- Niech żyje technika! Sam sposepniał.

Jednym gwałtownym ruchem łypatki wrzuca nieudany naleśnik do pojemnika na śmieci.

AURORA

Po sposobie, w jaki Sam postawił półmisek na moim biurku, wyczułam jego napięcie. Wszystko o tym świadczyło: spojrzenie, głos, nawet oddech.

- To wszystko, co udało mi się uratować z masakry. Solone masło, cukier. Chcę mieć pewność, że zjesz choć trochę... - Ruchem brody wskazał na talerz i na złożony w chusteczkę naleśnik.

Stał nade mną i przyglądał mi się w milczeniu.

Odsunęłam talerz. Umoczyłam usta w wytrawnym jabłeczniku w czarce. Wyszło mi w gardle. Było chropowate jak papier ścierny.

- Elza się położyła? - zapytałam.

Kiwnął głową. Podniosłam się, żeby pójść do jej pokoju pocałować ją. Rytuał przed snem. Tchórzliwy pretekst. Stawić czoło obecności męża to ponad moje siły.

Chwycił mnie za przedramię. Bez odrobiny czułości. Ruchem nie znoszącym sprzeciwu.

- Zaczekaj! Ona teraz czyta. Możemy porozmawiać? Usiadłam z powrotem. Sądząc po jego poważnej minie,

nie zanosilo się na nic miłego. Prawdę mówiąc, wyraz jego twarzy był dla mnie czymś nowym. Cierpiący i zdeterminowany zarazem. Puścił moje ramię.

Zapaliłam papierosa.

- Porozmawiać? O czym?

Sam oparł się o krawędź biurka. Ruchem ręki rozwiął dym, którym dmuchnęłam w jego stronę:

- Wiesz, kto dzwonił do mnie dzisiaj do szpitala? Wpadłam w panikę. Daniel! To całkiem w jego stylu.

Już słyszę, jak mówi: „Widziałem się z Aurorą. Kochałem się z nią. Nie liczysz się w jej życiu, więc pozwól jej odejść. Zostaw ją mnie”.

Nie. Nie zrobiłby tego. Nigdy bym mu tego nie wybaczyła.

Sam próbował się uśmiechnąć. Tak jakby dręczący mnie niepokój sprawiał mu przyjemność. Miałam mu to za złe. Odwarknęłam zdenerwowana:

- Skąd mogę wiedzieć? Nie jestem jasnowidzem!

- Anouk! Zesztywniałam.

Uczepiłam się poręczy fotela. Podkurczyłam pod siebie nogi.

W obawie przed dalszym ciągiem, a jednocześnie z ulgą, że oto zbieg okoliczności gra na moją niekorzyść. Nie musiałam nawet kłamać.

Sam nie spuszczał ze mnie wzroku, śledził każde drgnienie moich powiek. Pozwoliłam mu mówić.

- Ostry nerwoból lędźwiowy. Od rana jest przykuta do łóżka. Parszywa sprawa, nie?

Z jego słów biła ironia, łagodna gorycz. Nie wiem, co mnie podkusiło.

Chwila była odpowiednia, żeby powiedzieć mu prawdę, spróbować wyjaśnić. Okazać czułość, jak pierwotnie zamierzałam. Dać odczuć, że pomimo zamętu we mnie, zależy mi na nim. Na nas. Bardziej niż dotychczas.

Zrozumiałby mnie. Zawsze mnie rozumiał. Wziąłby mnie w ramiona. Dałby mi siłę na pozbieranie się.

Poczułam się osaczona. Przyparta do muru. Przestałam panować nad sobą.

- Nie zniosę twoich bezpodstawnych aluzji! Jeżeli

masz mi coś do zarzucenia, powiedz, zamiast odstawiać spryciarza!

- Nie spędziłaś z nią popołudnia! To wszystko!

Jednym ruchem zwałam na podłogę to, co było na biurku: półmisek, czarękę z cydrem, talerz, sztucce. Wszystko wylądowało z hukiem w drugim końcu pokoju. Zaczęłam wrzeszczeć:

- Szpiegujesz mnie! Jakim prawem? Widuję się, z kim chcę i kiedy chcę! Nikomu nie muszę się spowiadać, a zwłaszcza tobie! Zdaje się, że już to sobie wyjaśniliśmy. Więc zostaw mnie w spokoju, raz na zawsze!

Czułam, jak mocno bije mi puls. Sam zmienił się na twarzy.

- Uspokój się... Nie będziemy sobie wymyślać z pówo-du drobnego kłamstewka. Co się z nami dzieje, Auroro? Zmieniłaś się. Jesteś nieobecna. Jak wtedy, kiedy cię poznałem. Może nawet bardziej...

Chciał mnie pogłaskać po włosach. Odepchnęłam go bezceremonialnie.

- Przesłuchanie skończone? Mogę wrócić do pracy? Odwróciłam się z fotelem, twarzą do komputera. Maltretowałam myszkę. Mdlilo mnie.

Sam cofnął się. Bez słowa pozbierał potłuczone naczynia.

Wrócił, postawił pudełko valium na brzegu stołu.

- Mogłabyś skończyć z tymi bzdurami, nic dobrego dla ciebie z tego nie wyniknie, sama wiesz...

Starłam się nie patrzeć mu w oczy. Byłam bliska płaczu. Nadludzkim wysiłkiem zmusiłam się, żeby nie zacząć szlochać.

- Wręcz przeciwnie. To mi bardzo pomaga. Jest mi potrzebne, możesz to zrozumieć?

- Skoro jest ci tak potrzebne, domyślam się dlaczego. A raczej z czyjego powodu. Widujesz go, prawda?

Usłyszałam swoją odpowiedź wypowiedzianą lodowatym głosem:

- Tak. I co z tego?

Sam pochylił się bez słowa nade mną. Uniósł moją brodę. Zmusił, żebym popatrzyła mu w oczy:

- Nie popełnij głupstwa, Auroro. Nie zapominaj, że jest nas dwoje. Elza i ja naprawdę cię kochamy.

Nie wstrzymywałam już łez.

- Proszę, zostaw mnie! Zostaw mnie samą.

Sam z jednej strony łóżka, Aurora z drugiej. Plecami do siebie. Przestrzeń między nimi jest jak niezmierna przepaść, już nie do pokonania, wyczuwalna nawet przez sen.

Zerwał się nocny wiatr. Skrzydło okna uderza o kłamkę zasuw. Jest trzecia dziesięć.

Głowa Aurory porusza się niespokojnie na poduszce. W coraz szybszym rytmie. Jej czoło pokrywa pot. Przez na wpół otwarte usta powietrze z trudem toruje sobie drogę. Jęczy. W męce wyrzuca z siebie urywki niezrozumiałych słów.

Traci oddech.

Żeby przeżyć, otwiera szeroko oczy. Siada na łóżku. Wpatruje się nieprzytomnym wzrokiem w ciemność. Podnosi dłonie do gardła. Łapie gwałtownie powietrze.

Po swojej stronie Sam ma także szeroko otwarte oczy. Powstrzymuje się, żeby się nie odwrócić, nie wziąć jej w ramiona. Uważa, że coś między nimi pękło. Że stał się niepotrzebny.

Słyszy, jak Aurora porusza się po omacku w ciemnościach i opuszcza sypialnię. Zaczyna się nocny obchód.

*

Najpierw do łazienki, gdzie Aurora zimną wodą obmywa twarz. Pije prosto z kranu, żeby ugasić ogień, który pali jej gardło.

Z łazienki przechodzi do salonu. Przyciska czoło do szyby drzwi balkonowych. Wyludniona ulica w świetle księżyca. Latarnie są pogaszone. Dwa koty stanęły do walki naprzeciw siebie koło śmietnika. A może ich dziki wrzask jest pieśnią miłosną, wstępem do parzenia się. Spogląda na chodnik po przeciwnej stronie. Ustala dokładne miejsce, skąd dzwonił do niej Daniel. Tak bardzo by chciała, żeby znowu się pojawił. Tylko na jedną sekundę.

Z salonu do kuchni. Zostawia otwarte drzwi lodówki. Stojąc w jej świetle, pije małymi łykami jogurt, zatopiona w myślach. W głowie słyszy cichy odgłos termostatu. To podgrzewacz do butelki osiągnął pożądaną temperaturę.

Zaczyna drzeć na całym ciele.

Marina. Elza. Elza. Marina. Te dwa imiona mieszają się jej w głowie.

Zapala w korytarzu światło, idzie chwiejnym krokiem do sypialni córki.

Tutaj, u wezglowia Elzy, która śpi spokojnie, kończy się jej nocny obchód.

Aurora delikatnie pieści loki małej, jej pyzate policzki, wypukłe czoło. Śledzi ładnie zarysowane, pełne wargi. Muska przezroczyste powieki.

W promieniu światła padającym przez na wpół otwarte drzwi wpatruje się w Elzę, ale mówi do Mariny. Nie zdając sobie z tego sprawy, w przyływie szalonej tkliwości, przemawia szeptem do swojej małej nieobecnej.

- Jak smacznie śpisz, marynarzyku. Nawet nie wiesz, jak często zadaje sobie pytanie, jaką miałabyś dzisiaj twarzyczkę. Na pewno miałabyś swoje wielkie czarne oczy. I swój szelmowski uśmieszek. Byłabyś taka piękna, taka duża, Marino! Byłaś już taka od urodzenia: pięćdziesiąt dwa centymetry, wyobrażasz sobie? I ten twój pióropusz na główce!

Mówi nieprzerwanie. Marina odżywa w jej sercu. W jej ciele. W jej oczach.

Nie widzi Sama, którego sylwetka przecina smugę światła na podłodze. Sam nie wchodzi do pokoju. Stoi nieruchomo za drzwiami. Słucha, wystraszony, radosnego głosu Aurory. Ma wrażenie, że on także żyje w koszmarze. Aurora przeszła na drugą stronę życia, w inny wymiar. Nie może jej ani zatrzymać, ani podążyć za nią.

Tam, gdzie ona się znajduje, nie ma miejsca dla niego.

Zmieszany, wycofuje się tyłem jak intruz.

Aurora coraz bardziej zanurza się w przeszłości. Bierze córkę za rękę.

- Ty także będziesz tańczyć... Ale nie balet klasyczny, nie. To nie w twoim stylu!

Jej spojrzenie rozjaśnia się w półmroku. Przed oczami przesuwają się obrazy minionego szczęścia, mnożą się, jest ich coraz więcej. Towarzyszą im jakże żywe wybuchy śmiechu. Jej, Daniela. Maleństwa. Pierwszy raz tak się zaśmiewa.

- **Rock and roli**, malutka! Och, będziesz to uwielbiać, czysty, surowy rock!

Rozpędza się i przy akompaniamencie rozedrganej gitary Chucka Berry'ego zanurza się w ochłan tamtych szczęśliwych dni.

32

Jest niedzielny poranek. Godzina dziewiąta.

Pierwsze dźwięki Sweet Little Sixteen rozbrzmiewają z głośników. Aurora nastawiła aparat na cały regulator. Wybija rękami rytm i dołącza do Daniela, który tańczy na środku pokoju z Mariną w ramionach.

Daniel ma na sobie majtki w kwiaty i czarny podkoszulek. Marina jest jeszcze w śliniaczku z głową kaczuski, który jej podryguje na szyjce. Nieskoordynowanymi ruchami potrząsa szmacianym diabełkiem.

Wszyscy troje szaleją.

Aurora kołysze biodrami, bierze akordy na wymaginowanej gitarze.

Daniel kręci się, podryguje. Śpiewa refren wspólnie z Chuckiem Berrym - bardzo fałszywie i bardzo głośno. Wymyśla zwariowaną choreografię, coś pośredniego między rockiem i tangiem.

Zgina się do przodu. Wygina do tyłu. Pociera nosem o nosek Mariny.

Za każdym ruchem Marina otwiera wielkie jak talerze oczy. Wywija ramionkami i nóżkami w opętanym rytmie. Nagle wybucha śmiechem.

Dziewiczym śmiechem. Pierwszym śmiechem. Jak promyczek

dnia. Śmiechem, który ją samą zadziwia. Zupełnie nieproporcjonalnym do jej rozmiarów. Perliście jak kaskada. Gulgocze, dostaje czkawki, ale nie przestaje się śmiać.

- Szybko, kamerę! To zbyt piękne!

Aurora daje nura za kanapę i z kamerą przy oku obchodzi ich ze wszystkich stron.

Ma trudności z kadrowaniem, gdy wstrząsają nią spazmy, ilekroć mała wybucha na nowo śmiechem.

już nie może. Błaga Daniela:

- Teraz ja! Ja! Sfilmuj nas razem!

Marina wyciąga do niej rączki. Wydaje dźwięki. Jakieś „juju”. "gigi"-

Aurora przyciska ją mocno do siebie. Porywa do powolnego walca. Pokrywa buzię pocałunkami. Wdycha jej zapach kwaśnego mleka. Łaskocze ją w brzuszek.

Mała, namierzona przez oko kamery, śmieje się w dużym kadrze.

Daniel dokręca kasetę do końca. Tańcz, malutka Manno. Śmieję się. Chwytaj życie. Chłoń je swoimi wielkimi czarnymi oczami takie, jakie jest.

Jest niedzielny poranek, godzina dziewiąta.

Tej nocy zapomnisz zapłakać. Zapomnisz o nocnym karmieniu.

Zapomnisz żyć.

DANIEL

Pływalnia wcześniej w sobotę rano w Halach. Zanurzam się w nadmiernie chlorowanej wodzie z lekkim niepokojem. Stwierdzam, nie bez zdumienia, że jeszcze umiem pływać. Trzecia długość basenu. Powracają dawne reakcje. Zaczyna trochę brakować tchu. Normalne. Trzeba będzie pomyśleć, czy nie podziękować za współpracę urzędnicze z ulicy Bagnolet, która zatruwa mnie dymem swoich papierosów. Ale ciało funkcjonuje jeszcze całkiem nieźle, jak na mój wiek. To mnie podnosi na duchu. Mięśnie, zwiotczałe przez te wszystkie lata braku fizycznej aktywności, jeszcze jakoś reagują. Muszą tylko odzyskać dawną sprawność.

To postanowione. Odtąd pływalnia trzy razy w tygodniu.

Wychodzę. Uda i ramiona mam obolałe. Sklepy Forum jeszcze nie są otwarte. Na ulicy pusto, tak jak lubię.

Ona nie zadzwoni ani dzisiaj, ani jutro. Jestem na to przygotowany.

Ja też nie zadzwonię. Obiecałem.

Mogłaby się znaleźć w niezręcznej sytuacji, gdybym

trafił na tego jej faceta albo córkę. Długi tunel weekendu. Wszyscy są u siebie, z czego prawie połowa legalnie. Na rozmowie z jednym, na myśleniu o innym. Potajemne spotkania. Zawsze zbyt krótkie. Tajemnicze telefony. Wybiegi i kłamstwa, żeby nie dać się zaskoczyć. Osobne wakacje. Żalność!

Poruszyła mnie pewna myśl. Zakładając, że tak jest, nie identyfikuję nas z tą drugą grupą.

Po pierwsze, jestem sam. Nie zdradzam nikogo. Aurora nie zdradza ze mną męża. Ona do mnie wraca. Drobną różnicą. Ja byłem wcześniej, prawda? To raczej on mnie zdradza z nią. Ukradł mi ją dwanaście lat temu, łajdak!

Wykorzystał moją chwilową nieobecność, żeby wrosnąć w jej życie. Nieładnie, oj nieładnie!

Bliski jest dzień, gdy ona wróci do mnie na dobre. Z własnej woli. Ponieważ będzie tego chciała. Ponieważ zrozumie, że to, co nas łączy, jest silniejsze niż cała reszta. Ze jesteśmy niezniszczalni, oboje.

Z tym nieoczekiwanym optymizmem biorę bilet i karton (gigantyczna porcja) prażonej kukurydzy w Cine-Cites.

Żadnej kolejki przed kasą. Sześć osób na całą olbrzymią salę. Jedna para i cztery samotne kobiety. Wątpię, żebyś mogła być wśród nich. Jest już po kronice. Gasną światła. Sadowię się pośrodku trzeciego rzędu akurat wtedy, gdy film się rozpoczyna.

Doskonale. O czymś takim marzyłem!

Rusza *Zakochany Szekspir*. Film pochłania mnie od pierwszej sceny. Wydaje mi się wspaniały, subtelny, inteligentny. Obiecuję, że obejrzymy go razem. Tobie też się spodoba.

Dwie godziny mijają błyskawicznie.

Wychodzę olśniony. Uruchamiam komórkę. Oczywiście brak wiadomości.

Ochrzaniam samego siebie: „Wiesz dobrze, że nie zadzwoni przed poniedziałkiem!”

Pora, żebym uruchomił szare komórki i zajął się pracą. Czym prędzej.

Sunę na Denfert. Tak jak obiecałem Michałowi, natychmiast biorę się do roboty.

Nie bez pewnej przyjemności spoglądam na biurko. Michał zrobił porządek na moim stole do pracy. Święty człowiek.

Posegregowana poczta, zatemperowane ołówki, lśniący nikiel popielniczek, opróżnione kosze na papiery.

Na stosie rękopisów do przeczytania zostawił krótką notatkę z wczorajszą wieczorną datą. ***Dzwoniła niejaka Lea. Wielokrotnie w ciągu popołudnia próbowała Cię złapać u Ciebie. Poradziłem jej, żeby spróbowała tutaj, w sobotę i/albo w niedzielę. Bardzo podniecająca panna. Czy coś się tu nie święci, Synu?***

Aha, ucieszyłby się, gdybym ułożył sobie życie na nowo! A czy on się pozbierał po odejściu kobiety, która przy okazji była także moją matką? Nie! Przewinęło się wprawdzie kilka potencjalnych macoch, ale żadna nie zainstalowała się na dłużej niż dwa miesiące. Zawsze były jakies „za bardzo”, nigdy „w sam raz”. Jestem z gruntu taki jak on. Jest tylko jedna kobieta w moim życiu. Nie chcę innej.

Jaki ojciec, taki syn. W naszej rodzinie nie układa się życia od nowa. Kontynuuje się je.

Zgniatam kartkę i robię z niej kulkę. Pstrykam w nią ruchem precyzyjnym i zniechęconym i posyłam do kosza.

Dość tego marudzenia. Niezwłocznie zaprzęgam się do pracy.

Zaczynam od przejranej i poprawionej wersji powieści Le Guelleca.

Oczywiście nie uwzględnił ani jednej mojej sugestii. Dzieciak nadal jest ucieczkowiczem, nadal ukrywa się w tym samym cyrku i nadal przyjaźni się ze smutnym klaunem, wciąż zakochanym w tej samej linoskoczce.

Na mój rozum nieźle to wykombinował! Pisarze to dziwne stworzenia. Pokręcone. Uparte. Wydaje się nam, że już je obłaskawiliśmy, a tymczasem to one trzymają nas na smyczy żelazną ręką. Le Guellec należy do tego gatunku. Nieugięty, mimo pozornej delikatności.

Niemniej jednak mam powód, by sądzić, że nasza rozmowa nie poszła zupełnie na marne. Zmienił układ. Skrócił opisy. Dogłębnie przerobił styl. Niektóre rozdziały przejawiają wielką wrażliwość, odległą o tysiąc kilometrów od afektacji, która, jeśli dobrze pamiętam, charakteryzowała poprzednią wersję.

Czytam jednym tchem.

Ostatnia strona wyciska ze mnie grymas prawdziwej satysfakcji. Muszę przyznać, że to doskonała literatura. Myślę, że spodobałaby się Elzie. Należy do tych dzieci, które pochłaniają opowieści tragiczne i romantyczne jestem tego pewny. Tak jak jej matka. Gdy zamieszka z Aurorą i ze mną, skompletuję bibliotekę marzeń tylko dla mej. Zrobię wszystko, żeby była szczęśliwa. Zaakceptuje mnie bez trudu, ponieważ będę ją kochał, a ona mnie. Jak moja córka.

Cierpliwości. Nie uprzedzajmy faktów.

Podnoszę słuchawkę. Budzę Le Guelleca z jego sjesty:

- Przeczytałem, stary!

- Już? Nie wierzę - mówi i ziewa mi w ucho. - No i co? Odsyłasz mnie do innego wydawcy?

- Nie wygłupiaj się, kupuję ją na pniu, serio. Jest fantastyczna!

Chrząka. Słyszę w słuchawce pocieranie kamienia zapalniczki, puff gazu. Zapala papierosa.

- Posłuchaj, Daniel! Przecież wiem, że to chała. Więc jeżeli kpisz sobie...

Potrzebuję godziny, aby go przekonać, że tekst jest znakomity i że zamierzam go wydać w najlepszym terminie. Czy chce tego, czy nie.

Im bardziej rozplýwam się w komplementach, tym bardziej on sili się na skromność: „Ach, tak sądzisz?“, „Skoro tak mówisz...“, „Tak, może masz rację...“, „Prawdę mówiąc, niewiele zmieniłem...“.

Z żalem odmawiam zaproszenia na oblanie sukcesu.

Jeden rzut oka na stos rękopisów, które szydęrczo patrzą na mnie z góry, bezlitośnie utwierdza mnie w postanowieniu. Szkoda. Chętnie bym wypił parę kufelków

w jego towarzystwie. Zwłaszcza że jego piwo słodowe jest naprawdę doskonałe.

Jak na Bretończyka dość zabawny z niego gość. O ile nie mówi o swoich trudnościach pisarskich.

Pamiętam ostatnie oblewanie. Zaprowadził mnie do swojej „izby tortur”; nazwał tak pozbawioną okien, ponurą klitkę, która mu służy za gabinet.

Niesłychanie dumny z siebie, otworzył wielki plastikowy worek na śmieci. Rzuciłem okiem do środka: był w trzech czwartych wypełniony petami. Dosłownie: tylko filtry i popiół! Le Guellec wyrwał mnie z osłupienia potężnym walnięciem w plecy.

- Jak widzisz, nie tylko dla ciebie smolę papier, osmalam też swoje płuca!

Torba zawierała opłaconą dymem cenę za jego świeżo ukończoną ostatnią książkę. Cztery miesiące roboty i dwie paczki dziennie to daje cztery tysiące osiemset petów! Przyznał się, że w ten sposób Zgromadził w piwnicy dwanaście worków. Każdy oznakował karteczką z tytułem książki oraz dokładną liczbą wypalonych papierosów. Sakramencka bibliografia.

Całe szczęście, że nie pisze *Komedii ludzkiej*.

Kaszle i chrząka do słuchawki.

- Gdybyś jednak zmienił zdanie, wpadnij wieczorem. Cholera, może urządzimy na nowo świat!

Wyczerpany, odkładam słuchawkę. Myśląc o nim, wypalam dwa gitany. I znowu biorę się do pracy. Odwałam rękopis za rękopisem. Nie przerywam pracy ani na chwilę. Robię notatki, uwagi. Wykreślam. Podkreślam. Sugeruję.

Około dziewiątej czuję zmęczenie. Wzrok mi się mąci.

Stos zmniejszył się o połowę. Zdejmuję okulary, trę oczy i przeciągam się jak zmęczony kocur.

I właśnie tę chwilę wybrał telefon, żeby mi przypomnieć o swoim istnieniu. Lea. Chce się tylko dowiedzieć, co u mnie słychać. Spędzamy trzy minuty na banalnej wymianie zdań. W końcu ona rzuca jak gdyby nigdy nic:

- Jesteś zajęty wieczorem?

- Niespecjalnie.

- Nie moglibyśmy się spotkać? Można by na przykład pójść do kina...

Dlaczego nie? Nie mam wielkiej ochoty pogrążyć się w smutku, samotnie, w domu. Nie mam również ochoty na kolację we dwoje. Ale dobry film, o dziesiątej wieczorem, a później szybka lampka wina, to mi odpowiada. Co więcej, będzie temat do rozmowy - kombinuję trzeźwo.

Z ochotą podejmuję propozycję:

- Świetny pomysł! Co chciałabyś zobaczyć? Odpowiedź, natychmiastowa i radosna, w jednej chwili rozwiewa mój entuzjazm.

- **Zakochanego Szekspira!** Podobno genialny! Doprawdy, dziewczyna ma pecha! I ten „genialny”. Nie znoszę tego słowa.

Na pewno nie z nią poszedłbym na koniec świata, żeby drugi raz zobaczyć ten film. Trudno, to miejsce jest zarezerwowane.

Przyznaję się, że widziałem **Szekspira** dzisiaj rano. Wcale nie jest taki „genialny” - kłamię. Proponuje mi trzy inne tytuły. Wszystkie „super”. Wykręcam się.

Wyhamowuję na całego. Bo wiesz... Ja... Słyszę, jak gorączkowo kartkuje repertuar kin. Popatrz no, powtarzają **Kiedy Harry spotkał Sally!**

Wzdycham. Widziałem ten film dwanaście razy. Mógłbym opowiedzieć scena po scenie.

- Posłuchaj, Lea. Czas leci. Nie zdążysz na seans. Co do mnie, sędzę, że chyba wrócę do domu i pójdę spać. Jestem skonany!

- No cóż... Zdzwonimy się przed twoim pogrzebem? Cha, cha! Naprawdę jest zabawna. Jasne, że się zdzwonimy. **Bye!**

Dumam przez chwilę, przyglądając się rysom na suficie. Może coś przegapiłem z Leą. Ale właściwie co? Nie znajduję odpowiedzi.

Łapię się na tym, że od gorącego spotkania z Aurorą nie przebywałem z nikim ani jednej chwili, w znaczeniu fizycznym. Poza moim ojcem. Jednocześnie dochodzę do

wniosku, że nic na tym nie straciłem. Samotność jest moją wierną i słodką towarzyszką. Jedyną, którą toleruję u swego boku.

Wciągając kurtkę, obmyślam plan na jutro.

Jest podobny jak dwie krople wody do tego na dzisiaj. Niechby już ta niedziela się skończyła! Po niedzieli następuje poniedziałek.

A w poniedziałek ona do mnie zadzwoni.

Wychodzę z Editions du Meunier i funduję sobie taksówkę na ulicę Bagnolet.

Wiem, jak spędzę dzisiejszą noc. Będę srał o tobie. Jak co noc.

Daniel połyka olimpijskie długości na basenie w Halach.

O tej samej porze Sam poddaje torturze masażu kręgi lędźwiowe Anouk.

Nie otrząsnął się jeszcze po nieprzespanej nocy. Dokąd doprowadzi Aurorę ten zamęt duchowy, w jakim się pogrążyła?

Masuje Anouk automatycznie. Bez udziału świadomości Nie słyszy okrzyków bólu, które wrywają się z niej pod jego nerwowymi palcami.

- Aj! Co ty wyprawiasz!

- No dobrze, wystarczy! Spróbuj usiąść. Opuścił Aurorę, nie budząc jej.

Nad ranem zapadła w kamienny sen. Skulona w pozycji embrionalnej. Nie dała znaku życia, kiedy ją pocałował w ramię przed wyjściem z sypialni.

Zjedli śniadanie z Elzą.

- Co mamie jest? Nie uważasz, że jest smutna? Wypowiedziane szeptem przez małą pytania zmusiły go do kłamstwa. Do uśmiechu.

- Nic podobnego! Jest tylko trochę zmęczona. Jedz swoją kanapkę.

Wysadził córkę z auta przed szkołą i od razu pojechał do Anouk, tak jak jej obiecał wczoraj wieczorem.

Sam jest człowiekiem, który dotrzymuje danego słowa. Niezawodny w potrzebie.

- A teraz podnieś wysoko głowę! Jeszcze. Wyprostuj ramiona!

Pomaga najlepszej przyjaciółce żony utrzymać się w pozycji pionowej.

- Tak, już jest niezłe! Jeszcze jeden-dwa seanse, a unikniesz fotela na kółkach, moja piękna!

Anouk czuje się lepiej. Rozebrana do pasa, robi kilka kroków po pokoju. Dziwi się, że nie rąbie jej w krzyżu. Czuje się lekka. Całuje Sama w policzek:

- Nie powiem, jesteś w tym cholernie dobry, dokonałeś cudu!

Sam podaje jej stanik i bluzkę. Nie jest mu do śmiechu.

- A jednak nie tak dobry jak ty w spiskowaniu. Wiedziałaś, co się święci, prawda?

Anouk udaje, że nie rozumie. Niezręcznie zapina stanik, unikając wzroku Sama, który się z niej naigrawa:

- Nie, oczywiście! Nic ci nie powiedziała... Chętnie napiję się kawy, gdy już będziesz przyzwoicie ubrana.

Mieszając łyżeczką w filiżance, Sam otwiera się przed Anouk. W końcu stała się też i jego przyjaciółką. Potrzebuje kogoś, z kim mógłby porozmawiać. Zdławionym głosem opowiada ze szczegółami to, co widział tej nocy w sypialni Elzy.

O rozdzieleniu Aurory, które nie daje mu spokoju.

Anouk przepelnia współczucie. Co może innego zrobić? Szuka racjonalnego wyjaśnienia, żeby i siebie uspokoić. Sam słucha jej, opróżniając filiżankę gorącej jak ukrop kawy.

Anouk mówi, że Aurora zawsze czuła się odpowiedzialna za śmierć Mariny. Choć przecież wszyscy jej to mówili i powtarzali: lekarze, psychiatrzy, rodzina, przyjaciele. Nic i nikt nie mógł zapobiec tej tragedii. W żaden sposób. Tymczasem ona nadal jest głęboko przekonana, że nie zjawiała się tam we właściwej chwili. Że mogłaby ura-

tować swoją córeczkę. No i od czasu do czasu to powraca I musi boleć.

Podaje kolejną kawę Samowi.

- Powiedz sobie, że to tylko niewielki siniak! Wszystko będzie dobrze. Sam uderza pięścią w stół. Daje upust cierpieniu.

- Nieduży siniak? Nie wiesz, co mówisz! On ją niszczy, ten łajdak! Gdyby nie on, nie byłaby w takim stanie!

Chwyta się za głowę. Przeprasza.

- Byliśmy dotąd szczęśliwi... Mieliśmy nasze życie z Elzą. I nagle wszystko się sypie! Boję się, że ona od nas odejdzie.

Anouk wie, że on ma rację. Aurora zawsze wołała kłopoty od nudy. Nie mówi o tym Samowi w obawie, by nie sprawić mu bólu.

- Kiedy ją poznałem, była na samym dnie... Od razu się w niej zakochałem. Ona we mnie nie, wiem o tym. Uchwyciła się mnie jak rozbitek tratwy po zatonięciu statku... Byłem dla niej jak łódź ratunkowa.

Milknie.

Anouk podziwia tego mężczyznę. Podziwia go za jego wspaniałomyślność. Za siłę jego miłości. Ma za złe Aurorze, że każe jej patrzeć na przegranego i załamane Sama, który w milczeniu nalewa sobie kolejną filiżankę czarnej kawy.

Spełnia swój obowiązek przyjaciółki. Jeszcze próbuje go pocieszyć. Robi to z całym przekonaniem:

- Daj spokój, Sam! Co też ci przychodzi do głowy? Mówisz tak, jakbyś jej nie znał. To za ciebie przecież wyszła za mąż. Dziesięć lat, dziecko, to coś znaczy, prawda? Ona cię kocha.

Te słowa nie mają sensu, Anouk wie o tym. Sam nie podnosi głowy nad filiżanki. Szepcze zmęczonym głosem, kładąc kres jej wywodom:

- Nie wysilaj się!

Spędza sobotnie popołudnie z Elzą. Zanurza się z nią w zgiełku i szaleństwie wesołego miasteczka. Diabelski

młyn. Karkołomna kolejka. Zderzające się samochody. Wata cukrowa i pociąg widmo. Znowu diabelski młyn.

W gondoli, która unosi się nad Paryżem, spogląda na swoją córkę, jakby już był rozwiedzionym ojcem. Buzia upačkana w cukrze. Włosy rozwiane na wietrze. Jeśli Aurora odejdzie, nie zostawi mu Elzy. Będzie ją widywał co drugi weekend. Przez połowę ferii i letnich wakacji. Koniec z wieczornymi pieszczotami i z porannymi śmiechami. Nie będzie obserwował, jak dorasta.

Ta perspektywa miłości na pół etatu dołuje go doszczętnie.

Nie zniesie tego. Musi coś zrobić, zareagować. Uśmiech i szeroko otwarte oczy Elzy mobilizują go jak nic na świecie.

Nie dopuści do tego.

Wagonik pociągu widma porywa Sama i Elzę do wnętrza ciemnego tunelu, pełnego cieni i nietoperzy.

O tej samej porze Aurora stawia czoło swoim własnym widmom.

Pisze dziesiątą wersję listu do Daniela o zerwaniu, którego domaga się stanowczo. I czule. Ciągle nie wie, jak zacząć. Pierwsze zdanie jest najtrudniejsze. Nie widywać się więcej. Za duże ryzyko. Za duże pożądanie. W grę wchodzi zbyt wiele miłości. Zbyt wiele cierpienia. I Sam. I Elza. I Marina.

Od tych słów mąci się jej w głowie. Płaczą się. Nie nadaża z zapisywaniem.

Drze kartkę. Spogląda na małą mosiężną busolę.

Jest zagubiona. Pokonana. Kładzie głowę na złożonych ramionach.

Spać. Przespać to. Obudzić się w innym stanie. Gdzie indziej. Chciałaby, żeby to wszystko wreszcie się skończyło.

Biegnie do sypialni. Otwiera szufladę nocnego stolika. Ścisła mocno pudełko rohypnolu, aż bieleją jej kłykcie.

Czerwona banderola działa hipnotyzująco. Nie przekroczyć przepisanej dawki. Zdejmuje plastikowe wieczko.

Brak jej odwagi. Po chwili znowu czuje jej przypływ. A może?

Myśli o Elzie. O Samie. Chciałaby, żeby tu byli, oboje. Myśli o Marinie. O Danielu. Chciałaby, żeby także tu byli. Przy niej. Chciałaby niemożliwego.

Odkłada na miejsce środki nasenne. W poniedziałek zadzwoni do Daniela.

W poniedziałek, pragnie w to wierzyć, zdobędzie się na męstwo, żeby mu powiedzieć: „To koniec”.

DANIEL

Poniedziałek nic. Wtorek nic. Środa, czwartek, piątek ciągle nic.

W sobotę rezygnuję z utopienia się w basenie w Halach. W niedzielę jestem bliski wybuchu. Wsiadam do samochodu i połykam asfalt w prostej linii nad ocean.

Licznik unieruchomiony na stu dziewięćdziesięciu kilometrach. Miles Davis w stereofonicznym odtwarzaczu. Staram się o niej nie myśleć. Staram się w ogóle nie myśleć. Mógłbym spowodować wypadek.

Obwodnica wokół Rennes. Kierunek Saint-Brieuc. Kierunek Paimpol.

Czarne niebo z intensywnie błękitnymi prześwitami. Błyszczące dachówki starego miasta. Portowy parking wita mnie mżawką. Jestem szary z powodu emocji wywołanych prędkością i z melancholii. Rozprostowuję nogi na pływającej przystani. Zachłystuję się mieszaniną zapachu morskiej trawy, jodu i oleju napędowego. Aż zaczyna mnie mdlić. Przyglądam się rybakom w długich kaloszach i żółtych pelerynach, wyładowujących skrzynki. Wewnątrz aż się roi. Czarne szczypce, różowopomarańczowe opalizujące odnóża, kłujące skorupy. Czuć od tego piekłem.

Mewy zdzierają sobie płuca nad trawlerem. Złowieszczco zataczają koła.

Zapowiedź zmiany pogody. Czarna kula sygnalizacyjna kołysze się na dachu kapitanatu. Wiatr zrywa się bez uprzedzenia. Trzeba to będzie przeżyć! Wieje z północnego zachodu. Porywiście. Aż trzeszczą olinowania. Kadłuby uderzają o siebie. Mżawka przeradza się w ulewę.

Chronię się w „Islandais”, pierwszym z brzegu hotelu z restauracją. Zjełczały smród zimnego tłuszczu.

Pożeram w barze dwa tuziny ostryg. Rozgrzewam się połową butelki muszkatela i rezerwuję pokój na noc.

Co oznacza to głucho milczenie? Nienawidzę jej. Przeklinam ją, że mnie doprowadziła do tego stanu. To ławizna nie dawać żadnego znaku życia. Ławizna i tchórzostwo. Czuję się wzgardzony, zlekceważony. Wykluczony z jej życia. Wyobrażam sobie wszystko. Że spotkało ją nieszczęście. Że mąż ją uwięził i/albo pobił. Że jej córkę musieli nagle hospitalizować. Same wesołe rzeczy!

Co za żaloszny debil! Zamawiam pół butelki muszkatela.

Jeśli chodzi o mnie, dotrzymałem obietnicy. No, prawie. Nie zadzwoniłem do niej, ale śledziłem ją z daleka. To było silniejsze ode mnie. Silniejsze od wszystkiego. Dwa razy śledziłem ją od wyjścia ze szkoły. Posuwając się wzdłuż murów, kryjąc się po bramach. Modląc się do boga takich jak ja idiotów, żeby niczego nie zauważyła.

I jakież było moje zdumienie, gdy spostrzegłem, że Elza i ona sprawiają wrażenie osób w doskonałej formie. Żadnych sińców na twarzy. Żadnego gipsu na nodze. Śladu opatrunku na głowie. Po prostu matka z córką, szczęśliwe, że się spotkały i że wracają do domu, trzymając się za ręce.

Byłem już spokojny co do stanu ich samopoczucia. Ale nie co do własnego.

Wypijam do dna butelkę białego wytrawnego. Kręci mi się w głowie. Czuję pustkę w środku.

W końcu może ona ma swoje racje. Widzę je stąd, te słuszne racje. I ani trochę mi się nie podobają. Nienawidzę jej tak samo mocno, jak ją kocham. Żeby tylko to! Gdyby

teraz zadzwoniła komórka, zjawiłbym się w Paryżu, skomląc o litość. Zapomniałbym w jednej chwili o moich udrękach. Dałbym wszystko, co mam, a nawet to, czego nie mam, za kwadrans spędzony w jej ramionach.

Szkopuł w tym, że ten skurczybyk nie dzwoni.

Nie powinienem tak tu siedzieć i rozpamiętywać. Pozdrawiam patrona i wychodzę na deszcz.

Mam ochotę zobaczyć ponownie Brehat, nawet gdyby to nie był dobry pomysł. Gotów jestem popełnić najgorsze głupstwo. Siadam za kierownicą.

Droga biegnąca serpentyną na cyplu Arcouest przywołuje wspomnienia. Ależ byliśmy wtedy szczęśliwi! Mieliśmy przed sobą całe życie. Wszystkie marzenia miały nam się spełnić. Wyobrażaliśmy sobie, jak będziemy staruszkami dożywającymi razem ostatnich dni na tej wyspie. Obiecaliśmy sobie, że kiedy trzeba będzie wypłynąć na pełne morze, zrobimy to razem. Będziemy się tulić do siebie całą siłą naszych starych pomarszczonych rąk.

Na przystani z różowego granitu dwoje wyspiarzy oczekuje na ostatni tego dnia prom.

Dołączam do nich. Zgięty wpół, by łatwiej stawić opór wicherze, dzielę z nimi tę chwilę oczekiwania. Bez niej nie przeprawię się na wyspę.

W oddali nasza wyspa, jak widmo, unieruchomiona między całunem mgły i rozszalałym morzem.

Przychodzi mi na myśl, że ty i ja, że my także jesteśmy widmami, a nasze więzy są tak ciężkie, że pociągną nas na samo dno otchłani.

Szczypią mnie oczy. Nie ulega wątpliwości, że trochę przesadziłem z muszkatelem.

AURORA

W lustrzanej ścianie sali tańca widzę odbicie mojej sylwetki. Kredowa cera. Matowe włosy. Wychudzona twarz, w połowie zakryta ciemnymi okularami. Wymuszony uśmiech, który powraca, ilekroć profil Elzy - ćwiczącej wyrzucane kroki - pojawia się w lustrze.

Oto czym się stałam - rozmazanym cieniem, krzywo przypiętym szpilką do ceglanej ściany.

Moje ciało buntowało się przeciwko mnie. Oskarżało. Brutalnym językiem. Bluzgało na zewnątrz wszystkim, co starałam się zamknąć w środku.

Schudłam kolejne trzy kilo. Odżywiałam się już tylko jogurtem i zieloną sałatą. Nie znosiłam światła ani hałasu. Wszystko było zbyt agresywne. Fortepian akompaniujący podskokom małych tancerek rozsadzał mi bębenki.

Pomyślałam: „Płacisz słono, ale udało ci się. Wytrzymałaś piętnaście dni!” To moja jedyna rekompensata. A gdzie medal?

Ile trzeba jeszcze czasu, żebym przyszła do siebie? Żebym się nie budziła z żołądkiem obolałym jak po nokaucie. Żebym nie musiała walczyć z pokusą, by dać mu znak. Zeby się nie bać zapadającej nocy. Nie kłaść się spać z pragnieniem porzucenia tego wszystkiego i pognania

do niego. Ile trzeba jeszcze czasu, żebym odzyskała smak życia?

Nie zauważyłam, kiedy skończyła się lekcja tańca. Omal się nie przewróciłam, gdy Elza skoczyła mi w ramiona:

- Mam supernowinę! Nigdy nie zgadniesz. Powiem ci, jak wyjdziemy! Masz może czekoladowe ciasteczko?

Cyklon Elza wtargnął do szatni.

Nawet jej energia mnie męczyła. Czasami nie słyszałam nic z tego, co mówi. Jej nieustająca paplanina docierała do mnie jak przez tonę waty.

Ile trzeba jeszcze czasu?

Idziemy w dół ulicą Gambetty. Z czarnymi od czekolady zębami Elza oznajmiła mi „supernowinę”. Dotyczyła jej kumpelki Babou. A raczej jej matki.

- Jest znowu zakochana! Zdaje się, że on ma z nią wkrótce zamieszkać.

Musiałam poszukać w pamięci, żeby złożyć kawałki łamigłówek w całość. Babou, taka smutna, że jej rodzice się rozwodzą. Obawy i szloch Elzy w jej łóżku. Moje słowa pocieszenia. „Nam to się nigdy nie przytrafi!”

Upłynęło parę tygodni, a moje piękne zapewnienia stały się nieaktualne. Nie byłam już pewna niczego. Być może Sam podejmie za mnie decyzję. Porzuci mnie i każdy przyzna, że nie mógł postąpić inaczej. Nie prowadziliśmy już wspólnego życia. Nie żyliśmy już razem.

Pomimo jego wysiłków. Pomimo moich. Mieszkaliśmy razem pod jednym dachem.

Nasze wspólne życie zachowywało jedynie pozory normalności. Nic już nie było jak dawniej. Naszą wspólną obsesją, o czym nie mówiło się wprost, była Elza. Robić wszystko, żeby ją oszczędzić. Żeby ją chronić jak najdłużej. Tak, robić dla niej wszystko.

Ale jak długo?

Idąc, uświadomiłam sobie, że nie trzyma mnie za rękę w dotychczasowy sposób. W uścisku jej palców nie było miękkości. Ona także udawała, że żyje normalnie. Odbie-

rała niedobre wibracje na swój niewinny sposób. Ledwie je rozszyfrowywała. Nie rozumiała ich. A zatem odżegnywała się od nich. Byłam jej matką. Sam był jej ojcem. Nic nie powinno zarysować tej budowli. Jeszcze mocniej uczepliła się mojej ręki:

- Poza tym on jest podobno *top cool!* Powiedz, czy może przyjść na moje urodziny?

- Kto? „Top cool”?

Stała w miejscu, na rogu ulicy Dupont-de-l'Eure.

- Ależ nie, nie on! Babou! Nie słuchasz mnie. Mam tego dość. &

Puściła moją rękę. Zrobiło mi się przykro.

Zebrałam się w sobie. Śmiejąc się, potargałam jej włosy.

- Oczywiście, myszeczko! Wszystkie koleżanki, które tylko chcesz. Posłuchaj, wypiszemy zaproszenia na komputerze, razem. Przecież to już niedługo, wkrótce nadejdzie ten wielki dzień! Dziesięć lat to prawdziwe święto!

Jej twarzyczka się odprężyła. Nic nie powiedziała. Po prostu uśmiechnęła się do mnie. Oczami, noskiem, ustami. Wspaniały uśmiech pod tytułem „kocham cię”.

Wszystko, co towarzyszyło temu uśmiechowi, trwało zaledwie osiem sekund.

Osiem sekund, które wydały mi się wiecznością.

Elza pokazała palcem dziewczynkę z warkoczykami sterczącymi do nieba, która wychodziła z piekarni po drugiej stronie ulicy.

To była właśnie Babou.

Zawołała ją, podekscytowana możliwością zaproszenia jej już teraz.

- Babou! Hej, Babou!

Babou nie słyszała. Hałas uliczny sięgał teraz zenitu. Był ogłuszający.

Moja córka wymknęła mi się.

W normalnym stanie wystarczyłoby mi refleksu, żeby ją złapać za rękaw.

Ale nie byłam w normalnym stanie. Zawiodła synchronizacja z rzeczywistością. Nie zareagowałam. Elza zniknęła między stojącymi na pasach samochodami.

Wyrzucona jak pocisk latająca ryba skazana na zagładę.

I wtedy mignęła mi furgonetka volvo. Prostokątna maska pruła jednokierunkową ulicą. Na pełnym gazie. W jej stronę.

Byłam sparaliżowana z przerażenia. Nogi wrosły mi w ziemię. Elza wbiegła już na sam środek jezdni. Nie było mowy, żeby zdążyła na chodnik po drugiej stronie.

Serce mi pękło. Głowa eksplodowała.

- Marina, nie! Uważaj, samochód!

Elzę zamurowało w miejscu. Zobaczyłam, jak odwraca głowę w stronę stalowego potwora, który walił prosto na nią. I wyraz jej twarzy - mieszania zdziwienia i zgrozy.

A potem pisk hamulca. Nieludzki.

Zobaczyłam blokujące się koła furgonetki. I dym wydobywający się z opon.

I maskę o ostrych kantach, której, zdawało się, nic nie jest w stanie zatrzymać, która ciągle i jeszcze zbliżała się do Elzy, w piekielnie zwolnionym tempie. Która miała się z nią zderzyć czołowo. Odebrać mi ją na zawsze. Ją także.

- MARINA!

Elza ukryła twarz w dłoniach.

W ostatniej sekundzie przed zderzeniem zdawało mi się, że widzę białego anioła sprzed Palais-Royal, wsuwającego się między nią i potwora.

I zdarzył się cud.

Przód volvo zamarł w ostatnim spazmie. Silnik zgasł. Dwadzieścia centymetrów od Elzy.

Pognałam do niej. Podniosłam z ziemi. Przycisnęłam z całej siły do siebie. Aż do bólu.

- Moja maleńka! Nic ci nie jest, co? Powiedz, że nic ci nie jest!

Zdaje się, że wokół nas przystanąły grupki ludzi.

Nie widziałam ich. Widziałam tylko moją córkę. Była żywa! Żywa! Czulałam jej bijące serce w takim samym tempie jak moje.

Pokryłam jej twarz pocałunkami.

A ona odsunęła głowę. Popatrzyła mi prosto w oczy:

- Kto to jest Marina?

W położonej na tyłach kawiarni salce odpowiedziałam na jej pytanie. Wyczerpująco.

Dwóch facetów grało w bilard. Suchy trzask uderzających bil z kości słoniowej wyznaczał rytm mojej opowieści.

Elza słuchała mnie, po raz pierwszy nie przerywając. Kruszyła w palcach słomkę od soku ananasowego.

Siedziałam obok niej na wyściełanej ławce. Nie uroniłam ani jednej łzy.

Czułam nawet ulgę, że mogę porozmawiać z nią o Marinie. Nie wspomniałam o Danielu. Nie było takiej potrzeby. Mówiłam „ojciec Mariny”. Wyczytałam w jej oczach, że od razu wszystko pojęła.

„Ojciec Mariny” nie był jej ojcem.

Zatrzymałam się przed pogrzebem, na cmentarzu Montmartre.

Nie byłam tam. Nie mogłam.

Elza milczała przez kilka sekund. Dwie opalizujące krople pojawiły się w kącikach jej oczu:

- Była więc moją siostrą?

Pokiwałam głową. Przysunęłam się do niej i objęłam ją ramieniem.

- Powinnam była wcześniej ci o tym powiedzieć, prawda? Próbowałam, możesz mi wierzyć... To było zbyt trudne. Nie miałam odwagi.

Usłyszałam, jak pociąga nosem.

- Ostatnio ciągle jesteś smutna... Czy dlatego, że wciąż myślisz o niej? Zacisnęłam wargi. Potarłam głowę o jej głowę na znak potwierdzenia.

Wzięła moje ręce w swoje.

Powiedziała, że teraz rozumie, dlaczego wciąż się boję, że może ją spotkać coś złego. Ale że to nic groźnego,' dodała.

- Jestem przez to nieznośna, prawda? Wiecznie ci siedzę na karku!

Elza poruszyła ramionami. Zapytała cichutko:

- Gdy byłam małym dzieckiem, mogłam... ja także?

- Nie! Nie zostawiałam cię ani na chwilę. Spałam w twoim pokoju, obok twojej kołyski. Oddychałam razem z tobą. Przez cały czas.

Znowu zapanowała cisza. Po chwili położyła głowę na mojej piersi.

- Ojciec Mariny też musiał być bardzo nieszczęśliwy.

- Tak. Bardzo.

- Chciałabym zobaczyć jej fotografię, mamó. Z trudem przełknęłam ślinę.

Całe ściany na ulicy Bagnolet były wytapetowane fotografiami Mariny. Były ich setki. W salonie. Wzdłuż całego korytarza. W naszej sypialni. Wszędzie. Razem mocowaliśmy je pineskami, Daniel i ja. W tych dniach rozpacz i bólu, i miłości bez niej. Nocy bez światła, bez końca, które nastąpiły po jej odejściu.

Popieściłam włosy Elzy. Postarałam się zapanować nad głosem.

- Nie mam jej zdjęć, kochanie... Ani jednego.

To była prawda. Nie chciałam jej zdjęć. Nie potrzebowałam.

Jej obraz, obraz żywej Mariny był we mnie. Wryty na zawsze.

Tak jak tablica z białego marmuru, pod którym spoczywała.

Marina Miller 18 grudnia 1986 - 23 kwietnia 1987 Nasza maleńka nieobecna. Będziemy Cię kochać wiecznie

Cmentarz Montmartre. Sektor 4. Aleja 7.

Żwir pod nogami przestał chrzęścić.

Długo tu nie przychodziłam. Zbyt długo. Unikałam ostatnich dni kwietnia w obawie, że spotkam Daniela albo Michała.

Jeśli chodzi o Daniela, nigdy się to nie zdarzyło. Michał przyszedł w dniu, gdy topniał śnieg.

Nie widział mnie. Czekałam w ukryciu, aż odejdzie.

Położył na płycie narecze granatowych goździków. Moich ulubionych kwiatów. Często mi je przynosił.

Wpatrywałam się w inskrypcję. Zaciskałam wargi. Nie płakałam. Było mi tutaj dobrze przy niej. W błogiej ciszy, tak szczególnej w bliskim sąsiedztwie zmarłych. Chłodny wiatr szeleścił liśćmi. Nad grobem brzęczała pszczoła. Usadowiła się pod literami twojego imienia. Powędrowała śladem litery M. I odfunęła, nagle.

Co jej takiego powiedziałaś, szelmo?

Śledziłam jej zygzakowaty lot tak długo, jak tylko mogłam.

Straciłam ją z oczu nad monumentalnym grobowcem w kształcie greckiej świątyni. Na rogu alei numer 8.

Nie zauważyłam, kiedy zapadł zmrok. Za doryckimi kolumnami ukradkiem przemknęły dwie sylwetki.

Uśmiechnęłaś się do mnie przez płytę marmuru.

Przecież, podobnie jak ja, rozpoznałaś ich, tych złodziei czasu.

W ciemności, że oko wykol, Aurora i Daniel posuwają się od grobu do grobu. Wreszcie kryją się za miniaturową repliką greckiej świątyni, którą wypatrzili kilka dni temu.

Są zdyszani. Milczą. Porozumiewają się prostymi gestami. Daniel mruga do Aurory. Kryjówka jest idealna.

Przygotował dla niej tę operację z największą starannością, niczym dowódca elitarnej jednostki komandosów.

Precyzyjny plan alei. Rozkład godzin. Trasę strażników. Ewentualny odwrót. Wszystko zanotowane, przewidziane. Nie może im się nie udać.

Daniel zdejmuje plecak. Patrzy na zegarek, jeszcze pięć minut i kilka sekund.

Ma podpuchnięte oczy, wielodniowy zarost na policzkach. Spomiędzy zaczerwienionych powiek widać jego podekscytowany wzrok.

Aurora powstrzymuje się od zapalenia papierosa. Zdiera skórę przy kciuku, jest przeraźliwie blada. Prawie nie widać rysów twarzy, tylko jej wielkie oczy wydają się jeszcze większe. Włożyła beret, który miała na głowie, gdy oznajmiła Danielowi, że jest w ciąży.

Aurora podrywa się. Na końcu alei nwner 8 rozlega się dzwonek. Tłumi krzyk.

Uspokojającym ruchem Daniel kładzie palec wskazujący na jej ustach. Najważniejsze to nie wpadać w panikę.

Ostrożnie zerka zza kolumn. Pilnujący cmentarza sprawdza aleje, kierując ostatnich odwiedzających ku wyjściu. Ma południowo-zachodni akcent, ostry jak skalpel.

- Zamykamy, proszę państwa. Zamykamy.

Teraz także strażnik zmierza ku bramie. Daniel oddycha z ulgą. Odwraca głowę w stronę Aurory i uśmiecha się zwycięsko:

- W porządku. Droga wolna. Teraz będzie spokój przez całą noc.

Chwyta plecak. Aurora wypytuje go z niepokojem:

- Pomyślałeś o diabełku ?

Daniel podnosi brwi ku wschodzącemu sierpowi księżyca.

- Wziąłem także pozytywkę z marynarzykiem.

jest zimna majowa noc. Wygwieżdżone, bezchmurne niebo.

Leżący płasko na białym marmurze marynarzyk wygrywa swoją kołysankę. Obok siedzi szmaciany diabełek. W promieniu księżyca zdaje się przysłuchiwać melodii z miną współnika.

Migoczący płomień świecy rozjaśnia twarze Aurory i Daniela. Przycupnęli po obu stronach grobu.

Daniel pociera ręce, żeby je rozgrzać. Szepcze:

- Będzie zadowolona, że spędzamy noc przy niej. Z nią.

Aurora z przekonaniem kiwa głową. Dobrze zrobili, że przyszli. Nie mieli prawa zostawiać jej przez te wszystkie noce zupełnie samej w takim zimnie.

Szczęka zębami.

Daniel wstaje, przekracza grób Mariny i sadowi się obok Aurory. Wydobywa z plecaka pikowaną kołderkę i narzuca na nich oboje.

Aurora wtula się w niego. Ona wie, że tu przyszliśmy, prawda?

Daniel pociera kamień sztormowej zapalniczki. Zaciąga się głęboko. Wypuszcza dym nosem. Oczywiście! A jak myślisz? Ona nas stamtąd słyszy i widzi.

Aurora wyciąga mu papierosa w ust. Czerwony punkcik w półmroku. Daniel? Nie uważasz, że jesteśmy bliscy szaleństwa?

Daniel całuje ją w skroń. A jeśli nawet, to co? Nie boję się szaleństwa! Jeżeli tylko w ten sposób możemy ją zatrzymać przy sobie. Za bardzo jest nam potrzebna, nam także. Aurora słucha. Myśli na głos. Tak, masz rację. To wcale niezłe wariactwo. Mała kończy dzisiaj pięć miesięcy, dzisiaj. Już prawie miesiąc, jak jej nie ma.

Aurora czuje, że za chwilę zmorzy ją sen. Zamyka oczy. Całym ciałem przytula się do Daniela. Ma już trudności z wysławianiem się. To nasza córeczka, dziecko miłości. Nawet nieobecna, zawsze będzie z nami, no nie? Powiedz, że zawsze tu będzie.

Daniel ma oczy otwarte. Wypowiada słowa, które ona chce usłyszeć.

Ujmuje lodowate dłonie Aurory i wsuwa je sobie pod koszulę, tuli do ciała. Tak, zawsze. A my razem z nią, cokolwiek się stanie. Nikt nas nie rozdzieli.

„Ohe, mateloi” milknie. Otacza ich wszechogarniająca nocna cisza.

Aurora śpi, przytulona do Daniela. Głęboko. Ostrożnie kładzie się przy niej na płycie z marmuru. Przykrywa ich kołderką. Znajduje przy niej bezpieczne schronienie. Teraz on dołącza do niej we śnie.

Ponad nimi spadająca gwiazda rozrywa sklepienie niebieskie.

Nad wzgórzem Montmartre wstaje świt. Niebo pławi się w pierwszych promieniach słońca.

Aurora i Daniel jeszcze śpią, spleceni, gdy ktoś energicznie potrząsa Aurorę za ramię. Ostry głos strażnika grzmi:

- Proszę pani! Proszę się obudzić! To bezprawie. Nie wolno tutaj przebywać w nocy. Wstawajcie!

Aurora wzdryga się.

Ręka, która delikatnie potrząsa jej ramię, zmusza ją do przeniesienia się w obecną rzeczywistość.

Siedzi z zamglonym wzrokiem na brzegu grobu.

- Proszę pani, proszę wstać!

Odwraca głowę w kierunku młodego strażnika przykucniętego obok niej. Akcent świadczy, że wywodzi się wprost ze wschodniego przedmieścia. Uśmiecha się do niej szeroko i jeszcze raz mówi:

- No, proszę wstać! Musimy przestrzegać regulaminu. Zaraz zamykamy!

Pomaga Aurorze podnieść się. Pyta, czy dobrze się czuje, jest taka blada.

Aurora pociera czoło. Przeprasza. Nie sądziła, że siedzi tu tak długo.

Strażnik towarzyszy jej do wyjścia.

- Proszę sobie wyobrazić, że nie dalej jak wczoraj był tu jakiś facet, w tym samym miejscu. Identyczna scenka! -mówi z ożywieniem, jakby ten zbieg okoliczności wydał mu się zabawny. - On także pozostał aż do zamknięcia. Wysoki brunet, około czterdziestki... Z tych hiperponurych.

Aurorze ciemnieje w oczach. Błądzi wzrokiem po cmentarzu, przygotowana na to, że nagle między grobami ukaze się Daniel.

- Może pani wie, o kogo chodzi?

Aurora przyspiesza kroku. Odpowiada ostrzej, niżby chciała:

- Nie. Nie mam pojęcia. Do widzenia!

DANIEL

Uderzeniem ramienia omal nie rozwalam drzwi gabinetu Michała.

Przyłapuję go siedzącego na szczycie drabiny, zajętego ścieraniem kurzu z górnych półek.

Polowanie na pajęczaki to jego ulubiony sport. Wręcz nałóg. Codziennie rano włącza odkurzacz. Raz w tygodniu myje okna. Kurz wyciera w każdej wolnej chwili. To znaczy bardzo często. Nigdy nie wyraził zgody, żeby skorzystać z usług jakiejś ekipy robiącej porządkę. Twierdzi, że to go odpręża.

Niektórzy na wcześniejszej emeryturze pieczą samochód. Inni kolekcjonują słoiki po musztardzie. On natomiast robi porządkę.

Mierzy mnie wzrokiem ze szczytu swojej grędy, zaskoczony i trochę zaambarasowany moim co najmniej brutalnym wtargnięciem.

Ryzykując, że popełni z wściekłości samobójstwo i rozbije się dwa metry niżej, strząsam popiół na jego lśniąco czystością podłogę.

- Co to ma być?!

Wymachuję jednym z egzemplarzy *Fanfan w tarapatach*, który świeżo wyszedł spod prasy.

Znalazłem go rano na moim biurku z przyklejoną na okładce karteczką od Michała: *Podziwiał, Synu! Moje pierwsze osobiście wykonane dzieło!*

Wobec jego zakłopotanego milczenia powtarzam to samo, tyle że dwa tony wyżej:

- Zadałem ci pytanie: co to ma być?

Michał nie rozumie pytania. Nie rozumie mojej wściekłości. Nic nie rozumie. Nie chce rozumieć. Serwuje mi błogi wyraz twarzy jak za najlepszych dni. Uśmiecha się wszystkimi sztucznymi zębami naraz.

- Prawdziwe cudenko, no nie? Jak widzisz, wziąłem pod uwagę twoją radę co do kolorów...

Nie śpieszy się z zejściem na niższy poziom.

Składa na czworo ściereczkę i chowa do specjalnej szuflady ze szmatkami do kurzu.

Drażni mnie jego zachowanie, najchętniej złożyłbym na czworo jego samego. Dobrze wie, że zaraz zmyję mu jego starą głowę, obleję kubłem zimnej wody. Otwiera więc parasol. Gra na zwłokę. Rozpływa się w zachwytach i usprawiedliwia w nadziei, że się wywinie:

- Muszę przyznać, że miałeś rację w trzystu procentach. Teraz ilustracje są o wiele żywsze. Weselsze! Nie uważasz?

Mam dość jego zgrywania się. Gaszę go stanowczym i ostrym tonem.

- Rzygać się chce! Po prostu i zwyczajnie rzygać! Choć jest mocno poruszony takim bezapelacyjnym

sądem, chce jeszcze wierzyć, że to żart.

- Pochlebiasz mi, synu!

Nie mam nastroju, by znosić wyśmienity humor Michała. Przewracam kartki albumu przed jego nosem. Z furją. Prawie wyrywam stronicę. Wrzeszczę. Wszystko jest niemodne i przestarzałe, jak on: tekst, ilustracje, typografia. Nic się nie da uratować.

Na to on zaczyna się stawiać. Przywdziewa szatę zgorszonego ojca. Z palcem skierowanym w moją pierś zwraca mi uwagę, że przecież pokazywał mi próbki. Ze byłem zachwycony szelmowską buźką małej bohaterki. Ze zrobił

wszystko dokładnie tak, jak powiedziałem. Że kazałem mu od razu brać się do dzieła, iść na całość.

Trzymając rękę na sercu, żąda ode mnie wyjaśnień.

Wyrywam pierwszą stronę z albumu. Kładę przed nim na biurku:

- To ty będziesz się tłumaczył!

Pochyla się nad kartką. Pociera nos. Z uwagą przygląda się ilustracji z dziewczynką w ogrodniczkach, która próbuje rączną piłą odciąć głowę lalce unieruchomionej w imadle. Michał podnosi wzrok.

Wykrzywia usta w grymasie zupełnego niezrozumienia.

Wale pięścią w stół.

- Umiesz czytać? Więc czytaj!

Wyciera specjalnym papierem szkła swoich półokularów. I posłuszny rozkazowi, czyta niepewnym głosem: *Oto jak się jej pozbędę! - pomyślała Fanfan, odpitowując głowę lalce. Tego ranka mama Fanfan wróciła z kliniki położniczej z wielkim koszem. W wielkim koszu leżał śmieszny pakunek. Z głową, z dwiema rączkami i dwiema nóżkami. Pakunek, który by najchętniej wyrzuciła do zsypu na śmieci: jej nowa mała siostrzyczka Ma...*

Zająkuje się przy imieniu. Miażdżę go wzrokiem.

- Jak mogłeś to przepuścić! To podłe. Ty jesteś podły! Michał mnie w ręku kartkę. Postarzał się o dziesięć

lat. Chce usiąść. Nie może. Drżąc, opiera się o krawędź biurka.

- To nie była Marina, przysięgam... To literówka! Była Martine, nie Marina!

Milknie. Najgorsze jest to, że mu wierzę. Ciskam album do miedzianego kosza, który błyszczy jak nowy.

- Literówka czy nie, guzik mnie to obchodzi! Możesz to wszystko odesłać prosto na przemiał. Ta główniana książka nigdy się nie ukaże!

Michał osuwa się na fotel. Podpiera czoło ręką. Pozwalam mu dogorywać. Ma to, na co zasłużył.

Na koniec, przed trzaśnięciem drzwiami, dobijam go bez najmniejszych wyrzutów sumienia:

- Jeszcze tylko pewien drobiazg: gdybyś nie był moim ojcem, już byś tu nie pracował!

Nie wiem, w jaki sposób znalazłem się w barze Belfort na placu Denfert. W każdym razie jestem tu od godziny i tkwię przy barze.

Wściekłość odeszła. Pozostała pustka i smutek przenikający mnie wszystkimi porami. Nękający jak blues a la Muddy Waters, którego ani żarty przy kontuarze, ani pogwizdywania ekspresu do kawy, ani z rzędu trzeci koniak nie są w stanie rozproszyć.

Zastanawiam się, jakim cudem udaje mi się żyć w stanie permanentnego szoku od tak wielu dni.

Czuję głód. Narkotyczny głód. Głód Aurory. To wszystko. Jeszcze jeden kieliszek i zasuwam do niej. Dzwonię do drzwi. Ona otwiera. Nie mówimy do siebie ani słowa. Biorę ją w ramiona. Porywam ją.

Żegnaj, smutku. Jakie życie jest proste!

Jeszcze jeden kieliszek. Daję znak patronowi, żeby mi podał.

Słyszę głos Michała, który mnie łaskocze w plecy:

- Dla mnie kola *light*, proszę.

Czego on tutaj szuka? Patrzę na niego z ukosa.

- Będiesz wszędzie za mną chodził jak piesek?

Nie odpowiada. Prawdę mówiąc, nie jestem niezadowolony, że się pojawił z miną winowajcy. Niepokoiłem się o niego. Zagalopowałem się. Wygląda na to, że się pozbierał.

Wślizguje się na wolny stółek barowy obok mnie. Taksuje mnie przez chwilę swoimi wyblakłymi oczami. Kiwa z czułością głową.

- Widziałeś się znowu z Aurorą... Czy tak, synku? Śmieję się szyderczo:

- Nie, i w tym rzecz. Nie widziałem jej od trzech tygodni. I to mnie wykańcza!

Zwierzam mu się ze wszystkiego. To jego dzień. Dzieli moje udreki, nie mówiąc ani słowa.

Na koniec, kiedy już się wyzaliłem, kładzie mi rękę na

ramieniu. Mówi, że to tylko dowodzi, iż Aurora nadal pozostaje wyjątkową kobietą i wie, co robi. Skoro do mnie nie dzwoni, powinienem zachować się na poziomie i uszanować jej decyzję.

Właśnie to robię - szanuję jej decyzję. I to mnie wykańcza. Ale uprzedzam: nie zrezygnuję z niej. Nigdy. Co to, to nie. Lepiej od razu strzelić sobie w łeb.

Michała trochę ponosi, ale jest w tym nadal dużo czułości. Co ja wyprawiam? Żeby mi tak odbiło, po dwunastu latach? A do tego chcę, żeby było jak dawniej!

Dokładnie tak - odparowuję. Sam nie wiesz, o czym mówisz, tatulku... Czas bez niej się nie liczy. To pusty nawias, który czym prędzej należy wypełnić.

Rozgryza lód z koli:

- Ona ułożyła sobie życie na nowo. Całkiem nieźle, jak na nawias! Jest zameżna, ma dziecko, staruszkę...

Nie cierpię, kiedy mnie częstuje tym staruszką! Pobłaźliwie. Zapomniał się. Zmuszam go, żeby się wczuł w moją sytuację:

- No i co z tego? Ja też miałem z nią dziecko! Już zapomniałeś?

Michał wykonuje nerwowy ruch. Ciągnie mnie do stolika. Zmusza, żebym usiadł. Wbija mi w serce banderillę:

- Czego ty się spodziewasz, naiwny biedaku? Że wskrzeszając miłość do niej, zwrócisz jej Marinę? Oszalałeś!

Łajdak. Łajdak! Nie wiem, co mnie powstrzymuje przed zgruchotaniem mu szczęki. Tak, wiem o tym. On ma rację. Jego brutalne słowa trafiają w sedno.

Hamuję się, jak mogę. Czekam na ostateczne pchnięcie szpadą. Nadchodzi:

- Nie wymażecie przeszłości... Ona jest silniejsza od was. Zawsze będzie wam towarzyszyła wraz z całym orszakiem cierpień. Gotowa was rozszarpać na strzępy, bezlitośnie. Czy tego właśnie chcesz?

Wiem. Wiem. Wiem. Zamknij się! Podejmuję ryzyko. Ona jest mi potrzebna. Fizycznie potrzebna. To chyba łatwo zrozumieć, nie?

Bez niej nie jestem sobą.

On argumentuje, że skoro się rozstaliśmy, to musiały być ku temu powody.

Słucham go poprzez mgłę dymu mojego gitana. Marny argument! A gdzie Aurora i ja? Nasz bezimienny ból? Nasze plany? Nasza miłość? Trzeba by wszystko wykreślić z naszej mapy życia. Pod pretekstem, iż byliśmy zbyt udęczeni, żeby spojrzeć przyszłości w twarz.

Michał wzdycha. Udaremням jego próbę pociągnięcia łyżka koniaku z mojego kieliszka. Dziękuje mi, uśmiechając się smutno:

- Udęczeni to za słabe słowo!

Udęczeni. Tak, Michale, to za słabe słowo.

Są jak dwie okaleczone dusze, które nieszczęście przykuło do siebie kajdankami.

Odcięci od świata. Skazani na zatracenie.

Mieszkanie przy ulicy Bagnolet jest ich ostatnim schronieniem. Ukrywają się w nim. Nie wychodzą. Pozamykali okiennice. Wyłączyli telefon. Pozwolili zmarnieć roślinom. Zaryglowali drzwi.

Tylko Michał ma klucz. Zagląda każdego ranka, obładowany plastikowymi torbami pełnymi jedzenia. Jarzyny i świeże owoce. Mleko, jogurty. Mięso i ryby.

Nie tykają tego. W rezultacie wszystko się psuje w kuchni na stole.

Odżywiają się neuroleptykami i kawą. Czasem konserwami, prosto z puszek.

Spią w dzień na podłodze w salonie albo w pustym pokoju Mariny. Żyją w nocy. Przestali się myć, nie zmieniają ubrań. Pozasłaniali wszystkie lustra woalem z czarnego jedwabiu.

Ich jedyną czynnością, wyłącznym zajęciem jest żarliwe wspomnianie Mariny. Niegodzenie się z jej nieobecnością. Wy-kpiwanie śmierci. Wszędzie, gdzie sięga wzrok, zdjęcia małej. Ciągłe puszczają kasety wideo i oglądają na ekranie telewizora

filmy z Mariną. Na okrągło. Od jej urodzin po ostatni wybuch śmiechu.

Bez przerwy.

Michał jest świadkiem szaleństwa, które każdego dnia wyniszcza część ich duszy i co noc bardziej zaciska na nich swoje pęta.

Opiera się. Nie bierze udziału w ich maniackiej grze. Zatrzymał się na progu bram piekieł. Trochę sprząta. Otwiera okna, żeby wpuścić świeże powietrze. Układa w wazonie granatowe goździki, które przyniósł dzisiaj rano.

Nieodłącznie towarzyszy mu smutek, ale nie dopuszcza, żeby mu odebrał jasność widzenia. Nie może sobie pozwolić, żeby pójść razem z nimi na dno.

Aurora i Daniel nie widzą go, gdy stawia torbę z marketu na podłodze. Mówi do nich:

- Dzień dobry, dzieci... Zrobiłem zakupy. Nie odpowiadają.

Siedzą ramię przy ramieniu na podłodze, oparci o dolną część kanapy. Michał widzi, jak się uśmiechają na widok Mariny, która na ekranie telewizora tańczy rocka na rękach ojca.

Danielowi urosły włosy i broda. Twarz ukrzyżowanego Chrystusa. Ma na sobie podkoszulek poplamiony kawą i stare levisy z dziurą na kolanie.

Aurora prawie ginie w błękitnym jak lazur szlafroku frotte. Palce ma brązowe od nikotyny. Oczy na wpół zamknięte. Włosy rozczochrane i brudne.

Aż strach bierze na nich patrzeć. I Michał się boi. Błaga ich:

- Opamiętajcie się, dzieci... Opamiętajcie się, póki nie jest za późno!

Daniel i Aurora nie reagują. Nie odrywają oczu od ekranu, skąd śmieje się Marina i obraca w koło w ramionach swojej mamy.

- Popatrz, ile ma uciechy! Prawdziwe szaleństwo! - mówi Daniel.

- Popatrz na jej stopki! Jak u małpiatki! - mówi Aurora. Śmieją się.

Nagle ekran staje się czarny. To Michał wyłączył aparat pilotem. Już nie wytrzyma.

Daniel wlepią w niego nieprzytomny wzrok:

- Co robisz! Włącz telewizor! Natychmiast!

Michał kręci przecząco głową. Ponosi go z rozpaczą. Z wściekłością doskakuje do nich. Stara się nimi potrząsnąć. Obudzić ich z koszmarne go snu, w którym się nurzą.

- Może już dosyć tej błazenady! - wrzeszczy. - Przyjrzyjcie się sobie! Wiedziecie, jak wyglądacie? Jak dwa żywe trupy!

- Włącz telewizor! - wybuchą Daniel.

- Nie ma mowy. Trzeba z tym skończyć! Tak nie można. Aurora zapala papierosa. Mierząc Michała wzrokiem, mówi ledwo słyszalnym głosem:

- Jesteś miły, Michale... Ale nam tak jest dobrze. Nie chcemy z tego wyjść, więc daj nam spokój!

Michał kuca obok niej. Gdzie się podziała ta Aurora, którą znał? Gdzie jej chęć życia? Jej słoneczna energia? Odgarnia zmierzwi one kosmyki jej włosów.

- Auroro, Auroro... Uwierz mi. Posłuchaj mnie. Spójrz na mnie. Stamtąd, gdzie jest, Marina chce widzieć, jak jej rodzice wydobywają się na powierzchnię. Biedna mała! Proszę was oboje... Zróbcie to dla niej, wybierzcie życie! Zadręczacie się na śmierć.

Aurora wpatruje się w niego pozbawionymi wyrazu oczami. Michał podnosi się. Płacze. Daniel go poszturchuje.

- Włącz ten telewizor i spływasz!

- NIE!

Michał ciska z całej siły pilotem w wytapetowaną fotografiami ścianę i roztrzaskuje go na portrecie małej.

Rozwścieczony Daniel rzuca się na ojca.

Bez słowa chwyta go za wyłogi marynarki, ciągnie w stronę drzwi wyjściowych i wyrzuca brutalnie na podest jak paczkę brudnej bielizny.

Trzaskają drzwi.

Oszołomiony Michał osuwa się na schody. Trzyma się za głowę. Czuje się jak idiota.

Na moment drzwi się otwierają. Daniel ciska torbę z zakupami i z nienawiścią w głosie każe mu się wynosić:

- Zabieraj się! I nie waż się więcej tutaj przychodzić!

Puszki z konserwami wypadają z torby. Toczą się po podeście. Martwym wzrokiem Michał przygląda się, jak spadają ze schodów. Stopień po stopniu.

Zza drzwi słyszy śmiech Mariny, który znowu rozbrzmiewają w najlepsze.

Jeszcze głośniej. Nie do zniesienia.

Pierwszy kieliszek koniaku pali mu przełyk.

Drugi rozgrzewa umysł. Wywraca flaki.

Trzeci ma już smak wody. I to jest przerażające.

To niedobry koniak. Kupiony w algierskim sklepie kolonialnym na ulicy Bagnolet. Na pewno z przemytu.

Tego wieczoru Michał zaprasza do siebie swojego najdawniejszego wroga, by dzielić z nim noc. Zawarł z nim znajomość nazajutrz po odejściu Cecylii, swojej żony. Dopiero po siedemnastu latach zerwał z alkoholem. W dniu, w którym Daniel zdał maturę. To był prezent od ojca dla syna. Wieloletni staż u Anonimowych Alkoholików w zamian za świadectwo z celującym wynikiem.

Niezbyt równa wymiana.

To było jak boksowanie się na gołe pięści z buldożerem, ale podziw, jaki czytał w oczach swojego kibica - syna, był najpiękniejszą zachętą na świecie. Zastąpił litość, którą rozszyfrowywał za każdym razem, gdy walił się na dywan, zmorzony jednym kieliszkiem za dużo.

Przy czwartym koniaku Michał utwierdza się w przekonaniu, że alkoholizm jest chorobą chroniczną. Drzemiacym wirusem. I że odległość, jaka go dzieli od butelki, nie zmniejszyła się ani o milimetr.

Postępuje kilka kroków. Dziwi się, że trzyma się prosto. Dziwi się, że jeszcze myśli.

Aurora i Daniel. Nie może ich zostawić w tym stanie. Wyobraża ich sobie błędzących na pustyni w stanie skrajnego wyczerpania. Wyobraża ich sobie zasypywanych przez ruchome

piaski. Pograżają się w nich, bez nadziei na znalezienie ręki, której mogliby się uchwycić.

Krople potu zraszają mu czoło. Oni zaraz znikną. Marina może ich wezwać w każdej chwili. Za bardzo za nią tęsknią. Jest tylko jedno miejsce, gdzie mogą ją spotkać znowu.

Być może tej nocy. Przywołuje w pamięci czarne woale rozpięte na lustrach. Ich ostatni znak pożegnania ze światem.

Która godzina? Prawie północ. Gdzie klucze? Tam, na konsoli, w holu.

Michał zamawia taksówkę. Od ulicy Bagnolet dzieli go piętnaście minut.

Wbiega na piąte piętro jak młodzieniaszek, gnany przecuciem czegoś potwornego. Wali w drzwi. Ma jeszcze nadzieję, że zobaczy otwierającego mu Daniela, który go zwymyśla za to, że ośmielił się wrócić. Ma nadzieję, że zostanie zrzucony na sam dół klatki schodowej.

Daniel nie otwiera. Przecucie umacnia się. Staje się rzeczywistością.

Michał nie wytrzymuje, wpada w panikę. Dygoczą mu palce. Ma trudności z przekręceniem klucza w zamku. Umiera z przestachu. Rzuca przekleństwami i wyzywa siebie od nieudaczników. Od nieodpowiedzialnych. Od niegodziwego ojca. Przysięga, że się zabije. Gdyby nie ten jeden kieliszek za dużo, byłby tu wcześniej. Mieliby jeszcze szansę.

Oddycha krótko, urywanie, biega z pokoju do pokoju. Na oślep. Wszystkie światła są pogaszone.

Nie znajduje Daniela. Ani Aurory. W salonie nie ma nikogo. Jedyne telewizor ciągle się świeci. Śnieg ekranu spowija pokój w bladej poświacie. Nikogo w kuchni. Nikogo w łazience. Szafka z lekarstwami otwarta szeroko. Dziesiątki listków środków nasennych wyściełają umywalkę.

Pustych. Wypatroszonych.

Jak rażony prądem, Michał wpada do ich sypialni. Opustoszała. Nawet łóżko jest nietknięte. Zostało już tylko jedno miejsce.

Chwiejnym krokiem Michał kieruje się do korytarza. Każdy krok przyprawia go o mdłości. Wpatruje się w zamknięte drzwi

pokoju w głębi. Drewnianymi kolorowymi literkami wypisane jest na nich imię Mariny. Sam je przyklejał na Boże Narodzenie.

Szarpie za porcelanową klamkę. Drzwi nie chcą się otworzyć. Są zamknięte na klucz od środka. Michał uderza całym ciałem w przeszkodę. Jeszcze raz i jeszcze. Zamek trzyma mocno. Michał cofa się, rozpędza i ze wszystkich sił, jakie mu pozostały, rzuca się na drewnianą płycinę drzwi.

Suchy trzask przeszywa mu ramię. Tłumi krzyk. Traci równowagę. W ostatniej chwili chwyta się framugi.

Zamek ustąpił.

Na miękkich nogach wchodzi do pokoju Mariny. Najpierw dostrzega tylko świetliste gwiazdy, które ruchomy abażur rozsiewa po ścianach i na suficie. A potem widzi ich.

Leżą przy łóżeczku małej. Spleceni ze sobą. Nadzy. Bez życia. Bezkrwiści. Z półprzymkniętymi oczami. Opakowania po środkach nasennych tworzą aureolę wokół ich marmurowych twarzy.

Porażony bólem Michał pada przy nich na kolana. Przygryza sobie dolną wargę. Do krwi. Nie chce uwierzyć. Bije ich po twarzach. Obrzuca wyzwiskami. Podnosi. Potrząsa za ramiona.

Modli się do Boga, nie wierzy, że mógłby mu zabrać jego dzieci.

Syrena karetki pogotowia wdziera się w sierpniową noc.

Michał jest w środku. Nic i nikt nie mógł mu przeszkodzić w odbyciu tej podróży razem z nimi.

Aurora i Daniel leżą wyciągnięci na noszach. Liczne perfuzje. Maski z tlenem. Aparatura monitorująca.

Bip, bip.

Dwóch lekarzy w fartuchach uwija się przy ich ciałach. Precyzyjne ruchy. Nic nie wyrażające spojrzenia. Ręce w lateksowych rękawiczkach.

Bip, bip.

Słowa padają skąpo. Terminy techniczne w hermetycznym żargonie, którego Michał nawet nie próbuje zrozumieć. Nigdy nie miał zdolności do obcych języków.

Bip, bip.

Dwaj mężczyźni nie chcą ryzykować stawiania jakiegokolwiek diagnozy. Wszystko, co Michał wie, sprowadza się do tego, że Daniel i Aurora nie odeszli jeszcze, żeby połączyć się z Mariną. Tam, na drugą stronę lustra za czarnym woalem.

Jeszcze nie. Jakże straszne są te dwa niepozorne słowa! Jeszcze nie.

Michał przypatruje się im z głębi ambulansu. I w niebieskawym świetle obracającej się na dachu lampy, która w regularnych odstępach muska ich twarze, widzi ich znowu żywych.

Pięknych i szczęśliwych. Z całą beztróską zakochanych.

Bip, bip.

Ostry zakręt na obręczach kół.

Jeden z lekarzy wstaje. Odwraca ku niemu twarz z kwadratową szczęką.

- Pozuoli wracają, panie Miller... Jeszcze dziesięć minut, a byłoby za późno. Mogą panu podziękować.

Nareszcie uśmiecha się. Pięknym uśmiechem. Pokornym i wspaniałym.

Michał wstaje. Podchodzi do lekarza. Nie wie, co powiedzieć. Nie wie, co zrobić. Mężczyzna jest ogromny. Musi się pochylać, żeby nie uderzyć głową o dach karetki.

Więc Michał robi to, co mu podpowiada serce. Staje na palcach. Bierze go w ramiona. Wpatruje się w niego swoimi niebieskimi oczami.

I całuje go w źle ogolony policzek.

AURORA

List do Daniela, wreszcie go napisałam.

Użyłam w tym celu komputera. Wydało mi się to łatwiejsze niż ręczne pisanie. Litery na ekranie mają mniej intymny charakter. A także znacznie mniej emocjonalny, niż gdy są pisane ręcznie. Ani jednej poprawki. Ani jednego skreślenia. Ani jednego słowa wybijającego się ponad inne. Laserowa drukarka nie zna stanu mojej duszy. Nie zadrży przy słowach, które są nieodwracalne.

Kiedy odczytałam list, zrobiło mi się żal Daniela. Wyobraziłam sobie, jak otwiera skrzynkę. Rozdziera kopertę. Zaadresowaną ręcznie, żeby poznał, od kogo ten list. Wyobraziłam sobie, jak się uśmiecha, przystępując do czytania. Po chwili, stopniowo, na jego twarzy maluje się wielki smutek.

To paskudny list. Przykry. Jakby zredagowany bez cienia żalu. W urzędowym stylu. ***Drogi Danielu...***

Tego właśnie chciałam. Chirurgicznego cięcia. Bez znieczulenia. Żeby nie zostawić żadnej nadziei. Ani jemu, ani sobie. Chciałam go oddalić od siebie, ponieważ nie byłam w stanie odejść od niego. Niech sobie mówi: „Więc tak mnie ocenia, takie ma o mnie zdanie! O nas! Nic poza tym! Niech więc idzie sobie w diabły!”

Chciałam, żeby mnie znienawidził. Żeby o mnie zapomniał. Mówiłam sobie: jeżeli o mnie zapomni, najpierw on, może wtedy ja także potrafię.

List napisałam już przed czterema dniami.

Mój problem polega na tym, iż nie mogę się zdobyć na to, żeby go wysłać. Leży na dnie mojej torby. Co rano przystawałam przy skrzynce pocztowej na rogu Parmen-tier. Sprawdziałam godzinę wyjmowania listów. Wyjmowałam z torby białą kopertę. Wsuwałam ją w trzech czwartych pod metalowy daszek skrzynki. I na tym kończyła się moja stanowczość. Coś unieruchomiło mi rękę. Nie byłam w stanie wypuścić koperty.

Myślałam, żeby poprosić o to Anouk. Z przyjemnością zrobiłaby to za mnie. Zrezygnowałam.

Muszę to zrobić sama. Gdybym postąpiła inaczej, czułabym się nie w porządku.

Sam pstryka palcami na wysokości moich oczu.

- A kuku, jesteśmy tutaj!

Siedziałam przy stole z nim i z Elzą. Okazało się, że byliśmy przy deserze. Truskawkowe lody na moim talerzyku prawie się rozpląnęły.

Sam nazywa to „moimi nieobecnościami”.

Stają się coraz częstsze. Coraz głębsze.

Przypominam sobie, że tuż przed kolacją widziałam ich dwoje. Szeptali coś do siebie na kanapie. Elza usiadła Samowi na kolanach okrakiem i łaskotała go pod pachami. Zaśmiewała się.

Tyle że żaden dźwięk nie wydobywał się z jej ust. Nic nie słyszałam. Życie toczyło się wokół mnie, pozbawione ścieżki dźwiękowej.

Byłam tutaj. I nie byłam. Pozbawiona łączności z czymkolwiek.

Wypiłam trochę wody. Potarłam oczy. Zdobyłam się na uśmiech do Sama:

- Przepraszam... Jestem...

- Odrobinę gdzie indziej?

Pokiwałam głową. Położył rękę na moim udzie. Jego

wzrok zdawał się mówić: „Nie przejmuj się. Już się przyzwyczailem”. Elza łakomie oblizywała łyżeczkę po lodach.

- Mam tego dość! Próbowалаm już wszystkiego. Łaskotałam tatę, robiłam różne miny. Nawet pozwoliłam mu wysłuchać całą płytę kompaktową z piosenkami Spice Girl, a on nadal nie chce mi zdradzić niespodzianki. Pomóż mi, mamo! Podobno jest wspaniała!

Włączyłam się do ich zabawy. Nie miałam zielonego pojęcia, co Sam kombinuje. Zadałam mu kilka pytań, ale bez rezultatu. Nie wygrał w totka. Nie zaprosił Madonny na urodziny Elzy. Nie planował również zmiany wody toaletowej.

- No, mów! A przynajmniej daj jakąś wskazówkę. Choćby najmniejszą! - błagała Elza.

Sam pozostał nieugięty. Trzeba było „zgad-nać”.

Elza usiadła mi na kolanach. Była zniechęcona. Ja również. Przestało mnie to bawić.

Ziewnęłam. Sam zaczął sprzątać ze stołu. Trochę nerwowymi ruchami. Powiedział:

- Dobra, *okay!* Dłużej nie będę was dręczył. To dotyczy wakacji!

Spojrzałyśmy z Elzą po sobie. Wahałyśmy się, czy nie parsknąć śmiechem.

Wszystko, co dotyczyło wakacji, zostało już dawno postanowione. Lipiec w Paryżu. Sierpień w domu rodziny Sama, wolnego przez cztery tygodnie, w pobliżu La Rochelle.

Atlantyk. Trzy i pół godziny jazdy z Paryża. To mi w miarę odpowiadało. Śmieszne - pomyślałam: Daniel także wyjeżdża zawsze w sierpniu. Wbrew sobie nie przestawałam porównywać naszych rozkładów zajęć.

Elza nie potrafiła ukryć rozczarowania:

- Phi! Też mi niespodzianka! Już ją znamy. Żadna nowina.

Pocieszyłam ją, śmiejąc się. Oto masz przykład bardzo specjalnego poczucia humoru twojego ukochanego tatusia. Zwyczajnie wpuścił nas w maliny, i to obie. Spójrz na

niego. Widzisz ten jego zadowolony uśmiezek? To cały on, twój tatuś!

Sam rozsiadł się przed nami. Było coś chytrego w jego spojrzeniu, coś, co mnie zaniepokoiło.

- Pudło, moje panie! Przełożyłem urlop. Wyjeżdżamy już pierwszego lipca.

Elza podskoczyła z radości. Wiedziałam, że marzy o kursie nurkowania. Zapowiadało się, że czekanie na tę okazję w lipcu w Paryżu może być ciężką próbą. Wreszcie dobra wiadomość. Dla niej.

Nie dla mnie. Zesztywniał mi kark.

Nie uśmiechał mi się wcześniejszy wyjazd. To nic nie zmienia. To zmienia wszystko. Ogarnął mnie niepokój. Zdałam sobie sprawę, że nie byłam gotowa na opuszczenie Paryża już za dziesięć dni. Na przebywanie z dala od Daniela. Dotarło to do mnie jasno właśnie w tej chwili. Nawet jeżeli go nie widuję, wolę być w pobliżu niego. W tym samym mieście.

Potrzebna mi była jego bliskość. Całą sobą potrzebowałam tego. Mocniej niż kiedykolwiek.

W decyzji Sama zaintrygowało mnie coś jeszcze. Dom w La Rochelle nie był wolny w lipcu. Przebywali tam jego rodzice, a nasze stosunki nigdy nie należały do serdecznych. Mówiąc wprost, nie znosili mnie, a ja nie pozostawałam im dłużna.

Sam nie narażałby mnie na przykrości.

Chodziło o coś innego. Z całą pewnością. Muszę się dowiedzieć, i to natychmiast.

Zapaliłam papierosa.

- A dokąd nas zabierasz? Bo podejrzewam, że nie do La Rochelle, prawda?

Sam nie odzywał się przez parę sekund. Elza przestała cokolwiek z tego rozumieć:

- No, to dokąd w końcu jedziemy? A mój kurs, tato?

Ruchem magika Sam wyjął z tylnej kieszeni spodni kopertę. Otworzył ją na stole. Wysunął z niej trzy książeczki Air France.

- Zrobisz swój kurs na rajskich wyspach, małpeczko!

Elza zrobiła wielkie oczy. Tym razem zaskoczenie było całkowite.

- Dokąd jedziemy? Tato, powiedz! Czy tam się leci prawdziwym samolotem?

Jej ojciec popatrzył na nią z czułością, szczęśliwy, że uszczęśliwia córkę:

- O, tak! Na Tahiti nie dojedzie się pociągiem. - Spogląda w moją stronę. - A dokładnie na Bora-Bora!

Pozostałam niewzruszona jak głaz. Niezdolna okazać choćby odrobiny entuzjazmu, pomimo wybuchu radości Elzy.

Bora-Bora. Od lat w najbardziej mrocznym okresie zimy zarzucałam dom folderami agencji podróży. Palmy. Biały piasek. Laguny z przezroczystą wodą. Śniłam o tym. Miałam swój okres malediwski. Kryzys antylski. Epizod Zielonego Przylądka. Generalnie pragnienie wyjazdu topniało wraz z powrotem wiosny.

Moja ostatnia zachcianka nie miała sobie równych: Bora-Bora.

Sam trafił idealnie. Ta podróż była dla mnie. Tylko dla mnie, wiedziałam o tym. On panicznie bał się samolotów.

Elza uwiesiła mu się na szyi i obsypała pocałunkami. Był „najgenialniejszym” z tatusiów.

Sam zerkał na mnie niecierpliwie. Miał nadzieję, że wypowiem to jedno magiczne słowo, uśmiechnę się i podzielę ich euforię.

Byłam zagubiona. Wstałam od stołu bez jednego spojrzenia. Mechanicznie zbierałam pozostałe puste talerze.

- Nie mogę tak sobie wyjechać. Powinieneś być ze mną o tym porozmawiać!

W jednej chwili radość zniknęła z ich oczu. Zwłaszcza z oczu Elzy. Jakbym ją z całej siły uderzyła w twarz.

Nie odezwała się słowem. Wyszła z kuchni, pozostawiając nas samych.

Chciałam pójść za nią, do jej pokoju, wytłumaczyć jej, ale Sam mnie powstrzymał. Unieruchomił w ramionach.

- Co cię naszło? Nie lubisz już słońca? Odwołałam się do zawodowych spraw. Spotkań, któ-

rych nie mogę przełożyć. Zapowiadających się poważnych zleceń. Nie, naprawdę. Ta podróż krzyżuje mi wszystkie plany. Sam nie ustępowałam:

- Weźmiesz ze sobą laptopa. Będiesz pracowała pod palmami. Wyślesz makiety Internetem, już tak robiłaś! Pomyśl o Elzie. Chyba nie pozbawisz jej tej radości!

Wycofałam się. Wstawiłam talerze i szklanki do zmywarki. Byle jak.

- Nie zamierzam nikogo i niczego pozbawiać! Jedźcie we dwoje. Ja nie mogę.

- Jak to nie możesz? Przecież wiesz, że bez ciebie to nie będzie to samo! To nie ma sensu!

Nie, to nie ma sensu. Już nic nie ma sensu. Byłam obojętna na wszystko, co dla mnie robił. Jego wysiłki, jego miłość oddalały mnie od niego i popychały ku Danielowi, a on ciągnął swoje, szukał kompromisu:

- Zastanów się... Gdy już tam będziesz, wszystko się ułoży. Będziemy z dala od wszystkiego. Odnajdziemy siebie... To nasza ostatnia szansa, wiesz o tym!

Trzasnęłam drzwiami zmywarki.

- Nie zrozumiałeś mnie! Nie jadę z wami, czy to jasne? - Opadłam bez sił na krzesło. - Jest mi przykro, Sam... Nie zasłużyłam na ciebie! Dlaczego jesteś dla mnie taki dobry? Dlaczego?

Przykucnął obok mnie. Położył głowę na moich kolanach.

- Ponieważ wolę cierpieć przy tobie niż z dala od ciebie.

Pogłaskałam go po włosach. Chciałam być z dala od niego.

Tam, teraz. To straszne.

Do ostatniej chwili sądziłam, że to minie i że nie zrobię tego. Że została mi jeszcze krztyna rozumu, by nie przekraczać tego punktu, skąd już nie ma odwrotu.

Sam położył się spać koło północy. Beze mnie.

Ociągałam się. Posiedziałam przed telewizorem. Prze-

kartkowałam jakiś kryminał. Przygotowałam stół do śniadania. Robiłam wszystko, byle opóźnić tę chwilę, kiedy trzeba rozebrać się i pójść do łóżka.

W łazience wzięłam lodowaty prysznic. Próbowałam zagłuszyć w ten sposób pragnienie wyjścia, które narastało. Pożądanie, krótko mówiąc.

Włożyłam szlafrok. Zaczęłam zmywać makijaż. I nie wytrzymałam.

Znowu się umalowałam. Skropiłam odrobiną alize. Wyszczotkowałam włosy. Upięłam je nad karkiem. Tak jak on lubi.

Ubrałam się ponownie.

Sam zasnął. Wyszedłam na balkon z telefonem bezprzewodowym. Drżącym z niecierpliwości palcem wybrałam numer jego komórki.

Nie dałam mu czasu na powiedzenie „halo”.

- Nie przeszkadzam?

- Przeszkadzasz. Jestem właśnie w trakcie myślenia o tobie. Mówiłem sobie: być może jutro...

Jego głos przełamał moje ostatnie opory. Przycisnęłam słuchawkę do ucha.

- Muszę się z tobą zobaczyć, Danielu.

- Masz głos jak z tamtych najgorszych nocy... Coś nie tak?

- Nie tak. Już nie żyję. Potrzebuję ciebie. Potrzebuję ciebie teraz.

- Jadę po ciebie.

- Nie! Sama przyjadę. Jesteś tam, tak?

- Tak. Jestem tam.

- Mógłbyś pogasić wszystkie światła?

- Już są pogaszone. Czekał na ciebie.

Rozłączył się. Naprzeciwko gołąb zatrzepotał skrzydłami w świetle latarni. Razem z nim uleciała żelazna sztaba, która od tygodni przygniatała mi pierś. W moich żyłach znowu krążyła krew.

Poczułam się lekka.

Wyzwolona.

Ścisnęłam pasek mojego białego nieprzemakalnego płaszcza. Sam czekał na mnie w korytarzu przy drzwiach.

- Wychodzisz?

Stałam z wyprostowaną głową. Powiedziałam, że chcę się zobaczyć z Danielem. Nic na to nie poradzę. To jest silniejsze ode mnie. Zbyt wiele dla mnie znaczy. Już dłużej nie mogę walczyć ze sobą.

Nie wydawał się zdziwiony. Wiedział, że to nastąpi. Nawet nie zapytał, kiedy wrócę.

To ja go objęłam i długo trzymałam w ramionach.

- Nigdy nie przestanę cię kochać, Sam. Jesteś moim mężem, moim szalonym aniołem stróżem, moim wielkim bratem, moim uzdrowicielem.

Powiedział tylko:

- Wszystkim naraz! Chciałbym być twoim facetem, najzwyczajniej w świecie.

Pocałował mnie w skroń. Wyrwałam się. Złapał mnie na podeście.

- Powiedz mi prawdę: czy to jest dla nas groźne? Dla naszej przyszłości? Dla Elzy?

Powiedział o jedno zdanie za dużo. Zbuntowałam się.

- Niebezpieczne dla mnie, Sam!

Odwróciłam się i zaczęłam schodzić na dół. Coraz szybciej.

Usłyszałam cichutki trzask zamykających się drzwi.

Jej oczy zatapiają się w jego oczach. Nic nie mówią. Prawie nie oddychają. Trwają tak twarzami do siebie na podeście piątego piętra, chcą nasycić się wzrokiem.

Tak jak prosiła Aurora, w mieszkaniu nie pali się ani jedna lampa. Oświeca ich tylko ostre światło żarówek na klatce schodowej. Czekaają, aż wyłączy się automat.

Tik-tak-tik-tak tik-tak... Klak!

Teraz spowija ich mrok, ale rozpoznają się jeszcze. W ciemności ich dłonie nie muszą się szukać.

Daniel przyciąga Aurorę ku sobie jak magnes. Zataczają się. Uderzają o ścianę. W miłosnym uścisku tracą równowagę. Wspólne czekanie przeobraziło ich pożądanie w niewypowiedziane żarłocznego potwora.

Splatają się ze sobą. Potykają. Przewracają na podłogę korytarza. Ich łapczywe dłonie giną pod ubraniami. Szarpią je, drą. Przetaczają się przez siebie, drapią paznokciami jak młode dzikie zwierzęta.

Ich oddech jest coraz szybszy. Ich serca tracą rozum.

Ich twarze są tuż obok siebie. Twarz Daniela nad twarzą Aurory. Muskają się.

Stapiają się w jedno.

Z oczu Aurory tryskają łzy.

Daniel osusza je wargami.

- Dlaczego płaczesz?

- Bo jestem szczęśliwa - mówi i przyciąga go jak najbliżej siebie. - Jestem szczęśliwa! - powtarza jednym tchem.

Aurora siedzi skulona na podłodze.

Nie chce znać godziny. Czeka na Daniela, który w kuchni przygotowuje kawę. Gwiżdże *Ma plus belle histoire d'amour, c'est vous*. Bardzo fałszuje, w jazzującym rytmie własnego pomysłu. Aurora uśmiecha się. Nuci razem z nim refren.

Jej ręka waha się przy wyłączniku halogenowej lampy.

Umiała poruszać się tutaj na pamięć. To dlatego poprosiła Daniela, żeby pogasił wszystkie światła. To właśnie tutaj, a nie gdzie indziej, chciała wrócić.

Do nich.

Nastawia potencjometr na minimum. Wciska włącznik halogenu.

W porządku. Żadnych zawrotów głowy. Żadnego drżenia. Żadnego niepokoju.

Dobre samopoczucie nie znika.

Ogląda każdy szczegół w salonie, który nie zmienił się przez te wszystkie lata. Albo bardzo niewiele. Ta sama stara kanapa z popękaną skórą. Tak samo porzrzucone gazety i książki na niskim stole. Te same zachody słońca Turnera na ścianie.

Zdjęcie z muzeum Rodina na swoim miejscu, obok grzbietów Serie Noire.

Tak, Aurora może się tutaj poruszać na pamięć. Zauważa, że ogarnia ją błogi spokój i uczucie spełnienia na pobojoisku ich porzrzuconych ubrań.

Bierze koszulę Daniela i wkłada na siebie. Słyszy skrzypienie klepek podłogi pod jego bosymi stopami. Założy się, że przewiązał biodra ręcznikiem.

Wygrała.

Daniel kładzie między nimi wiklinową tackę. Nalewa kawę do wyszczerbionych czarek. Stukają się nimi.

- Postarałeś się, żeby było bardzo, ale to bardzo mocne, no nie? - mówi Aurora.

Daniel kiwa głową:

- Ty też! To było... wystrzałowe! Aurora śmieje się z jego umyślnej pomyłki.

- Mam na myśli kawę. Ty maniak!

Teraz Daniel się śmieje. Połyka haust kawy. Klaska językiem o podniebienie:

- Dynamit. Najmniejszej szansy na zmrużenie oka.

- Mam nadzieję, ponieważ nie skończyłam z tobą, łajdaku! Daj mi rękę.

- Ach! Czy to oświadczyły?

Uśmiecha się do niego. On wyciąga w jej stronę rękę. Otwartym wnętrzem do góry.

Aurora rozrywa zębami torebeczkę z cukrem pudrem. Nie wsypuje go do swojej czarki z kawą. Posypuje nim dłoń Daniela.

- Tej nocy nie chcę nic z ciebie uronić.

Pochyliła się i zlizuje cukier, nie spuszczając oczu z Daniela.

Daniel jest niespokojny. Podnieca go ten wilgotny i ciepły kontakt. Kładzie palec wskazujący na słodkich wargach Aurory. Pieści je od środka, przedziera się, wślizguje między zęby Aurory i parzy się od jej gorącego języka.

Ona gryzie go delikatnie.

Daniel wysuwa palec, wodzi nim wokół zarysu jej brody, wzdłuż linii szyi. Rozchyła zapięcie koszuli. Zwleka przy aureoli sutka. Rysuje arabeski na skórze brzucha.

Oczy Daniela są jak rozżarzone węgle, od których zapalają się jej oczy.

Czuje jego ciało, które drży i znowu ją przyzywa.

- Zanieś mnie do naszej sypialni.

Daniel bierze ją w ramiona. Jego pożądanie rośnie z każdym krokiem. Popycha drzwi nogą. Kładzie ją na metalowym łóżku.

Schyła się nad nią. Wchodzi w nią. Szepcze gorączkowo:

- Jesteś moim życiem.

DANIEL

Już wstaje świt, moja piękna Auroro!

Przez żaluzje pierwszy dzień lata kładzie swój znak na jej twarzy. Z cienia i ze światła układa prążki na jej ciele. Spisz na brzuchu, z głową na mojej piersi. Z prawym ramieniem pod moją szyją. Lewe wyciągnięte pod poduszką. Włosy spływają ci na plecy jak czarne algi. Słucham fal twego spokojnego oddechu.

Pograżam się w kontemplacji twoich nagich pleców. Twojej wąskiej talii. Wypukłych bioder. Przypominasz *Danaidę* naszego kumpla Rodina. Taka sama perfekcja. Żeby podobieństwo było doskonalsze, nieśmiało podnoszę twoje włosy i odsłaniam kark. Składam na nim pocałunek. Lekki jak motyl.

Ledwo zadrzałaś. Dostaję gęziej skórki.

Poruszony jak pierwszego dnia. Jesteś taka nieludzko piękna w tym bezruchu spowodowanym snem.

Pragnąłbym, żebyś się nie budziła, żebyś została przy mnie. Na zawsze.

Gdy już zamieszkamy razem...

Zamrugłaś powiekami i twoje rzęsy połaskotały moją skórę na obojczyku, przerywając nić marzeń.

- Powiedz, o czym myślisz - prosisz, nie ruszając się.

Zwlekam z odpowiedzią. Boję się, żebyś nie wpadła w popłoch, słuchając moich planów na przyszłość. Nalegasz. Nie powinienem niczego przed tobą ukrywać. Nie tego ranka. No dobrze, trudno, niech się dzieje, co chce:

- Gdy już zamieszkamy razem, przemeblujemy mieszkanie. Wystartujemy od początku w zupełnie nowe życie.

Nie protestujesz. Nie kulisz się. Przeciwnie, wyciągasz się na mnie. Kładziesz policzek trochę wyżej, na moim ramieniu. Kontynuuję, czuję się pewniej:

- Po pierwsze, postaramy się o ładniejsze i większe mieszkanie w innej dzielnicy. A może wynajmiemy na wybrzeżu dom z różowego granitu, jeśli będziesz wołała. Bardzo podoba mi się ta mała! Wygląda na inteligentną, wrażliwą i z tupetem. Poza tym jest piękna jak marzenie.

Odwracasz się. Ofiarowujesz mi twarz z naszych dawnych poranków. Swoje promienne spojrzenie.

- Nie wiesz, co mówisz... Nawet jej nie znasz!

- Ależ tak, ależ tak! No cóż... Śledziłem was z daleka wiele razy, was obie.

- Co? Odważyłeś się?

Podrywasz się i jednym susem wskakujesz na mnie. Więżesz mój tors między udami i podwijasz rękawy koszuli. Mały urwis, który szuka zwady.

- Co za ohyda śledzić dziewczęta na ulicy! Rozwalę ci pysk, uważaj, zaraz się przekonasz. Co masz na swoją obronę, kolego?

Wymachujesz pięścią. Udaję, że zasłaniam twarz: nie, litości! To była gardłowa sprawa, być albo nie być! Musiałem cię zobaczyć. Inaczej bym nie wytrzymał!

Wydajesz się bardziej niż usatysfakcjonowana moimi argumentami. Całujesz mnie nawet. Jakoś się obroniłem.

Patrzę na ciebie, gdy wychodzisz z łóżka. Otwierasz okno, podnosisz żaluzje. Stoisz do mnie plecami i upajasz się świtem, który pieści dachy Paryża.

Słyszę twój głos, wyraźny i pogodny:

- To prawda, moja córka jest wspaniała! Wiesz, o co mnie poprosiła pewnego dnia? O fotografię Mariny. Zachowałeś jakąś?

Czuję skurcz żołądka. Nie potrafiłbym dokładnie powiedzieć dlaczego. Uprzytomniłem sobie, że tej nocy zapomniałem o Marinie. Byłaś tylko ty. Tylko my. Nie tacy jak przed dwunastu laty. Tacy jak dziś. Jak jutro. Myślałem, że czujesz to samo. Nie. To nie to samo.

Waham się, co ci odpowiedzieć. Dzisiaj mówimy sobie wszystko. A zatem mówię prawdę:

- Mam jej wszystkie fotografie. Także kasety.

- Oglądałeś je?

Dlaczego się nie odwracasz? Chciałbym widzieć twoje oczy, gdy o niej mówisz. Chciałbym mieć pewność, że...

Odpowiadam, że nie, że ich nie oglądałem. Nie mogłem. Nie miałem siły.

Wreszcie odwracasz się w moją stronę. Uśmiechasz się niewinnie i odważnie zarazem.

- Jestem pewna - mówisz - że ze mną będziesz mógł... Włącz magnetowid!

Daniel zostawia Aurorę samą i idzie wygrzebać kasety z dna kartonu.

Aurora wychodzi z sypialni. Jest jeszcze jedno miejsce, które chce zobaczyć w tym mieszkaniu z przeszłości.

Posuwa się wolnym krokiem wzdłuż korytarza, ze wzrokiem utkwionym w drzwi w głębi, i zatrzymuje się przed nimi.

Kolorowe drewniane literki tworzące imię Mariny dawno odpadły, można jednak jeszcze rozszyfrować napis. Farba pod literami zachowała żywszy odcień niż ta na drzwiach. Aurora wodzi po nich palcami. Literka po literce pisze imię swojej córki. Marina na nowo żyje. Nie tylko w jej sercu. Nie tylko w jej wspomnieniu. Żyje naprawdę. Odżywa. Aurora słyszy jej szczebiot za drzwiami pośród pobrzękiwań grzechotki.

Aurora uśmiecha się. Postąpiła słusznie, że wróciła. Wiedziała, że Marina tu będzie, że zjawi się na spotkanie. Już się nie waha, przekręca gałkę. Wchodzi do pustego pokoju.

Zamknięte okiennice. Zaciągnięte zasłony. W rogu pokoju lampka z gwiaździstym abażurem. Aurora włącza ją. Śledzi błyszczące gwiazdki wędrujące po ścianach pokoju.

Wyczarowują dla niej łóżeczko z białymi sztachetkami, stół do przewijania. Oświetlają po kolei „Ohe matelot”. Szmacianego diabełka. Pudło z zabawkami. Mobil z mewami i rybkami zawieszony u sufitu też zostaje wprawiony w ruch.

Wszystko tutaj jest. Nietknięte. W oczach Aurory nie ma w tym nic ze snu. To rzeczywistość. Jej obłędna rzeczywistość.

I czuje się z tym szczęśliwa. Zaczyna wirować razem z gwiazdami. Jej oczy zamykają się ze szczęścia.

W uchylonych drzwiach rysuje się profil Daniela. Widzi, jak Aurora kręci się w koło pośrodku pustego pokoju, i słyszy jej szept:

- Moje maleństwo, moje maleństwo... Więc jesteś tutaj, mój marynarzyku? Wróciłaś razem z mamą!

Niepokój, który go ogarnia, jest okrutnie intensywny. Cierpi za nią. Rozdziera go smutek.

Daniel wchodzi do pokoju. Wstępuje w krąg gwiazd i unieruchamia Aurorę w ramionach. Błaga, żeby otworzyła oczy. Żeby razem z nim wróciła. Spojrzała na niego.

Posłusznie poddaje się jego woli. I wszystko się rozplywa.

Pokój znowu jest pusty. Nie słyhać już gaworzenia. Grzechotki. Nic. Z oczu Aurory płyną łzy. Obejmuje Daniela za szyję. Głos jej się łamie:

- Dlaczego ona odeszła? Dlaczego? Była taka piękna. Taka szczęśliwa, że żyje...

Daniel trzyma ją mocno w objęciach, żeby uspokoić szloch, który nią wstrząsa. Mówi to, co chciałaby usłyszeć. Marina nie odeszła. Przecież oboje o tym doskonale wiemy: jest tylko nieobecna.

Nieobecna.

Aurora słucha go uważnie. On, mówiąc, gładzi jej włosy. Ona się uspokaja.

Wychodzą z pokoju. Daniel zamyka drzwi. Złorzeczy sobie, że wyjął lampkę i umieścił ją w pokoju Mariny.

Aurora nie ponawia prośby o obejrzenie kaset. Daniel nie wspomina, że wszystko przygotował.

Aurora ubiera się pośpiesznie.

- Odwieziesz mnie? Proszę. Wkrótce obudzi się Elza...

Daniel wolałby, żeby jeszcze trochę została, ale nie nalega. Rozumie, że chce wrócić do siebie i zobaczyć Elzę, zanim dziewczynka wyjdzie do szkoły.

Zobaczyć Elzę. Wziąć ją w ramiona.

Jest prawie wpół do siódmej. Tej nocy Sam nie zmrużył oka.

Jest wykończony. Z niepokoju. Z cierpienia. Z goryczy, że pozwolił jej wyjść. Także z wściekłości. Jest wykończony na wszystkie możliwe sposoby.

Stoi przy drzwiach balkonowych. Obserwuje każdy przejeżdżający samochód. Ma nadzieję, że ją zobaczy idącą ulicą. Boi się, że tak późno wraca. A raczej że może wcale nie wróci.

Podrywa się na dźwięk głosu Elzy:

- Dzień dobry, tatusiu! Co robisz w oknie?

Nic jej nie zostało oszczędzone. Trzeba będzie śmiało spojrzeć małej w oczy. Powiedzieć, że mamy nie ma. Że spędza noc poza domem. Dlaczego? Jak? U kogo? Wykluczone. Brakuje mu odwagi.

Najpierw, nim stawi czoło, przykleja sobie uśmiech do twarzy:

- Co ty wyprawiasz? Spadłaś z łóżka, że już jesteś na nogach?

Elza przeciera oczy. Przyszła pocałować tatusia.

- Gdzie jest mama? Nie ma jej w waszej sypialni. Myśli Sama biegną w zawrotnym tempie. Nie przygotował odpowiedzi na to pytanie.

- Mama poszła po bułeczki - zmyśla. - Wróci za pięć minut. Jeżeli zobaczy, że tak wczesnie wstałaś, nie będzie zachwycona. Znasz ją, prawda? No, szybko, kładź się z powrotem! Przyniosę ci do łóżka śniadanie, księżniczko!

Elza kiwa głową. Wychodzi z pokoju zachwycona.

- Do łóżka? Naprawdę? W takim razie zgoda! Kiedy zniknęła, Sam wkłada kurtkę.

Wpół do siódmej.

Wybiega z domu. Właśnie przed chwilą otworzyli piekarnię na rogu ulicy. Zapach świeżego chleba i słodkich bułeczek podnosi go na duchu.

Wychodzi z piekarni z papierową torbą pełną pieczywa. Drży z zimna, chociaż powietrze jest łagodne. Zdrętwiały mu palce. Przyśpiesza kroku.

Może wróciła podczas jego krótkiej nieobecności? Długo zastanawia się przy zakodowanym automacie do domu. Myli kolejność cyfr. Próbuje trzy razy z rzędu. Denerwuje się. Otwiera kluczem.

Ciężkie dębowe drzwi już, już mają się zatrzasnąć, gdy Sam słyszy warkot silnika. Samochód zwalnia przed domem.

Zdażył zablokować drzwi nogą.

Samochód, ciemnoatramentowy megane, zatrzymuje się.

Pomimo odbłasków na przedniej szybie, udaje mu się dojrzeć dwie sylwetki. Obok mężczyzny za kierownicą siedzi Aurora.

Nie od razu wysiada. Patrzą na siebie. Rozmawiają. Sam przeżywa udawkę. Widzi, jak Aurora opuszcza osłonę przeciwsłoneczną. Domyśla się, że za chwilę poprawi sobie makijaż. Zatuszuje ślady tej nocy.

Powstrzymuje się, żeby nie wrzeszczeć. Ma ochotę skoczyć, otworzyć drzwi samochodu i wywlec Aurorę siłą ze środka.

Wyciąga nogę i odblokowuje drzwi. Odgłos zamykania niesie się echem jak dzwon żałobny we mgle. Posepnie.

Próbuje panować nad oddechem. Kontrolować pulsującą wściekłość, która go zalewa.

Zaciska szczęki, opiera się plecami o skrzynkę pocztową. Próbuje nie myśleć.

Na próżno: wyobraża sobie scenę pożegnania, tam, w meganie. Sceny przeszłych spotkań. Tych wszystkich „kocham cię”, „nie opuszczaj mnie”, „zostań jeszcze trochę”. Tę całą masę niestrawnych banałów.

Słyszy to wszystko, jakby się znajdował na tylnym siedzeniu.

I to go dobija.

DANIEL

Na zewnątrz jest tylko świt.

Gwiazda dnia zgasła w samochodzie. Obok mnie. Gwiazda dnia maluje rzęsy na czarno. Kładzie trochę różu na wargi. Każdy z jej gestów przybliży chwilę rozstania.

Gdybym mógł, przywiązałbym ją do fotela i nie pozwolił odejść. Skrepowałbym ją, zakneblował. Uwięził w samym środku najodleglejszej pustyni. Zajmowałbym się nią od rana do wieczora. I także w nocy. A zwłaszcza w nocy.

Gdybym mógł.

Niestety, nie pozostaje mi nic innego, jak udawać, że jestem heliotropem - przyrządem rejestrującym zniknięcie swojej racji istnienia za linią horyzontu.

Na koniec Aurora przygląda palcami włosy. Podnosi osłonę przeciwsłoneczną:

- Może być? Wyglądam jako tako? Powstrzymuję się, żeby się na nią nie rzucić i nie

zgwałcić.

- Nie. Jesteś szpetna! Jesteś cała pomięta. Masz zupełnie żółte białka oczu. Purpurowy nos. Włosy jak strąki...

Rozśmieszam ją tymi wygłupami.

Nietrudno ją rozbawić, mimo że nie jestem w najlepszej

formie. Widać wyraźnie, że ostatnio nie uczęszczam do szkoły cyrkowej.

Kładzie mi rękę na udzie. Pociesza, jakbym był małym chłopcem wyjeżdżającym na kolonie:

- Nie smuć się... Obiecałeś! Wkrótce się zobaczymy. Wkrótce! To zbyt długo.

- Nawet godzina bez ciebie to też za długo! Zdajesz sobie sprawę...

Ona spogląda na zegar na tablicy rozdzielczej. Już trzyma rękę na klamce drzwi. Patrzy na mnie, przechylając głowę. Nie odchodź, zanim nie powiesz, kiedy będę miał prawo do mojej następnej działki, błagam cię. Zdaje się słyszeć moje myśli. Wypowiada kilka cudownych zdań, które od razu rozjaśniają moje niebo:

- Sam zabiera Elżę na wakacje... Na cały lipiec. Będziemy się widywali każdego dnia, każdej nocy. Przysięgam ci... Nie rozstaniemy się ani na chwilę.

Otwieram usta ze zdumienia. Nie tylko z powodu tego, co ona mówi. Z powodu sposobu, w jaki to mówi - każda wypowiedziana przez nią sylaba błyszczy i lśni. A jej źrenice, żarliwe i przepastne, aż jaśnieją z radości.

Uśmiecham się, cały rozpromieniony. Też moglibyśmy wyjechać, czemu nie? Daleko stąd, na parę dni.

Aurora bierze mnie za rękę. Szepcze głosem zakochanej kobiety:

- Pojadę wszędzie, gdzie zechcesz. Powiedz tylko.

- Wiesz dokąd.

Oczywiście, że wie. Na naszą wyspę, na Bréhat. Pokój numer 7. Hotel Bellevue. Ociera policzek o moją dłoń.

- Byłeś tam?

- Nie... Chciałabyś?

Westchnienie Aurory przepojone jest wzruszeniem. Ścisną moją rękę. Prowadzi ją w wycięcie bluzki. Przyciska ze wszystkich sił do swojej lewej piersi.

Wyczuwam pulsowanie jej krwi, tam, pod ręką. Szybkie. Wzburzone.

Mruży oczy:

- Czujesz, jak tego chcę?

Rozchyła wargi. Doznaję lekkiego zawrotu głowy.

Zatracamy się w ostatnim pocałunku.

Pozwalam jej odejść. Bez smutku i bez niepokoju. Czekam, kiedy przekroczy bramę swojego domu, żeby wcisnąć sprzęgło. Bez przykrości godzę się na dziewięć dni, które nas jeszcze dzielą.

Mam ochotę tańczyć. Śpiewać w deszczu, nawet jeżeli nie pada.

Tym razem wiem, że ona do mnie wróciła. Na dobre.

Że szczęście otwiera do nas szeroko ramiona. Że na nas czeka na progu drzwi i daje nam znak, abyśmy weszli bez obawy. Jest dla nas miejsce.

Wreszcie.

AURORA

- No i co, lepiej ci? Nadal tak dobrze pieprzy?

W holu budynku panował półmrok. Bardziej od brutalności jego słów poraziły mnie gniewne błyski w oczach Sama. Nie czekałam na uśmiechy i powitalne girlandy kwiatów. Nie. Byłam świadoma, że po tym, co zrobiłam, zasłużyłam na jego nienawiść. Byłam tego świadoma, ale zupełnie nie czułam się winna. Moja noc z Danielem była wpisana w mój kod genetyczny. Zaprogramowana. Nieunikniona. A na domiar wszystkiego jeszcze ten rodzaj fa-talistycznego pożądania, które we mnie tkwiło.

Żadnych wyrzutów sumienia, żadnego żalu.

Sądziłam, że Sam przyjmie mnie ozięble. Byłam na to przygotowana. Ale nie na ordynarną scenę pospolitej zazdrości. Nie życzyłam sobie tego. To mnie nie dotyczyło.

Spuściłam oczy. Bez słowa szłam przez hol z mocnym postanowieniem uniknięcia bezpośredniej konfrontacji. Złapał mnie za ramię:

- Nie masz mi nic do powiedzenia? Nie raczysz odpowiadać? No więc jak było?

Usłyszałam trzask rozdzieranego rękawa mojego płaszcza. Popchnął mnie na długi rząd skrzynek pocztowych. Z wściekłością:

- Odpowiedz mi, do jasnej cholery!

- Sam, proszę cię! Nie krzycz!

Jego twarz tuż obok mojej. Usta wykrzywione w grymasie nienawiści.

- Ach, przepraszam! Zapomniałem... Bądź cicho, Sam. Do nogi, dobry piesku! Kobieta, którą kocham, pozwala się przelatywać swojemu byłemu kochankowi, a ja mam milczeć!

Jego oddech przesycony zapachem czarnej kawy przypawił mnie o mdłości. Odepchnęłam go. Odwróciłam głowę. Zatkiałam uszy.

- Zamknij się! Jesteś ohydny! - krzyknęłam.

- Jak ty wyglądasz! Wracasz nad ranem, ukradkiem jak złodziej. Nie panujesz nad sobą. Przestałaś nawet myśleć. Żeby chociaż ta przygoda dała ci szczęście! Tymczasem jesteście żałośni. Wszystko, co jest między wami, jest tandetne!

Moja ręka poleciała w stronę jego twarzy. Zablokował ją skutecznie. Miażdżył mi nadgarstek. Kontynuował lodowato:

- Jesteście nędzni, prostacy. Wasza miłość to przebrzmiała melodia!

Każde jego słowo było strumieniem witriolu. Poczułam, że się kurczę. Błagałam go. Chciałam, żeby to się skończyło. Zagroziłam, że natychmiast odejdę, jeżeli nie przestanie. Pomyliłam się.

Otworzył na oścież drzwi:

- **Okay**, wynoś się! Wreszcie podejmij decyzję, chociaż raz! Spieprzaj, zabieraj się. Zostaw mnie. Zostaw nas!

Zamurowało mnie. Odebrało mi oddech. Nie byłam w stanie zrobić kroku. Nie byłam w stanie odejść od niego. Odejść od Elzy. Nie byłam w stanie zrezygnować z Daniela. Nie byłam zdolna do niczego. Zdałam sobie sprawę, że zapędziłam się w ślepą uliczkę.

Sam nie odzywał się, tylko spoglądał na mnie z wyrazem politowania. Przeglądałam się w jego oczach i znieawidziłam siebie. Czułam, że tracę grunt pod nogami.

Z trudem wyartykułowałam:

- Nie mogę...

Sam westchnął. Wcisnął mi w rękę torbę z piekarni:

- Powiedziałem Elzie, że zesłaś na dół po pieczywo. Proszę cię tylko o jedno: nigdy więcej nie każ mi okłamywać mojej córki.

W ciągu następnych dni Sam próbował zaleczać rany, które tamta straszna scena otworzyła w każdym z nas. Rano zadzwonił do mnie ze szpitala. I po południu. Kilka razy. Dowiadywał się, co u mnie słychać, z troskliwością starego, wiernego przyjaciela u wezglowia chorego. Dostałam nawet kwiaty z karteczką od niego: ***Zazdrość to trucizna miłości. Szukam antidotum. Zaufaj mi, na pewno je znajdę.***

Ja z kolei poświęcałam dużo czasu Elzie. Byłyśmy zaaferowane przygotowaniami do ich podróży, której termin przybliżał się w miarę zbliżającego się końca roku szkolnego. Mapy południowego Pacyfiku. Państw, nad którymi będą lecieć. Wypad do Papeete. Na Mooréa.

Byłam wzruszona. I uspokojona. Sam zawsze wychodził obronną ręką. Odnalazł w sobie siłę. Pozbierał się.

Co do mnie, też się pozbierałam.

Mój lekarz oprócz valium zapisał mi prozac. Poruszałam się na oślep we mgle, zawieszona między snem i jawą. W jednej chwili napływały mi do oczu łzy i czułam gorączkowe podniecenie. Bez oczywistej przyczyny przechodziłam od stanu obłądnego optymizmu do bezdenne pesymizmu.

Wstawałam w nocy, dziesięć po trzeciej.

Tak naprawdę nie brakowało mi Daniela, ponieważ wiedziałam, że każda upływająca godzina przybliżyła mnie do niego. Zadzwoniłam do niego dzisiaj rano. Na króciutko. Dla samej przyjemności usłyszenia jego głosu. I żeby on mnie usłyszał. Mówiłam wyraźnie. Myślałam trzeźwo. Niewiarygodne, do jakiego stopnia stawałam się przy nim inna. Wesoła i niefrasobliwa. Wyzwolona na czas trwania rozmowy.

Później połączyłam się z Anouk. Od dawna z nią już nie

gadałam. Nie powiedziałam nic ważnego. Zaprosiłam ją na urodziny Elzy, dzisiaj wieczorem, do domu.

Wyczułam jej wahanie. Wyznała, że poszła na lampkę wina z Samem, a on jej opowiedział, co się stało. Nasze małżeństwo było zdane na łaskę losu i to ją przerażało. Powiedziała, że nie ma ochoty na to patrzeć ani się wtrącać.

- Bardzo was lubię, oboje. To wszystko jest zbyt paskudne!

Nalegałam. Potrzebna mi była jej obecność tego wieczoru. Bałam się, że te urodziny mogą być ostatnie, jakie obchodzimy razem, Sam, Elza i ja. Bałam się, że wyσιάdą mi nerwy i popsuje imprezę.

- Zrób to dla Elzy... Uszczęśliwisz ją swoim przyjściem. I przyjdź też dla mnie. Proszę cię o to.

Anouk nigdy nie umiała odmówić mojej prośbie. Zapytała:

- Przynieść tort?

- Nie. Tortem ja się zajmę. Czekoladę - gorzką i twardą!

- Tort! Tort! Tort!

Słyszałam ich krzyki z drugiego końca mieszkania, lekko tylko wyciszone drzwiami kuchni, które zamknęłam, żeby zaskoczenie było zupełne.

Szalejący biesiadnicy skandowali chórem, przytupując do taktu. Głosy Anouk i Sama. Głos Elzy i całej gromady jej kumpelek, na tę okazję poprzebieranych po tahitań-sku - wszystkie te głosy mieszały się, żeby wrzaskiem domagać się głównej atrakcji wieczoru.

- Tort! Tort! Tort!

To była piękna uroczystość. Prawdziwie piękne święto, takie jakiego pragnęłam. Bez żadnych złych prądów. Bez fałszywych nutek. Z girlandami marszczonej bibułki, pękami serpentyn i każdą ilością konfetti. Z nieprzerwanym śmiechem. Z dużą ilością koli dla dzieci.

I sporo szampana dla dorosłych. Uwielbiam szampana.

Wypiłam do dna kieliszek, który ze sobą przyniosłam. Byłam w doskonałej formie. Odprężona. Odrobineczkę

podchmielona. Ściany falowały leniwie dookoła. Całkiem przyjemne było to uczucie unoszenia się dziesięć centymetrów nad ziemią.

Śmiałam się sama do siebie. Prozac plus szampan i valium okazały się rewelacyjnym koktajlem na samopoczucie. Będę musiała porozmawiać o tym z lekarzem. Już widzę jego minę.

Wyjęłam urodzinowe świece z firmowego opakowania.

Tort był ogromny. Czarna czekoladowa polewa idealna. Gładka jak tafla jeziora. Pogratulowałam sobie. Byłam najdoskonalsza! Najdoskonalsza kucharka. Najdoskonalsza matka. Najdoskonalsza żona. Najdoskonalsza kochanka. *Number one* we wszystkich kategoriach. Bezkonkurencyjna.

Zaśmiałam się jeszcze raz. Nie przestawałam się śmiać. Sama, w kuchni.

Zaśpiewałam półgłosem „sto lat”, wtykając świece w ciasto.

Zrobiło mi się smutno. Pociemniało mi w oczach. Ile masz teraz lat, moja śliczna Marino?

Policzyłam na palcach. Dziesięć? Nie. Tyle ma Elza, twoja młodsza siostra. Zaczęłam liczyć od nowa. Dwanaście, to się zgadza. Dwanaście maleńkich różowych świeczek... Czas szybko minął. Nie widziałam cię, jak ro-śniesz. Popatrz, ten piękny tort jest dla ciebie. To dla ciebie domagają się go wszyscy. Słyszysz, jak skandują?

- Tort! Tort! Tort!

Umieściłam w nim dwanaście świeczek. Usiadłam i zapaliłam je po kolei, parząc sobie palce. Żółte i niebieskie płomyczki utworzyły wielkie M. Wyłaniała się z nich twoja twarz, właściwie kilka nakładających się na siebie wizerunków. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Marino.

Sam wszedł do kuchni z rozradowaną miną:

- Hej, szefowo! To pilne! Znosi się na rozruchy! Podniosłam do góry tort i uśmiechnęłam się do niego

jak najserdeczniej:

- Popatrz, jaki jest piękny z tymi świeczkami!

Popatrzył i twarz mu stężała.

- Kompletnie ci odbiło, Auroro!

Wyjął tort z moich rąk. Wyciągnął dwie świece i rozdeptał je na podłodze. Z tych, które zostały, utworzył duże E.

- To są urodziny Elzy! Elzy! Czy to ci coś mówi?

Ze zdumienia zabrakło mi słów. Jak mogłam... Co ja zrobiłam? Zwariowałam, tak, zwariowałam. Sam ma rację.

Rzucił mi surowe, oschłe spojrzenie i wyszedł z kuchni, śpiewając drżącym głosem „Sto lat, Elzo”.

Pozbierałam okruchy rozgniecionych świeczek i wrzuciłam do pojemnika na śmieci. Padłam na kolana. Ukryłam twarz w dłoniach.

Chciało mi się płakać, a zaśmiałam się. Śmiałam się aż do utraty tchu. Śmiałam się jak osoba niezrównowazona, którą byłam.

DANIEL

Odliczanie dobiega końca, a ja pławię się w szczęściu. Tak bardzo jestem podekscytowany bliskim terminem wspólnego wyjazdu, że zniósłbym nawet zwłokę o kilka dni. Nie, żartuję. Na myśl o choćby najmniejszym opóźnieniu, o jakiegokolwiek przeszkodzie w ostatniej chwili robi mi się słabo.

Ale nie mam się czego obawiać. Wszystko odbędzie się tak, jak uzgodniliśmy z Aurorą. Jestem tego pewien. Umówiliśmy się na jutro rano. Punkt dziesiąta zaparkuję pod jej domem. Pięć godzin później znajdziemy się na przylądku Arcouest. Zdamy jeszcze złapać prom na Bréhat o wpół do szóstej. O szóstej będziemy już w naszym pokoju w hotelu Bellevue, z jego pomalowanymi w muszelki tapetami, małym łóżkiem pomalowanym na niebiesko

i malutkim oknem wychodzącym na port.

Wszystko zorganizowane. Obliczone z zegarkiem w ręku. Mégane jest po przeglądzie. Zatankowany do pełna. Nawet prognozy meteorologiczne sprzyjają naszym planom. Deszcz w Paryżu, przepiękna pogoda w całej Bretanii. Przed wyjazdem zadzwonię do hotelu i potwierdzę rezerwację pokoju numer 7. Nie chcę niczego pozostawiać ślepemu losowi.

Wiadomo, los potrafi płatać figle.

Głaszczę brązową statuetkę, wierną replikę *Pocatunku*, która od dwunastu lat zajmuje poczesne miejsce na moim biurku. Może mógłbym ich zabrać razem z nami, Paolę i Francesca. Przyniosą nam szczęście. Jak pierwszego dnia.

Co to za hałas na korytarzu? Słyszę głos Michała użerającego się z jakimś niepożądanym gościem. W roli cerbera zupełnie się nie sprawdza. Ilekroć chce zademonstrować swoją władzę, zaczyna mówić dyszkantem. Piszczy:

- Nie, proszę pana! Nie może pan wejść! Nie był pan umówiony na spotkanie!

Sprawdzam w kalendarzu: nikogo nie oczekuję. Chyba że zapomniałem zanotować, co mi się często zdarza. Za drzwiami Michał podnosi głos. Popiskuje komicznie:

- Pan Miller jest zajęty! Proszę nie nalegać! Podnoszę się z fotela. Trzeba zobaczyć, kto ośmiela się

męczyć starego Michała. Nie zdążyłem dojść do drzwi, gdy otworzyły się na oścież. Stał w nich mniej więcej czterdziestoletni typ, wielki i raczej przystojny facet o jasnym spojrzeniu i początkach łysiny czołowej. Za nim daremnie miotał się Michał, metr sześćdziesiąt wzrostu.

Nigdy go nie widziałem, a mimo to od razu rozpoznałem. Instynktownie.

Odrzuca mnie od niego bez udziału mojej świadomości. Zwraca się do mnie wprost, ignorując mojego ojca. Chce ze mną rozmawiać w cztery oczy. Sprawa osobista i bardzo ważna.

Michał rzuca mi pełne zgorzenia spojrzenie i wycofuje się. Wreszcie zrozumiał, że nie uczestniczy w tej grze.

Nie odzywam się słowem do męża Aurory. Nie mam mu nic do powiedzenia. Otwieram i zamykam pokrywę zapalniczki. Czekam. Przyglądam mu się z uwagą. On także.

- Jestem... - zaczyna, ale ja mu z mety przerywam. Naprawdę nie życzę sobie, żeby mi się przedstawiał.

Mąż Aurory! Śmiechu warte.

- Wiem, kim pan jest. A teraz *ciao!* Nie chcę pana znać. Dla mnie pan nie istnieje!

Energicznym ruchem nogi zatrzaskuje za sobą drzwi.

- Niemniej jednak wysłucha mnie pan!

Toczy się ku mnie jak walec drogowy, nie spuszczać ze mnie oczu. W jego zachowaniu nie wyczuwam agresji. Jedynie determinację, nieugiętą jak hartowana stal. Nawet uzbrojony po zęby batalion amerykańskiej armii nie powstrzymałby go przed wyrzuceniem z siebie tego, co mu leży na sercu.

- Wyjeżdżam jutro rano z moją córką... Uśmiecham się obłudnie:

- Bora-Bora? Jestem poinformowany. Ja natomiast jadę z Aurorą na Bréhat. Pan także jest poinformowany? A zatem wszystko w porządku. Każdy na swoją wyspę!

- Proszę pozwolić Aurorze jechać z nami. Proszę się z nią więcej nie spotykać. Niech ją pan zostawi w spokoju!

Wbrew sobie wybucham śmiechem.

Facet jest zwyczajnym błaznem. Zrekapitulujemy: miał Aurorę przez dziesięć lat, ale to się stało przez pomyłkę. Ukradł mi ją. Jest więc oszustem, pasożytem. Wkradł się w życie Aurory, wykorzystując jej słabość, a teraz ma czelność przychodzić tutaj, pod mój dach, i protestować, z tym tragiczno-komicznym tremolo w głosie.

Zapalam gitana i dmucham mu dymem prosto w nos. Replikuję, zachowując spokój. Sylabizuję starannie każde słowo, żeby dobrze wszystko zrozumiał:

- Zapomnina pan o jednym: Aurora mnie kocha. I ja ją kocham. Od zawsze. Zaczniemy życie od nowa. Tak to wygląda. Czy panu się to podoba, czy nie. Wszystko wróci do normy.

Widzę, jak potrząsa głową. Przypatruje mi się uważnie, z podejrzaną ironią, która wcale mi się nie podoba.

- Do normy? Uważa pan za normalne jej faszeringowanie się valium od chwili, kiedy pana spotkała? Że jak som-nambulik błądzi nocami po mieszkaniu? Że zamyka się w ciemnościach, aby rozmawiać ze zmarłą córeczką? I pan to uważa za normalne?

Przypływ adrenaliny zalewa mi mózg. Dlaczego on ze mną rozmawia o Marinie? Jakim prawem? I co ja najlep-

szego robię, wysłuchując go, tego kutasa? Dostyc tego, już dostyc się na niego napatrzyłem. Dostyc nasłuchałem. Czuję, że jeżeli nie wyniesie się stąd w ciągu pięciu sekund, pozbędę się go szybciej, niż sądzi.

- Zjeżdżaj! - warczę. - Zjeżdżaj, i to zaraz!

Nawet nie drgnął. Opiera się o krawędź biurka. Mówi:

- Jeszcze nie skończyłem. Aurora jest chora z pańskiego powodu. Psychicznie zaburzona. Nie pozwolę panu jej zniszczyć po raz drugi. Wasz związek jest niezdrowy. Jest... zabójczy.

Wzrok mi się mąci. Już nic nie rozumiem. Chcę tylko, żeby spieprzał. Zamknął się. Chwytam go za bluzę na piersiach i potrząsam nim z furją. Z pianą na ustach rzucam mu prosto w twarz:

- Przestań! Przestań wygadywać te brednie! Stul wreszcie pysk!

Nawet nie próbuje się wyrwać. Moja gestykulacja nie robi na nim wrażenia. Chciałbym, żeby uderzył pierwszy. Na próżno. Jego broń jest znacznie bardziej perwersyjna. Jest porażająca. Załatwia mnie nią bezlitośnie:

- Nigdy nie zbuduje pan z nią niczego. I doskonale pan wie, dlaczego. Między wami zawsze będzie trup! Trup Mariny!

Po raz pierwszy w życiu mam ochotę zabić. Pociemniało mi w oczach.

Uderzam na oślep, całą mocą mojej miłości do niej. Z całą nienawiścią, jaką żywię do niego, uderzam znowu.

Pęka mu prawy łuk brwiowy. Z dolnej wargi sączy się jaskrawoczerwona krew. Jest ogłuszony. Wali się z nóg. Moje ciosy są teraz dwa razy częstsze. Okładam go pięściami, kopię bez opamiętania. Nie mogę przestać go tłuc. Czubek mojego buta łąduje w miękkiej masie ciała.

Krzyczy. Zwija się z bólu. Jedną ręką trzyma się za brzuch, drugą zasłania głowę. Błaga, żebym przestał.

Nieznośny jest ten skamlący głos. Zaraz go uciszę na zawsze!

Czołga się w stronę drzwi, próbując umknąć przed moją rozszalałą furją. Szukam wzrokiem czegoś, czym

mógłbym go wykończyć. Mimo trudności ze skoncentrowaniem się na czymkolwiek, spostrzegam na biurku *Pocatunek*.

Moje spocone palce zaciskają się na statuetce. Podnoszę ją.

Trzema susami dopadam przyszłego trupa. Spogląda na mnie jednym okiem spomiędzy zapuchniętych, zasiniowanych powiek.

Podnoszę dwanaście kilo brązu nad głowę. Statuetka wydaje się dziwnie lekka. Nie śpieszę się, chcę dobrze wycelować. Zamierzam walić go nią w głowę tyle razy, ile będzie trzeba, żeby rozwalić mu czaszkę.

Słyszę krzyk Michała:

- Daniel! Oszalałeś! Daniel! Zabijesz go! Przestań!

Nawet nie zauważyłem, kiedy wszedł. Rzuca się na mnie w ostatniej chwili. Wrywa mi z rąk *Pocatunek*.

Słyszę głucho uderzenie metalu o podłogę.

Nie ruszam się. Jestem oszołomiony. Znokautowany na stojąco. Jak przez mgłę widzę, jak Michał pomaga temu bubkowi podnieść się i wyjść z biura. W zwolnionym tempie.

Ręce zaczynają mi gwałtownie drżeć. Mam krew na kłykciach. Rdzawy smak w ustach. Smak śmierci.

Szczęki imadła zaciskają się powoli na jego skroniach i je miażdżą. Całe ciało to jedna krwawa rana. Wszystko go boli - od czubka głowy po palce stóp.

Sam leży wyciągnięty na plecach za zamkniętymi drzwiami sypialni. W ciemności. Zadbał o to, żeby przed powrotem do domu opatrzone go w aptece, by oszczędzić Aurorze nowego silnego doznania. Opatrunki i bandażę nie robią aż tak szokującego wrażenia jak skaleczenia, które zakrywają.

Skłaniają nawet do śmiechu.

On sam omal nie parsknął, gdy po wyjściu z apteki zobaczył swoje odbicie w witrynie, ale silny ból sprawił, że zamiast śmiechu z jego ust wydobył się jęk.

Sam nie żałuje tego, co się stało. Że sprowokował rywala i wyzwolił w nim dziką bestię. Tego jest pewny. Bardziej zmalretowany z nich dwóch nie jest ten, który na to wygląda. Jego rany zagoją się, zabliznią, ale nie rany Daniela Millera. Jego zawsze będą broczyć, nie dadzą się uleczyć mimo upływu czasu.

Dusza Daniela jest naznaczona rozżarzoną żelazem.

Zrozumienie tego wcale nie uczyniło Sama szczęśliwym. Ani też nieszczęśliwym. Umocniło jedynie wyobra-

zenie, jakie zawsze miał o tym człowieku. Nie ma wątpliwości co do tego, że jest zdolny wyrządzić Aurorze niewyobrażalne zło. Jego zachowanie nie przyniosło wprawdzie doraźnych skutków, jest mu jednak o wiele lżej, że spróbował przeciwstawić się przeznaczeniu i że nie stał biernie za kulisami tego tragicznego wodewilu. Nie zaznałby spokoju, gdyby chociaż nie spróbował. W głębi duszy nie traci nadziei, że Daniel zreflektuje się i w porę zejdzie ze sceny.

Oczywiście Sam okłamał Aurorę. Po co ją dodatkowo dręczyć? Utrzymał, że na parkingu w Halach zaatakowała go grupa skinów. Nie wdawał się w szczegóły. Oczywiście, że wniósł skargę, ale po rozmowie z glinami widzi, że raczej nie należy się ludzić. Na dobrą sprawę musieliby się uganiać za wszystkimi włóczęgami koczującymi pod ziemią.

Najszybciej jak mógł zaszył się w sypialni razem z całą masą środków przeciwbólowych.

Wskazówki na tarczy budzika pokazują prawie jedenastą. Byłoby dobrze, gdyby udało mu się zasnąć.

Słyszy, jak za drzwiami Aurora szeptem namawia Elzę, żeby poszła spać. Ojciec już się położył, bo bardzo, ale to bardzo boli go głowa. Zobaczy go jutro rano, nawet jeżeli będzie wyglądał jak Niewidzialny Człowiek.

Słyszając, jak Aurora żartuje z córką, Sam czuje się podbudowany. Uważa, że to dobry znak. Myśli, że może jej jeszcze na nim trochę zależy. Na nich.

Aurora wchodzi do sypialni i na palcach podchodzi do łóżka. Kładzie na czole Sama kąpielową rękawicę frotte z lodem w środku.

Głaszcze go po włosach:

- To szaleństwo! Mogli cię zabić... Sam zmusza się do uśmiechu:
- Brakowałoby ci mnie?
- Idiota!

Wyciąga się obok niego.

Przez długie minuty leżą w milczeniu. Nieruchomo.

Nagle Sam czuje ciepło ręki Aurory w swojej. Jest wzruszony. Od tak dawna nie zdobyła się na czuły gest.

Odwraca się w jej stronę. Zauważa, że wpatruje się w niego w półmroku. Jakież to sekretne myśli kryją się za jej ciemnymi źrenicami? Aurora jest jedną wielką tajemnicą. To właśnie przyciągnęło go do niej od razu. Czarny błysk oczu, kiedy po raz pierwszy na niego spojrzała.

Sam mówi półgłosem:

- Zachowałem twój lotniczy bilet... wiesz... Ręka Aurory ściska go mocniej.

- Przestań... I tak jest już dostatecznie ciężko.

Sam wzdycha. Przysuwa bliżej głowę. Ona zbliża swoją. Są tuż obok siebie.

Sam zadaje pytanie, które go prześladowuje:

- Będziesz tutaj po naszym powrocie?

Nie otrzymuje odpowiedzi, nie nalega. Podnosi dłoń Aurory do spuchniętych warg. Całuje niebieskawe żyły na jej nadgarstku. Tam, gdzie skóra jest taka jedwabista.

- Bo ja będę tutaj zawsze, dla ciebie. Aurora całuje go w policzek:

- Śpij. Będę przy tobie.

Więcej już nic nie mówią. Będą spać do świtu. Tej nocy Aurora nie cierpi na bezsenność. Nie podniesie się z łóżka dziesięć po trzeciej.

Będą spać serce przy sercu.

Trzymając się za ręce.

DANIEL

Deszcz zacina o szyby.

W Bréhat niecierpliwie czeka na nas słońce.

Potwierdza to właścicielka hotelu „Bellevue”, którą mam po drugiej stronie kabła. Mówi omdlewającym głosem: „Na pewno pokój numer siedem jest zarezerwowany na nazwisko państwa Millerów. Jakakolwiek pomyłka wykluczona”. Szepcze jeszcze, że dwunastka jest większa i z okna goście mają lepszy widok na port. Gdybym przypadkiem chciał zmienić...

Przerywam jej w pół zdania:

- Nie. Siódemka. Bardzo nam na niej zależy. Dziękuję i do popołudnia. Wyłączam się.

Na drogę wrzucam do torby parę krążków CD. Miles Davis, Wynton Marsalis, Coltrane. Billie. A także kilka książek do wspólnego czytania: Brautigan. Zbiór nowel Chestera Himesa. I *Longtemps*, powieść Erika Orsenna. Tytuł i jedna czwarta okładki wydają się idealnie pasować do naszej sytuacji.

Słyszę go, jak chrząka na kanapie. Nie Orsenn, Michał.

Obserwuje mnie dyskretnie od kwadransa, mieszając łyżeczką w filiżance z wystygłą kawą.

Wpadł tylko na chwilę, żeby się ze mną pożegnać. Ze sposobu, w jaki się zadomowił, wnioskuję, że coś jeszcze kryje w zanadrzu.

Zapinam paski torby i wzdycham, spoglądając na niego:

- No więc? O co ci chodzi?

Zwleka z odpowiedzią. Nalewa sobie mleka do kawy. Popija łyżkami. Wreszcie mamrocze przez zęby:

- Nie wydaje ci się, że popełniasz wyjątkowe kretyń-stwo, synu?

Stało się! Spodziewałem się tego. Niespodzianka szefa kuchni. Że też nie może się ode mnie odchrzanić! Cholera, przecież nie mam dziesięciu lat!

Nawet się nie wkurzam. Szkoda zachodu.

- Posłuchaj, nie mam nastroju na umoralniające lekcje... Na wypadek, gdybyś w tym celu tu przyszedł.

Wzrusza ramionami. Jego brwi odbywają drogę w górę i w dół.

- Co mnie może, do diabła, obchodzić moralność? Sam nie mam żadnej! Nie mam też godności! Rzecz w tym, że jestem twoim ojcem... Usiądź więc: muszę cię o coś zapytać.

Kiedy w ten sposób zagaja rozmowę, nic nie jest go w stanie powstrzymać. Lepiej więc jak najszybciej z tym skończyć. Siadam na oparciu fotela, naprzeciwko niego. Pozycja dominująca. Zwykła przezorność.

Zapalam papierosa.

- **Okay!** Masz pięć minut. No więc co chcesz wiedzieć? Odstawia filiżankę na niski stół. Jego niebieskie spojrzenie pochmurnieje, i to wcale nie z powodu koloru nieba.

- Aurora... Czy wiesz, dlaczego cię zostawiła dwanaście lat temu?

Macham niecierpliwie ręką. Tego już za wiele.

- Nie będziemy do tego powracać i wiecznie wałkować!

Znam wszystkie jego racje z najdrobniejszymi szczegółami. Nie zamierzam już nigdy więcej zanurzać się w przeszłość. Od niej puchnie mi głowa. Duszę się. Chcę

myśleć o przyszłości. A moja przyszłość rozpoczyna się tego ranka. Z Aurorą, na dole, pod jej domem.

Michał nie kapituluje. Pochyla się do przodu, żeby maksymalnie skupić moją uwagę.

- Odpowiedz! Czy znasz prawdziwy powód? Milczę. Patrzę na niego i czekam.

Prostuje się i opiera plecami o kanapę. Dodaje grobowym głosem:

- Bo ja tak!

W szpitalu położyli ich w dwóch oddalonych od siebie pokojach. W dwóch różnych sektorach. Oddzielonych od siebie trzema piętrami.

Rzecz dzieje się wieczorem, nazajutrz po ich nieudanej próbie przepłynięcia Styksu.

Michał siedzi u wezłowania Aurory. Przebywa już tutaj od wczesnego ranka, ale Aurora nie obudziła się. Nie odważył się jej przeszkadzać.

Układa kwiaty w prowizorycznym wazonie - plastikowa butelka po wodzie, odcięta na wysokości trzech czwartych. Patrzy na bąbelki powietrza, które unoszą się z dna pojemnika z kroplówką. Regularnie pojawiają się na powierzchni flakonu z solą fizjologiczną, zawieszono na wysięgniku koło łóżka.

Aurora leży skulona. Ogarnia go żal, kiedy na nią patrzy.

Zapadnięte rysy. Zlepione włosy. Twarz Aurory jest niemal przezroczysta. Bezcielesna. Bielsza od koszuli opieki społecznej, w której niknie jej ciało.

Michał stoi nad nią. Z czułością gładzi wierzchem dłoni jej czoło.

Aurora otwiera oczy. Uśmiecha się blado na widok bukietu na stoliku przy łóżku. Granatowe goździki, jedyne kwiaty, które lubi.

Jej pierwsze słowa dotyczą Daniela. Pielęgniarki ją zapewniały, że już ma się lepiej.

- Widziałeś go? Czy to prawda? Powiedz?

Michał siada na brzegu łóżka. Tak, prawda. Jego syn dochodzi do siebie. Jest w takim stanie jak ona. Nie najświetniejszym. Najważniejsze, że wyszli cało z tej paskudnej historii, oboje.

Aurora porusza głową. Ufa Michałowi. Z trudem zdobywa się na kolejny uśmiech:

- To miło, że zajrzałeś do mnie.

- Nie, „miło” to niewłaściwe słowo. Nie mógłbym postąpić inaczej. Jesteś moją ulubioną synową, zapomniałaś?

Dotyka jej ramienia. Dodaje otuchy. Wszystko się ułoży. Wyjdą stąd za kilka dni. Znowu się spotkają. Daniel o niczym innym nie mówi.

Aurora słucha słów Michała. Patrzy tym swoim trochę nieobecny wzrokiem. Widzi przed sobą próżnię.

- I koszmar znowu się zacznie. Wiem o tym. On o tym wie. Michał protestuje z niezachwianą pewnością siebie. Jeżeli nawet w głębi duszy obawia się, że Aurora ma rację.

- Ależ nie, co ty opowiadasz! jesteście młodzi, kochacie się. I to jest najważniejsze!

Aurora powoli przenosi wzrok na Michała. Widzi w jej oczach trzeźwość i stanowczość, które go zaskakują.

- Za późno. Znowu wszystko popsujemy. Jak to samobójstwo. Postanowiłam odejść od Daniela. Na zawsze.

Piękny pomysł. Michał wprost nie może w to uwierzyć. Myśli o Danielu. On tego nie zniesie. Ona zresztą także. To szaleństwo. Nigdy się już nie pozbierają.

Aurora pozostaje nieugięta:

- To jedyne wyjście. Ze mną Daniel nie ma żadnej szansy na prawdziwe szczęście. Tak to wygląda. Trzeba mu będzie pomóc pozbierać się po tym, Michale.

Zadanie, które go czeka, wydaje się niewykonalne, i Michał łapie się rękami za czoło. Jąka się:

- Ty... już go nie kochasz?

- Bardziej niż kiedykolwiek. Jest całym moim życiem.. Gdybyś wiedział, jak bardzo byliśmy szczęśliwi! Każda spędzona z nim chwila była prezentem od niebios.

To zbyt trudne. Zbyt niesprawiedliwe. Michał powstrzymuje łzy.

- A ty, Auroro? Co z tobą?

Obiema rękami Aurora chwyta się prześcieradła. Udaje jej się usiąść na łóżku. Ton jej głosu staje się teraz ostrzejszy. Wzbrania się przed zalewem uczucia Michała. Nie zamierza wdawać się w dyskusję. Jest stanowcza. Rozkazuje:

- Nie zajmuj się mną! Pomyśl o swoim synu. Przywróć mu chęć do życia.

Michał stoi jak oniemiały. Czuje się malutki wobec strumienia miłości i zdecydowania płynącego z tych bezkrwistych ust.

Aurora z trudem przesuwa się na brzeg łóżka. Otwiera szufladkę stolika. Wyjmuje stamtąd niebieskawą zaklejoną kopertę.

- Tylko pod żadnym pozorem nie mów Danielowi o powodach mojej decyzji. A jutro oddaj mu po prostu ten list.

Wahając się, Michał wyciąga rękę i bierze kopertę. Widnieje na niej tylko jedno słowo: Daniel. Wsuwa ją do kieszeni marynarki.

Aurora znowu opada na łóżko. Oczy ma suche. Michał siedzi przy niej jeszcze chwilę, bez jednego słowa. Po czym wstaje i mówi półgłosem:

- Odpocznij. Zajrzę jutro rano.

Aurora go nie zatrzymuje. Odpowiada bezbarwnym głosem:

- Jutro już mnie tutaj nie będzie.

Michał milknie. Dopija zimną kawę, boi się spojrzeć na Daniela.

Daniel stara się nie pokazywać po sobie, jak bardzo jest wstrząśnięty. Zaciska szczęki. Niebieskawa koperta, otrzymał ją nazajutrz wieczorem w swoim szpitalnym łóżku. Tekst zapamiętał go słowo po słowie: ***Danielu, odchodzę na zawsze. Tak będzie lepiej dla mnie. Dla nas. Moja miłość do Ciebie umarła. Wolę więc odejść, niż Cię okłamywać. Nie próbuj mnie szukać. Błagam Cię: wracaj do życia!***

Pamięta, że wyrwał sobie wtedy kroplówkę. Omal nie przewrócił pielęgniarki. Z walącym sercem pobiegł trzy piętra wyżej. Pogubił się w szpitalnych korytarzach. Wreszcie trafił do pokoju Aurory.

I wył jak opętany przy jej pustym łóżku.

Aurora opuściła oddział wczesnym rankiem, wbrew zaleceniu naczelnego lekarza kliniki. Nie zostawiła żadnego adresu. Rodzice, rodzina, przyjaciele - nikt nie wiedział, gdzie jej szukać.

Daniel nigdy już jej nie zobaczył. Aż do tamtej burzy w Carrousel du Louvre. Dwanaście lat nieobecności.

Michał z trudem podnosi się z kanapy.

- Uważała, że twój stan jest groźny. Miała w sobie tę

nadzwyczajną siłę, żeby zrezygnować z ciebie. Opuściła cię z miłości. Żeby cię uratować.

Daniel jest wstrząśnięty. Wolałby nigdy o tym się nie dowiedzieć. Ma za złe Michałowi, że mu to wyjawiał. Daje mu to odczuć, kiedy pyta agresywnym tonem:

- Dlaczego mi to opowiadasz, dzisiaj?

- Ponieważ dzisiaj ona jest w niebezpieczeństwie. Słyszałeś, co mówił jej mąż? Żnowu bierze lekarstwa. Dziwnie się zachowuje. Z nią jest niedobrze, Danielu!

Daniel wybuchą. To jakieś brednie! Stek kłamstw, po to, żeby spróbować ją odzyskać. I że też ty, mój własny ojciec, mogłeś dać wiarę choćby jednemu słowu!

- Ze mną jest szczęśliwa! Tak mi powiedziała! Wiedziałbym, gdyby było z nią aż tak źle. Nikt jej tak nie zna jak ja!

Michał wypowiada swoją opinię. Wmawia sobie, że Daniel wie, co mówi. Wolałby jednak, żeby wiedział o tym, zanim z nią wyjedzie. Jest dużym chłopcem. Wie, co robi. Albo co powinien zrobić. To nie jego sprawa.

Wolnym krokiem podchodzi do fotografii z muzeum Rodina. Bierze ją w ręce. To prawda, że jest wzruszająca, ta fotografia. Że są na niej wspaniali, oboje.

Odstawia ramkę na miejsce i obejmuje Daniela z całą serdecznością i ciepłem starego ojcowskiego serca:

- To wyjątkowa kobieta. I ty też, ty też jesteś wyjątkowym facetem. Życzę wam szczęścia, synu!

Okiennice są zamknięte.

Jak zawsze pokój Mariny jest pogrążony w gęstym mroku, gdy tymczasem na zewnątrz zaczyna deszcz. Krople wody nieregularnie uderzają o parapet okna.

Nagle gwiazdki kładą się plamami na ścianach i zaczynają tańczyć.

Daniel siedzi na podłodze, obok lampki z obracającym się abażurem, którą właśnie zapalił. Spogląda na środek pustego pokoju. Przypomina sobie Aurorę o brzasku ich miłosnej nocy przed dziewięcioma dniami. Tutaj.

Obracającą się wokół własnej osi, z zamkniętymi oczami-

mi. Skrzyżowane na piersi ramiona tulą już tylko wspomnienie. „Moje maleństwo, moje maleństwo... Jesteś tutaj, marynarzyku? Wkrótce wrócisz z mamusią”.

Każdym nerwem czuje jeszcze jej słowa. Pamięta przykrość, jakiej doświadczył. Ten dreszcz niepokoju, który go wtedy przeszedł, a który tak intensywnie powraca tego ranka. Spotęgowany po tysiackroć.

Znużonym gestem gasi lampkę z gwiazdkami.

AURORA

Czubek łodzi podwodnej „Elza” wynurzył się, przebijając się przez grubą warstwę piany.

Dysząc z braku powietrza, zerwała różową fluoryzującą maskę do nurkowania. Nowiutka maska, *Special tropical fun*, którą uparła się wypróbować w wannie. Była podekscytowana od chwili przebudzenia. Istny cyklon. Nie rozstawałyśmy się ani przez chwilę. Lista rzeczy do zabrania zajęła obłędnie dużo czasu. Kostiumy kąpielowe. Spódniczki plażowe. Krem do opalania. Krem przeciw komarom. Wszystko było pretekstem do całego różańca pytań. A gdyby mnie uszczypnęła langusta? A gdybym się zgubiła na plaży? A gdyby mnie rozboleł brzuch?

A gdyby, a gdyby, a gdyby...

Nie miałam jednej chwili dla siebie, a mimo to byłam bardziej niż szczęśliwa. Ten wir zajęć miał dwojaką zaletę - mogłam być z nią do ostatniej chwili przed wyjazdem, a czas upływał przy tym z zawrotną prędkością.

Za pół godziny miała podjechać zamówiona taksówka. Nie zamierzałam ich odprowadzać na Orły. Pożegnanie na chodniku przed domem będzie mniej bolesne - zdecydował słusznie Sam.

Elza dmuchnęła mi płatkami piany w twarz i zapytała nie mogąc się doczekać:

- No więc jaki mam czas?

- Trzydzieści pięć i pół sekundy! - oznajmiłam, rzucając okiem na zegarek z sekundnikiem.

Udawała przerażoną:

- Co? Aż tyle!

Musi koniecznie poprawić swój rekord przebywania pod wodą bez oddychania. Absolutna konieczność. Nałożyła jeszcze raz maskę, na odwrót.

Śmiejąc się, złapałam ją wpół i pomimo protestów wyciągnęłam z wody.

- No, wyskakuj! Wycieraj się szybko, bo nie zdążysz na samolot! Potrenujesz sobie w południowym Pacyfiku!

- Podobno tam są prawdziwe rekiny! A także olbrzymie żółwie!

Zawinęłam ją w wielkie kąpielowe prześcieradło. Wymasowałam od stóp do głów.

Najchętniej schrupałabym ją żywcem.

Mydło podrażniło jej oczy. Na buzi pojawił się nieznaczny smutek:

- Głupio, że z nami nie jedziesz.

Przytuliłam ją do siebie. Po raz pierwszy nie będziemy razem. Próbowałam ją pocieszyć. A przy okazji także i siebie:

- Tak, szkoda. Zobaczysz, jak szybko minie ten miesiąc! Zwłaszcza że tatuś dotrzyma ci towarzystwa we wszystkich szaleństwach. Hotel stoi nad samym brzegiem laguny. Genialnie, no nie? A poza tym będę do ciebie dzwoniła codziennie, obiecuję. I będę o tobie bez przerwy myślała.

Stopniowo powrócił jej małpiatkowaty uśmiech.

- Ja też będę o tobie myślała. Poczulałam się lepiej.

Gdy zadzwonił telefon, obie podskoczyłyśmy. Nie miałam najmniejszej ochoty go odbierać. Chciałam zostać z Elzą. Krzyknęłam:

- Sam, telefon!

Teraz z kolei on ryknął z drugiego końca mieszkania:

- Idź, odbierz! Jestem w samym środku pakowania walizki! Jeszcze trochę, a pomachamy samolotowi!

Obie z Elzą westchnęłyśmy. Telefon wciąż dzwonił. Powinnam go była wyłączyć z kontaktu.

Z żalem zostawiłam Elzę. Pocałowałam ją w czubek nosa.

- Ubieraj się szybko, mój ty kochany rekinku!

Popędziłam do wiszącego na ścianie w korytarzu telefonu. To na pewno matka Sama. Ona zawsze wstrzela się w najmniej odpowiednią chwilę.

Zdjęłam słuchawkę. Po moim „halo” domyśli się, że mam co innego do roboty niż się tłumaczyć, dlaczego nie jadę z jej synem.

- Nie przeszkadzam?

Głos Daniela w jednej chwili podziałał na mnie uspokajająco. Nawet się nie zastanowiłam, dlaczego dzwoni tak wcześnie. Uznałam jego telefon za coś absolutnie normalnego. Pokrzepiającego na duchu.

- Nie przeszkadzam? Wyszepiałam z uśmiechem:

- Najdroższy... Jeszcze nie jestem sama. Nie mogę za długo rozmawiać. Gdzie jesteś?

- U siebie. Chciałem ci powiedzieć, że... Umilkł.

Cisza, która zapadła, miała dziwny kolor. Była całkiem szara. Brakowało dotychczasowych delikatnych i promiennych odcieni. Przychodziły mi różne myśli do głowy. Głupie myśli. Chce mnie po prostu uprzedzić, że się odrobinę spóźni. I z tego powodu czuje się trochę nieswojo. Zaczęłam się z nim droczyć:

- Powiedzieć mi, co? Że mnie kochasz?

- Już nie jedziemy do Brehat. Znowu cisza. Ogłuszająca tym razem.

Kurczowo uchwyciłam się słuchawki. Nie do Brehat. Co to znaczy? Coś działo się z moim sercem. Uderzało byle jak. Nie tylko w piersi. Biło wszędzie. W szyi. W gło-

wie. W brzuchu. Aż po czubki palców. Nie do Brehat. Byłam zagubiona, oszołomiona.

- To... To nie szkodzi. Możemy pojechać gdzie indziej. Gdzie zechcesz. Byle razem! Słyszysz, Danielu? Jestem twoja. Pójdę za tobą, gdziekolwiek zechcesz!

- Nie, Auroro. Nigdzie nie pojedziemy, ponieważ... Wszystko się we mnie rozpadło.

Wziął długi wdech, zanim skończył zdanie:

- Ty i ja... to już koniec.

Aurora czuje, jak ostrze rozpalonego prętu wbija się jej gdzieś pod mostek. Pali ciało. Przecina ją na dwie części. Odbiera oddech. Dławi w gardle. Nie może wypowiedzieć słowa. W spazmatycznym odruchu przywiera plecami do ściany. Wali tyłem głowy w betonową powierzchnię.

Raz po raz. Coraz mocniej i mocniej.

Już jest u kresu sił. Z trudem artykułuje:

- To nieprawda, Danielu! Nie możesz mnie...

Daniel jej nie przerywa. Jeżeli ona zatrzymuje się w samym środku zdania, to dlatego, że nie jest w stanie mówić dalej. Twarz ma mokrą od łez. Spływają po policzkach. Zalewają usta. Kapią na szyję.

Jest jak pokiereszowany i powyginany na wszystkie strony pajacyk. Niezdolna do żadnego ruchu. Może już tylko słuchać Daniela usprawiedliwiającego swoją decyzję.

Jednostajnym głosem. Pozbawionym odrobiny emocji. Bezlitosnym.

- Pomyliliśmy się. Sądziłem, że będziemy mogli zacząć od nowa, ale to było złudzenie. Nieudany *remake*. Wiem, że to przykre. Tak to już jest. Życie toczy się dalej.

Aurora odruchowo naciska widełki aparatu. Próbuje odłożyć słuchawkę na miejsce. Jest za wysoko, nie dosięga. Wypuszcza ją, pozostawiając huśtającą się na końcu kabla.

Robi się jej ciemno w oczach. Chce się ukryć w toalecie. Zbiera się jej na wymioty. To niedaleko. Kilka metrów. Słania się na drżących nogach. Opiera o ścianę. Jeszcze jeden krok. I jeszcze jeden.

Już nie może. Jakby jakiś cyklon skruszył ściany i usunął je spod jej ręki. Wali się na nią sufit.

Jak przez mgłę widzi drobną sylwetkę Elzy, która wyłania się z łazienki z płetwami w ręku. Mała patrzy na nią wystraszona.

I zaraz potem robi się zupełnie ciemno. Aurora traci przytomność.

Pada całym ciężarem na podłogę korytarza. Rażona piorunem. Zdruzgotana.

Daniel siedzi w samochodzie, kilka metrów od domu Aurory. To stąd telefonował do niej przed chwilą. Wzmaga się deszcz. Ze zdwojoną siłą tłucze w karoserię i w przednią szybę.

Za mokrymi oknami świat wydaje się wykoślawiony, zniekształcony.

Daniel nie włącza wycieraczek.

Ból wykrzywia mu twarz. Nadal słyszy w słuchawce sygnał zajętego telefonu. To, co się stało przed chwilą, tylko mu się przyśniło. Te potworne słowa. To nie on je wypowiedział. Nie on. To niemożliwe.

Śmiertelnie udręczony, wsuwa powoli antenę komórki na miejsce. Dociera do niego, że stracił raz na zawsze istotę, którą kocha ponad wszystko na świecie. Którą kocha ponad własne życie. Która jest jego życiem.

Na siedzeniu, obok niego, leży złożony niebieskawy list. List pożegnalny, który mu zostawiła Aurora. Dwanaście lat temu.

Bierze go. Opiera o górną część kierownicy. Przebiega wzrokiem jego elektryzującą treść. Z trudem koncentruje

się na linijkach. Widzi tylko po tysiąc razy czytane i odczytywane słowa, ale których sens dotarł do niego dopiero tego ranka.

Odchodzi. Ukochany. Ja. My. Śmierć. Życie. Daniel kładzie głowę na liście. Opiera się z całej siły.

- Żyj, moja Auroro... To ty wracaj do życia!

Sam zaniósł Aurorę do sypialni. Leży wyciągnięta na łóżku.

Odzyskała przytomność. Sam jest przy niej. Ociera jej czoło wilgotną szmatką. Trzyma ją za rękę.

Nic mu nie powiedziała. Sam wszystko zrozumiał. Szepcze do niej:

- Cierpisz bardzo, prawda? To boli.

Aurora kiwa głową. To, czego doświadcza, wykracza poza cierpienie. Nie mieści się w słowach.

Sam powtarza, że nie zostawi jej w takim stanie. Nie wyjedzie. Odwoła podróż. Porozmawia z Elzą. Ona zrozumie, ona także.

Aurora potrząsa głową. Ścisną rękę Sama w swojej:

- Nie. Zabierz mnie, Sam. Zabierz mnie daleko stąd. Proszę. Chcę być z tobą i Elzą.

To, co dzieje się nad miastem, to już ulewa, po prostu kaskady wody.

Przelewają się ścieki. Studzienki z bulgotem zwracają nadmiar brudnej wody.

On - siedzi w samochodzie. Silnik powarkuje. Nie jest w stanie wrzucić biegu. Wie, że powinien natychmiast odjechać stąd.

Obok niego przejeżdża taksówka. Czarna espace. Zwalnia przy wejściu do budynku. Zatrzymuje się w kałuży brunatnej wody.

Zza zasłony deszczu najpierw pojawiają się Sam i Elza.

Dziewczynka szybko wskakuje na tylne siedzenie taksówki. Kierowca otwiera klapę. On i Sam ładują błyskawicznie bagaż do kufra.

Następnie Sam wraca do holu budynku i po chwili wychodzi, trzymając Aurorę pod rękę. Daniel drży.

Ona - ma na sobie swój biały prochowiec i pomimo deszczu ciemne okulary na oczach. Niedużą torbę podróżną niesie przewieszoną przez ramię.

Pozwala się prowadzić Samowi. Jej chód jest niepewny.

Znika we wnętrzu taksówki. Trzaskają drzwi.

On - spogląda na samochód, który ją uwozi. Włącza bieg. Jedzie za nimi. Przysięga sobie, że na najbliższym skrzyżowaniu pojedzie w przeciwną stronę. W stronę swojej samotności. Nie od razu. Chce zostać z nią jeszcze trochę.

Do następnych świateł.

Czerwone światło.

Samochód Daniela stoi tuż za taksówką, która włącza prawy migacz.

Wierzchem dłoni Daniel wyciera zaparowaną szybę. Uśmiecha się lekko. Zza wycieraczek, biegających w tę i z powrotem, dostrzega kark Aurory.

To więcej niż pewne. Zaraz się odwróci. Zobaczy go. Wskoczy z taksówki i dołączy do niego.

Ale nie. Aurora nie odwraca się. Ramię Sama obejmuje ją. Przyciąga do siebie.

Daniel włącza lewy migacz.

Zielone światło.

Daniel jak wariat wpada do hali odlotów.

Zastaje tam gęsty tłum, który nie istnieje dla niego. Przelatuje nad nim. Łąduje przed tablicą z rozkładem lotów.

Melbourne. San Francisco. Abidżan.

Pepeete. Uprasza się o natychmiastowe wsiadanie. Brama F.

Na pasie startowym ryczy potężny jumbo.

Ich bagaże są ułożone na wózku, oni czekają przed okienkiem. Należą do ostatnich pasażerów. Przed nimi jeszcze tylko jedna para dopełnia formalności, za nimi niecierpliwi się samotny mężczyzna.

Sam przytrzymuje Aurorę w pasie. Chciałby już znaleźć się w samolocie, kilka kilometrów nad ziemią. Z zapiętym pasem bezpieczeństwa.

Elza przygląda im się bez słowa. Nie wszystko rozumie. To nie szkodzi. Jest szczęśliwa, że mama zmieniła zdanie. Nawet jeżeli na jej twarzy nie widać uśmiechu.

Para przed nimi załatwiła formalności. Hostessa daje im znak, żeby podeszli bliżej.

Sam puszcza Aurorę, żeby przygotować bilety.

Ona wsuwa ręce do kieszeni prochowca. Wyczuwa tam nieduży ciężki przedmiot. Okrągły. Gładki. Poznaje go po dotyku, mała mosiężna busola, ofiarowana jej przez Daniela w hotelu „Marronniers”. Powracają jego słowa: „Dzięki niej, gdy kiedyś się zgubisz albo gdy ja się zgubię, zawsze znajdziemy drogę do siebie”.

Jakaś wewnętrzna siła wyrywa ją z kolejki. Sam ją woła, ale Aurora nie słyszy. Elza chce biec za nią. Sam ją powstrzymuje.

Ona - przebiega salę, biegnie w stronę rzędu publicznych telefonów.

On - właśnie w tej chwili ją lokalizuje. Pośród setek poruszających się ludzi widzi tylko ją.

Ona - ona go nie widzi. Odwraca się do niego plecami w kuli z pleksiglasu. Gorączkowym ruchem podnosi słuchawkę. Pośpiesznie wybiera numer.

On - zbliża się do niej szybkimi krokami. Zaraz położy rękę na jej ramieniu. Już się uśmiecha. Jeszcze tylko dwadzieścia metrów.

Dzwonienie komórki ścina go z nóg.

Ona dzwoni do niego. Daniel wyjmuje aparat z kieszeni. Pytanie „Odpowiedź?” miga bardzo szybko na małym zielonym ekranie.

Omiata wzrokiem tłum. Przechodzi od Aurory do Sama i Elzy. Sam wskazuje hostessie kabiny telefoniczne. Tam jest jego żona.

Komórka nie przestaje piszczeć w zagłębieniu dłoni Daniela.

Aurora liczy dzwonki. Modli się, żeby Daniel odebrał telefon. To jej ostatnia nadzieja. Ostatnia szansa.

Jeżeli powie „przyjdź!”, pójdzie do niego.

Palec wskazujący Daniela leży na przycisku „tak”. Nie naciska go od razu. Jest niezdecydowany. Coś go powstrzymuje w ostatniej sekundzie. To mała Elza, taka nieszczęśliwa. Tam, obok swojego ojca. Macha rozpaczliwie do Aurory, żeby wróciła do nich.

I wtedy, nakładając się na obraz dziewczynki, z nicości wyłania się twarz Mariny, zajmuje całe jego pole widzenia i daje mu znak. Jemu. Ich maleńka nieobecna.

Krzyczy do niego niemo: „Zrób to dla niej, tatusiu!”.

Wskazujący palec sam przesuwają się z przycisku „tak” na przycisk „nie”.

Naciska go zdecydowanym ruchem.

Piszczenie natychmiast ustaje. Wyświetla się informacja: „Wiadomość nie została odebrana”.

On - cofa się i chowa za filarem.

Ona - odkleja słuchawkę od ucha. Patrzy na nią przez chwilę. Zagryza dolną wargę i rozłącza się wreszcie. To już koniec.

Dołącza do Sama i Elzy przy stanowisku nadawania bagażu. Biegiem.

Ruchomy chodnik wiezie ich bagaż w stronę niedużej zapadni, która go połyka.

Aurora bierze Elzę za rękę. Zdecydowanym ruchem. Elza podaje drugą swojemu ojcu. I wszyscy troje, połączeni w ten sposób ze sobą, udają się do hali odlotów.

Daniel coraz bardziej drży z zimna. Podnosi kołnierz kurtki.

Zamyka na chwilę oczy.
Gdy je otwiera, trzy sylwetki już zniknęły.
Na chodniku przed dworcem lotniczym mija się z żywym posągiem
białego anioła. Wrzuca monetę do koszyka obok jego gołych stóp.
Anioł rozwija ogromne skrzydła. Uderza nimi raz po raz.
A lodowaty powiew wiatru chłodzi rozpaloną twarz Daniela.